

IWONA CZARKOWSKA

PANNA Z MONIDŁĄ




Replika

PANNA
Z MONIDŁA



IWONA CZARKOWSKA

PANNA
Z MONIDŁA


Replika

WYSTĘPUJĄ:

Alicja Kalicka – kobieta po przejściach

Szymon Paluszkiewicz – mężczyzna z przeszłością

Paweł Watrak – były mąż Alicji, obdarzony przez naturę wyjątkowo dorodnym genem niewierności

Tatiana Watrak – żona Pawła (druga, ale pewnie nie ostatnia)

Barbara Nowik – współpracowniczka Alicji w firmie „Wesoła rozwódka”

Łucja – przyjaciółka Alicji, terroryzowana przez tajemnicze stowarzyszenie

Pani Ada – gosposia, zwana również „panią Alą”

Mirek – kuzyn, który przyjechał z rurami

Karol – policjant, przed którym Alicja ucieka

Paweł Gawel – komendant posterunku policji w miasteczku, gdzie nie popełnia się przestępstw (prawie)

Pan Karasek – sąsiad, który ma o Alicji jak najgorsze zdanie

oraz:

Pasztet, Rudy Sto Dwa, Maryśka, Wiesiek, Hula i Hop

Paweł Gawęł, świeżo upieczony komendant posterunku policji w Zabrzeźnie, z przyjemnością spoglądał przez okno swojego gabinetu. Jakiś czas temu wrócił z Londynu, gdzie był na stażu w Scotland Yardzie, i ciągle jeszcze wzdrygał się na samo wspomnienie tego pobytu. Angielska stolica była dla niego za duża, zbyt zatłoczona, nie znosił ciągłej mżawki i mgły. I te wszystkie przestępstwa, które były tam codziennością – kradzieże, rozboje, napady, bójki!

– Nie to, co w naszym Zabrzeźnie – mruknął z zadowoleniem pod nosem. – U nas takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Inni ludzie, inne powietrze. Gdyby tylko nie gadanie tych z wojewódzkiej, że u nas jest za spokojnie i nie warto utrzymywać w Zabrzeźnie komendy...

Rozmyślenia przerwał mu telefon, który rozdzwonił się na biurku. Komendant z żalem oderwał się od kontemplowania widoku za oknem i podniósł słuchawkę.

– Co? – powiedział ze zdziwieniem. – Włamanie do naszego muzeum? Wczoraj wieczorem? Skradziono obraz? Zaraz tam będę.

ROZDZIAŁ I

WSZYSTKO SIĘ ZACZYNA, ALE NIKT JESZCZE O TYM NIE WIE, CHOĆ NIEKTÓRZY
COŚ JUŻ PRZECZUWAJĄ

– Powiedz, że to zrobisz! – Łucja złożyła błagalnie ręce. – Jeśli się nie zgodzisz, to Grzesiek poleci do Stanów sam, a ja umrę z tęsknoty za nim. Dobra, może nie umrę, ale na pewno zacznę jeść jak głupia i potwornie się roztyję. A ty będziesz miała wyrzuty sumienia za każdym razem, jak na mnie spojrzysz. A znasz mnie i wiesz, że będę za tobą specjalnie łaźniła, żeby ci było jeszcze bardziej głupio. To co? Nie mogę przecież zostawić Maryśki samej, a ona nie zgodzi się na żadną przeprowadzkę, nawet gdybym znalazła kogoś, kto ją weźmie.

Alicja westchnęła. Wiedziała, że przyjaciółce zależy na tym wyjeździe. Nie, nie obawiała się, że Łucja roztyje się z rozpaczy, bo to chyba było niemożliwe. Odkąd się znały, czyli od czasów licealnych, nie mogła wyjść z podziwu, że można jeść tyle co Łucja i nie przytyć ani grama. Jeszcze lepiej! Im więcej jadła, tym bardziej chuda była. Jeśli czegokolwiek można się było obawiać, to tego, że z tęsknoty za ukochanym mężem zacznie pochłaniać takie ilości żarcia, że wyschnie na wiór. No i Alicji było też żal Maryśki. Lubiała tę starą wariatkę.

– To jak? – nalegała przyjaciółka. – Kawalerkę w tym czasie wyremontujemy. Grzesiek ma zaprzyjaźnioną ekipę malarzy-pacykarzy, więc nie będziesz musiała niczego pilnować. Sama ostatnio mówiłaś, że ci kawał tynku z sufitu spadł do wanny, jak się kąpałaś.

– Do zupy mi wpadł, jak się kąpałam – sprostowała Alicja.

– Kąpałaś się w zupie? – zdziwiła się Łucja.

– Nie, skąd. Kąpałam się normalnie w wodzie, w łazience. A w kuchni na gazie miałam zupę. I ten tynk wpadł mi do zupy – wyjaśniła przyjaciółka. – Cały garnek musiałam wylać.

– Do wanny?

– Nie, gdzie do wanny! Nie bredź! Do kibla wylałam przecież.

– Bredzę, bo cała w nerwach jestem, odkąd Grzesiek mi powiedział o tym wyjeździe. To co? Przeniesiesz się tutaj, jak nas nie będzie? Proszę...

Prawda była taka, że Alicja dla przyjaciółki gotowa była zrobić wiele, ale akurat na przeprowadzkę nie miała najmniejszej ochoty. Przyjaciółka mieszkała co prawda w Monidle – pięknej podmiejskiej dzielnicy Zabrzeżna, z dobrym dojazdem do centrum, w przytulnym domu, było jednak pewne „ale”... To „ale” miało na imię Szymon i mieszkało w kawalerce naprzeciwko tej, którą Alicja wynajmowała właśnie od Łucji. Wygodnie było przemykać się do niego po korytarzu ciemną nocą w samej bieliźnie. No, prawie w samej bieliźnie, bo zawsze istniało ryzyko, że natknie się na pana Karaska, sąsiada zajmującego ostatnie z trzech mieszkań na jedenastym piętrze w bloku z wielkiej płyty. Z drugiej strony, Szymon od kilku tygodni był jakiś taki roztargniony, rozdrażniony, chwilami jakby nieobecny duchem. Może dobrze im zrobi taka chwilowa separacja od stołu i łoża?

Kryzysy zdarzają się również w nieformalnych związkach. Może powinniśmy od siebie odpocząć przez jakiś czas? – pomyślała, a głośno powiedziała:

– Dobra. Mogę na ten czas zainstalować się u was. Ale musicie mi pomóc z przeprowadzką. Trochę ostatnio obrosłam w graty i nie dam rady wszystkiego przewieźć Czarownicą.

Czarownica była samochodem Alicji. Nazwała go tak, gdy dowiedziała się, że jego poprzedni właściciel urodził się we wsi Łysa Góra. A ponieważ pojazd miał kolor spranej żółtej ściery do podłogi, to gdy Alicja wpadała w zły humor, Czarownica zamieniała się w Ścierkę. Od szczęśliwego rozvodu z Pawłem, a potem szczęśliwego spotkania z Szymonem[1], pojazd zdecydowanie częściej bywał Czarownicą.

– Jesteś kochana! – Łucja rzuciła się jej na szyję. – Przywiozę ci wspaniały prezent z Ameryki. Co byś chciała? Mów! Dla ciebie mogę nawet odłupać kawał Statuy Wolności.

– Siebie przywieź całą i zdrową – odpowiedziała Alicja, uwalniając się z objęć przyjaciółki. – I przede wszystkim baw się tam dobrze.

– I ty też, panno z Monidła – roześmiała się przyjaciółka.

– Jaka panna, rozwódka przecież.

– Podobno feministki walczą, żeby kobiety po rozwodzie mogły wpisywać sobie w dokumentach, że są pannami.

– No to zapiszę się do tych feministek.

Gdy wróciła do domu, Szymona jeszcze nie było. Miała więc trochę czasu, żeby się zastanowić, jak mu powiedzieć, że się wyprowadza. Ciągle zastanawiając się nad najlepszą formą zakomunikowania ukochanemu o konieczności chwilowej separacji, wyszła na spacer z Pasztetem, psem rasy bliżej niezdefiniowanej, a potem zrobiła zakupy na kolację. Po powrocie nakarmiła kocura o militarnym imieniu Rudy Sto Dwa i zabrała się do przygotowywania zapiekanki makaronowej z grzybami. Pół godziny później wszystko było prawie gotowe, ale ona nadal nie miała pomysłu na poważną rozmowę o związku. Wzięła prysznic i przebrała się. Poprawiała makijaż, gdy usłyszała, że na ich piętrze zatrzymuje się winda, a chwilę później trzaskają drzwi mieszkania Szymona. Po jakimś czasie rozległ się dzwonek do drzwi, więc założyła, że po drugiej stronie stoi mężczyzna jej życia. Zrobiła seksowną minę i nie zerkając przez wizjer, szarpnęła drzwi wyjściowe i oparła się kuszaco o futrynę, przymykając oczy. Po kilku sekundach zorientowała się, że coś nie gra, bo mężczyzna po drugiej stronie drzwi nie rzuca się na nią i na dodatek chrząka tak jakoś znajomo i nieprzyjaźnie... Otworzyła oczy i natychmiast się wyprostowała.

– Dzień dobry – powiedziała na widok łysego pana Karaska i obciągnęła spódnice.

– To wrzucili do mojej skrzynki zamiast do pani – powiedział sąsiad w tej samej chwili, nie odrywając karcącego wzroku od jej uda, które, mimo że Alicja naciągnęła materiał, ciągle kuszaco błyszczało spod przykrótkiej kiecki.

Wzięła od niego przesyłkę i spojrzała na nią ze zdziwieniem. Bąbelkowa koperta formatu A4 wyglądała, jakby ktoś ją wcześniej przeżuł i wypluł. Była okrutnie wymiętolona, a adres zamazany i praktycznie nie do odczytania.

– Pies wyrwał wnucze, jak niosła ze skrzynki – wyjaśnił pan Karasek.

– A jest pan pewny, że to akurat do mnie? – zapytała z powątpiewaniem.

– A do kogo innego miałoby być? Przecież pani ma skrzynkę obok mojej – odpowiedział sąsiad i trzasnął drzwiami.

– Co się stało? – zapytał Szymon, wychodząc ze swojego mieszkania. – Czego on chciał?

Alicja pokazała mu kopertę, którą trzymała z odrazą w dwóch palcach.

– Ktoś przez pomyłkę wrzucił do jego skrzynki. Nie da się odczytać adresata i nie wiadomo dlaczego uznał, że to do mnie – wyjaśniła, wchodząc do mieszkania.

Szymon zamknął drzwi i wyjął jej list z rąk.

– Pasztet się do tego dorwał? – zapytał z uśmiechem, a w odpowiedzi pies Alicji szczeknął z urazą z wnętrza mieszkania.

– Pasztet nie zdążył – odpowiedziała Alicja. – Szybsza od niego była suka Karaska. Połóż gdzieś tę kopertę i wchodź do pokoju. Zrobiłam zapiekankę z makaronem i grzybami. Zjesz?

– Z twoich rąk nawet truciznę, moja bogini. – Szymon objął ją i pocałował. – Ale dzisiaj wolałbym coś nieprzypalonego.

Alicja pociągnęła nosem i wyrwała mu się.

– Mój makaron! – krzyknęła i rzuciła się ratować kolację.

– Było pyszne – powiedział Szymon jakieś dwie godziny później.

– Smakował ci makaron?

– Makaron też – odpowiedział i cmoknął ją w szyję. – Muszę ci coś powiedzieć.

Alicja poczuła, że zdrętwiały jej palce u lewej nogi. Zawsze tak miała, gdy się denerwowała.

Poruszyła nimi, żeby sprawdzić, czy jeszcze je ma.

– Nie musisz nic mówić – powiedziała i poruszyła palcami prawej nogi, nie wiadomo po co, bo te akurat wcale jej nie zdrętwiały. – Domyślałam się już od jakiegoś czasu.

Szymon spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Naprawdę? Ale w jaki sposób... – zaczął.

– Od kilku tygodni byłeś jakiś taki nie w sosie – przerwała mu. – Naprawdę nie musisz mi się z niczego tłumaczyć. Ja wszystko rozumiem i nie zamierzam robić ci dramatycznych scen i prosić, żebyś zmienił zdanie.

Zobaczyła, że odetchnął z ulgą.

Tak... – pomyślała. – Kolejny facet, który mnie rzuca. Chyba powinnam już przywyknąć. Widocznie w kołysce jakaś wróżka rzuciła na mnie klątwę i teraz spotykam wyłącznie beznadziejnych facetów.

Poprzednim beznadziejnym był jej mąż Paweł. Zdradził ją i pewnie zdradzałby nadal, ale cała sprawa wyszła na jaw, gdy jego kochanka zjawiała się w ich wspólnym domu i wyrzuciła z niego Alicję. Dobra, Alicja sama się wyprowadziła, ale przecież nie mogli tam mieszkać we trójkę. Teraz to właściwie już we czwórkę, bo Pawłowi i Tani urodziło się dziecko.

– Ale będziesz mnie czasami odwiedzać? I robić mi takie pyszne zapiekanki makaronowe z grzybami? – Szymon przesunął ręką po jej udzie.

Nie! Tego już było za wiele! Paweł po rozstaniu dzwonił, żeby mu powiedziała, gdzie ma szukać swoich gaci, a ten chce makaronu! Faceci, na których trafiała, byli nie tylko beznadziejni, ale jeszcze bezczelni! Strząsnęła jego dłoń ze swojej nogi.

– Zwariowałeś? – zapytała retorycznie, po czym wstała z łóżka i przesiadła się na fotel.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie poszczuć go Pasztetem albo Rudym Sto Dwa. Nawet otworzyła drzwi do kuchni, gdzie zwierzaki miały legowisko. Przybiegły, a jakże! Ale widząc, jak próbują wleźć na łóżko, korzystając z tego, że ona je opuściła, uznała, że na współpracę tej dwójki nie ma co liczyć. Pozostał jeszcze Wiesiek, ale on raczej nie należał do zwolenników szybkich akcji odwetowych. Trudno zresztą było mieć o to do niego pretensje, bo Wiesiek był krasnałem z gipsu. Łucja i Grzegorz dostali go od dowcipnych przyjaciół po przeprowadzce do nowego domu. Ale gdy postawili go w ogrodzie, to dzieci sąsiadów postanowiły zwrócić mu wolność i wywiozły do lasu. Po kilku takich akcjach Łucja przetransportowała Wieśka do kawalerki, którą później wynajęła przyjaciółce.

– Dlaczego zwariowałem? – zdziwił się Szymon.

– Zrywasz ze mną, a potem przymilasz się o makaron! – krzyknęła rozeźlona i rzuciła w niego poduszką. Chciała resztką zapiekanki, ale miska i talerze były wymiecione do czysta, a samej zastawy było jej szkoda.

– Ale ja wcale nie chcę z tobą zrywać! – krzyknął, a potem wyciągnął ręce i przyciągnął fotel z Alicją do łóżka. – Niczego takiego nie mówiłem. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Właśnie. – Pokiwał głową. – Chodziło mi o to, że muszę się stąd wyprowadzić. Właścicielka mieszkania chce je sprzedać i dała mi wypowiedzenie. Na razie nie znalazłem nic nowego. W każdym razie nie w takim miejscu, żebym miał w miarę blisko do ciebie i do pracy. Ty głuptasie! Jak mogłaś pomyśleć, że cię rzucam? A gdzie ja znajdę drugą taką, co tak makaron przypala?

– Obrzydliwy męski szowinista! – krzyknęła i znowu walnęła go poduszką.

Po kolejnych dwóch godzinach Szymon zrobił herbatę, żeby jej udowodnić, że nie jest męskim szowinistą, a w każdym razie nie obrzydliwym.

– A wiesz, że ja też chciałam ci powiedzieć, że się przeprowadzam? – Roześmiała się, odbierając od niego kubek. – Łucja leci do Stanów, bo Grzegorz dostał tam jakieś stypendium. Nie chcą wynajmować domu, a zostawić bez dozoru nie mogą, bo jest przecież jeszcze stara Maryśka. No to zgodziłam się tam zamieszkać, dopóki nie wrócą.

– Nie puszczę cię samej. Przeprowadzam się razem z tobą – oświadczył Szymon.

– Czy ja wiem... – odpowiedziała niepewnie. – A co z twoimi potwornymi kocurami?

Miała na myśli dwa koty, którymi tymczasowo opiekował się Szymon i które bezlitośnie rozprawiły się z każdym, kto nieopatrznie wkroczył na ich terytorium. Przekonał się o tym swego czasu bardzo boleśnie Pasztet. Jedynie przed Rudym Sto Dwa czuły respekt, traktowały go jak swojego guru i pozwalały mu jeść ze swoich misek. Korzystał na tym również Pasztet – po pierwszym bolesnym kontakcie z kocurami, teraz cieszył się immunitetem jako przyjaciel Rudego Sto Dwa.

– Okrutnym kocurom znalazłem właśnie nowy dom. Jutro je przeprowadzam i jestem cały twój – oznajmił.

Nie spodziewała się takiego obrotu spraw. Co prawda kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy przyszło jej do głowy, że może kiedyś mogliby zamieszkać razem, ale chyba nie była na to jeszcze gotowa.

– To jak? – dociekał Szymon.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Mój były mąż twierdził, że mieszkanie ze mną pod jednym dachem to koszmar. Co prawda twierdził tak, dopiero jak mnie zaczął zdradzać, a wcześniej nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, ale wolę cię uprzedzić.

– Czuję się uprzedzony – uspokoił ją. – Mogę ci się w zamian zrewanżować zwierzeniem na temat swoich słabości.

– Tylko nie mów, że rozrzucasz po mieszkaniu skarpetki! – jęknęła. – I że chrapiesz. Albo że jesteś żonaty!

– Nie, skarpetek nie rozrzucam – uspokoił ją. – Żony nie mam. A o tym, czy chrapię, to chyba już miałaś okazję się przekonać. Za to nie potrafię tak umyć zębów, żeby nie zapluć lustra.

– Nie ma sprawy, ja też nie umiem – uspokoiła go Alicja.

– Czyli jesteśmy parą idealną i możemy się przeprowadzać. Mam nadzieję, że Łucja się zgodzi na moją obecność – stwierdził. – To mogę się zacząć pakować.

– Teraz? – zapytała nieco rozczarowana.

– Nie, teraz nie – uspokoił ją i zgasił światło. – Teraz mam coś zupełnie innego do roboty.

Jak można było się spodziewać, Łucja nie miała nic przeciwko temu, żeby Alicja zamieszkała u niej razem z Szymonem.

– Doskonały pomysł – stwierdziła. – Na pewno będzie ci raźniej. Nie jest to może odludzie, ale też nie blok, gdzie bez przerwy przez wizjer klatkę schodową obserwuje łyśy bodyguard Karasek. Wprowadzajcie się na zdrowie. Cała chałupa jest wasza. Polecam zwłaszcza sypialnię, mamy tam bardzo wygodne łóżko. Ale, ale... Kochana, dlaczego mam wrażenie, że wcale nie jesteś zadowolona z tego wspólnego mieszkania z Szymonem? Nie zaprzeczaj! Za dobrze cię znam, staruszko.

Alicja wzruszyła ramionami i odgryzła kawałek bardzo apetycznego ciasteczka.

– Mmmmm... – zamruczała.

– Niedobre? – zaniepokoiła się Łucja.

– Pyszne – wymamrotała przyjaciółka i sięgnęła po kolejne ciasteczko.

– To jedz. – Łucja dołożyła jej jeszcze dwa. – Przyniosła to pani, która u nas sprząta. Ja mam taki katar, że ani smaku, ani zapachu nie czuję. Mogłabym jeść teksturę.

– To żałuj, bo jest czego – powiedziała Alicja i wzięła kolejne ciastko. – Ale może ja cię już nie będę obżerać. Spróbujesz, jak ci ten katar przejdzie.

– To alergię. – Łucja wytrąbiła nos w chusteczkę. – Nie przejdzie mi przez najbliższy miesiąc, więc lepiej jedz. Dla Grześka mam michę w kuchni. Ale dlaczego ty nie skaczesz z radości, że się przeprowadzacie? Nie będziecie musieli już przemykać po klatce schodowej pod czujnym okiem łysego

Karaska. I miejsca będziecie mieli więcej. Czy ja ci już mówiłam, że mamy duże łóżko w sypialni?

– Tak, mówiłaś – odpowiedziała i odruchowo sięgnęła po ciasteczko, ale w ostatniej chwili cofnęła rękę. – Ale ja nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Nie brałam pod uwagę, że tak szybko będziemy mieszkać razem. Po historii z Pawłem mam chyba jakiś uraz psychiczny czy coś w tym stylu.

Łucja machnęła lekceważąco ręką.

– To będziesz miała akurat doskonałą okazję, żeby się go pozbyć – powiedziała. – Zresztą wyjeżdżamy tylko na trzy miesiące. To tak, jakbyście z Szymonem pojechali razem na bardzo długie wakacje. Przecież nie mieszkalibyście w osobnych pokojach w hotelu. I Pasztet z Rudym będą mieli lepsze warunki niż w twojej kawalerce.

– Twojej kawalerce – sprecyzowała Alicja. – A co z Wieśkiem?

– Z Wieśkiem? – powtórzyła przyjaciółka. – Chyba też trzeba go będzie tutaj przetransportować. Ale w ogródku go nie stawiaj, bo w sąsiedztwie ciągle mieszkają te upiorne dzieciaki, które go kiedyś do lasu wywlekły. Możesz go w pralni postawić. Albo w garażu.

– Pasztet nigdy by mi nie wybaczył, gdybym zamknęła jego przyjaciela w pralni. Stanie sobie w salonie na honorowym miejscu – zapewniła ją Alicja. – A właściwie to kiedy wy wyjeżdżacie?

– Dokładnie za miesiąc – odpowiedziała Łucja.

– Odwieziemy was na lotnisko – zadeklarowała przyjaciółka, a widząc zaniepokojony wzrok Łucji, szybko dodała: – Nie martw się, nie Czarownicą. Weźmiemy samochód Szymona. Dobra, muszę lecieć, bo dzisiaj wieczorem organizuję przyjęcie.

Alicja była właścicielką firmy „Wesoła rozwódka”, która zajmowała się organizowaniem przyjęć dla świeżo rozwiedzionych pań. Interes miał się świetnie, ludzie rozwodzili się na potęgę i pracy miała pod dostatkiem.

– Słuchaj! – krzyknęła Łucja, gdy przyjaciółka zbierała się do wyjścia. – Ja ci zapomniałam powiedzieć, że do tej twojej, to znaczy mojej kawalerki może na parę dni przyjechać kuzyn Grzegorza, Mirek. Ale dopiero po tym, jak ty się wyprowadzisz. Wpuść go.

– Ale przecież miał być ten remont – przypomniała jej Alicja.

– On mówi, że mu to nie przeszkadza. – Łucja wzruszyła ramionami. – Tak długo wiercił Grześkowi dziurę w brzuchu, że ten w końcu się zgodził. Podobno jakąś delegację dostał do Zabrzeżna.

– Delegację do naszego pipidówka? – zdziwiła się Alicja. – To czym on się właściwie zajmuje?

– Pojęcia bladego nie mam. Raz mówi, że jest bezrobotny i ciągle szuka zajęcia, a innym razem po kilku głębszych zwierzył się Grześkowi, że jest tajnym agentem. Agent, nie agent, wpuść go i daj mu klucze.

– Nie ma sprawy. Wpuszczę i dam – zapewniła ją Alicja.

Wyszła z domu Łucji i ruszyła w stronę osiedlowego parkingu, na którym zostawiła swój samochód. Po drodze minął ją policyjny radiowóz, który pędził gdzieś na sygnale.

– Ciekawe, co się stało. – Odprowadziła go wzrokiem. – Chyba nikogo nie zamordowali? Nie, skąd! Największym przestępstwem u nas jest kradzież cudzego prania z balkonu. Kto mi o tym opowiadał? Już wiem! Baśka, a jej chyba siostra. Ta, co ma jakieś konszachty z miejscową policją. Może znowu komuś świeżo wyprane gacie zwinęli?

Ruszyła dalej, ciesząc się, że mieszka w tak spokojnym miejscu. Paweł kiedyś wspominał o przeprowadzce do Krakowa albo Poznania, ale ona nie mogłaby żyć w wielkim mieście.

Alicja i Łucja stały obok drogi, a Szymon i Grzegorz wisieli nad otwartą maską samochodu i dłubali w środku.

– Nie martw się – Alicja pocieszała przyjaciółkę. – Na pewno zaraz uda im się uruchomić silnik i dojedziecie na czas na lotnisko. O, chyba już w porządku!

Samochód zakaszłał, wypluł z rury wydechowej kłęb dymu i znowu zdechł.

– A może byśmy spróbowali na piechotę? – zaproponowała zdesperowana Łucja. – Do lotniska mamy jakieś dwa kilometry, damy radę.

– I chcesz zasuwac środkiem autostrady z walizami? – zainteresowała się Alicja. – Nie szalej. Na

pewno zdążyście. A jak nie, to uprowadzę dla ciebie jakiś samolot.

Silnik wreszcie zaskoczył na dobre, cała czwórka wpakowała się do środka i ruszyli w stronę lotniska. Lucja i Grzegorz zdążyli na samolot, a Alicja i Szymon wrócili do siebie i każde z nich zaczęło się pakować. Szymonowi poszło szybciej, więc przyszedł pomóc Alicji.

– Co tam masz? – zapytał, widząc, że kobieta jego życia stoi na środku pokoju i ogląda jakiś list.

– Właśnie nie bardzo wiem – odpowiedziała. – To ta przesyłka, którą dał mi Karasek parę tygodni temu. Położyłam ją na komodzie w przedpokoju i musiała spaść, bo później nie mogłam jej znaleźć. Szukałam, ale kamień w wodę. Najpierw myślałam, że Pasztet z Rudym ją zżarł. Potem zaczęłam się zastanawiać, czy ja na pewno dostałam jakąś kopertę. A potem wyszła ta sprawa z przeprowadzką i kompletnie o niej zapomniałam.

– To otwórz w końcu, bo znowu gdzieś położysz, zapomnisz i nigdy się nie dowiemy, co było w środku – roześmiał się.

Alicja popatrzyła na rozmazany adres.

– Tyle że ja ciągle nie jestem do końca przekonana, że to do mnie – mruknęła.

Szymon parsknął śmiechem, wyjął jej list z ręki, otworzył, wyciągnął ze środka kawałek złożonego na cztery płótna. Rozprostował je ostrożnie.

– A to co za bohomasz, za przeproszeniem? – zapytała Alicja, zerkając mu przez ramię.

– Zaraz bohomasz – mruknął Szymon, oglądając uważnie zawartość przesyłki. – Może to jakieś wielkie dzieło sztuki? Takie za niewiarygodne pieniądze. Czasami, jak oglądam w telewizji to, co sprzedają na aukcjach, to myślę, że im większe bazgroły, tym więcej kasy za to można dostać. Słyszałaś, po ile chodzą obrazy malowane przez jednego szympansa?

– Ale tego chyba szympans nie malował? – orzekła adresatka tajemniczej przesyłki.

Obraz, a właściwie to chyba portret ślubny, wypełniała w większości kobieta. Że kobieta, można się było domyślić po obfitym biuście i imponującej burzy włosów w kolorze lekko przegniłej słomy, bo już subtelność rysów była raczej typowa dla steranego długoletnim nadużywaniem alkoholu traktorzysty z PGR-u. Włosy ozdobione miała zwojami tiulu udającymi welon, ale bardziej przypominającymi firankę, która spadła jej na głowę z oberwanego karnisza. Obok niej stał, a raczej usiłował nie wypaść z kadru, chudy i blady mężczyzna. Minę miał taką, jakby właśnie oberwał karniszem.

– Dzieło sztuki to nie jest – orzekła. – I nadal nie mam pomysłu, kto mi to mógł przysłać.

Szymon obejrzał uważnie kopertę.

– Tu chyba jest adres nadawcy – stwierdził. – I jakby wielka litera B. Znasz kogoś na B?

– Pojęcia bladego nie mam. Może Baśka? Ale po co miałyby mi wysyłać list? Zresztą mogę do niej zadzwonić i zapytać.

Wyciągnęła telefon z torebki i wybrała numer swojej szefowej w hotelowej restauracji, gdzie pracowała, i jednocześnie nieformalnej współpracownicy w firmie „Wesoła rozwódka”.

– Hejka! Czy ty mi przysłałaś list i portret? – zapytała.

– Ja? Paterę? A po miałabym ci przysyłać paterę? – zdziwiła się Baśka. – Prawie cię nie słyszę, bo synek siostry wrzucił mój telefon do wanny.

– Nie paterę, tylko portret! – krzyknęła do słuchawki. – Ślubny portret.

– Ale dlaczego ty tak krzyczysz? – zdziwiła się przyjaciółka. – Nie jestem głucha. A właściwie to jestem, bo siostra mnie odwiedziła, z dziećmi i kotem. Nie wiem, kto drze się głośniej. To co z tym portretem?

– Pytałam, czy mi go przysłałaś – powtórzyła. – Okropny jest. Znaczący ten portret ślubny.

– A skąd ja miałabym wziąć portret ślubny, i do tego okropny? Nie, ja ci czegoś takiego nie przysyłałam. Już prędzej moja siostra. Zaraz ją zapytam. Zuuuzka! Posyłałaś Alicji jakiś obraz? – Baśka krzyknęła tak głośno, że Alicja miała wrażenie, że ktoś przyłożył jej cegłówkę w ucho.

Odsunęła telefon od głowy i dobrze zrobiła, bo po drugiej stronie Zuzanna Roszkowska wyjęła siostrze telefon z ręki i ryknęła:

– Neeee! Nie posyłałam nikomu obrazu!

– Słyszałaś? – Baśka przejęła telefon od Zuzanny.

– Tak, tak – Alicja odpowiedziała szybko w obawie, że siostry mogą powtórzyć swoje odpowiedzi, a wtedy ogłuchnie na amen. – Będę w takim razie szukać dalej.

– A może my sobie zamówimy taki portrecik ślubny? – Szymon objął ją. – Co ty na to?

– Czy to są oświadczyńcy? – roześmiała się, a potem spoważniała. – Jeśli tak, to udam, że nie słyszałam. Jestem kobietą po przejściach, miałam już męża i ten jeden na długo mi wystarczy. I nie chciałabym wyglądać jak ta baba z portretu.

– Nie ma takiej możliwości. Ty wyglądałabyś pięknie. Już ja coś wymyślę, żeby cię przekonać – odpowiedział Szymon. – Kobieta po przejściach i mężczyzna z przeszłością to idealna para. A teraz powiedz, co robimy z gipsowym krasnałem? Zostaje tutaj? To super! Nie będę musiał przepychać go do kuchni za każdym razem, jak będę chciał cię przytulić. Zawsze mam wrażenie, że on nas podgląda przez dziurkę od klucza.

– Naprawdę masz jakąś przeszłość? Nie, lepiej nie odpowiadaj. Wolę nie wiedzieć, że jesteś Sinobrodym i w piwnicy wynajętego mieszkania zakopałeś tuzin narzeczonych. A Gipsowy jedzie z nami – odpowiedziała Alicja, a Szymon wrzucił z rezygnacją ramionami i zaczął przepychać krasnała w kierunku drzwi wyjściowych. – Paszтет i Rudy Sto Dwa nie darowałyby mi, gdybym go nie zabrała. Może to babcia Agata mi to przysłała? Tylko po co? To raczej nie ona i dziadek są na tym bohomazie. Muszę do niej zadzwonić.

– Miło cię słyszeć, wnuczko – odezwała się po drugiej stronie babcia.

– Dzień dobry. Babciu, czy ty mi wysłałaś obraz? – zapytała.

– Obraz? Jaki obraz? – zdziwiła się starsza pani.

– Taki portret ślubny w starym stylu – wyjaśniła. – W bardzo starym stylu.

– Mieliśmy kiedyś coś takiego – przypomniała sobie babcia Agata. – Muszę go poszukać. Chyba po przeprowadzce schowałam go do piwnicy, jak się okazało, że wszyscy znajomi takie mają i na dodatek wszyscy wyglądamy na nich identycznie. Jeden pacykarz w Zabrzeźnie traskał takie seryjnie. A odpowiadając na twoje pytanie, droga wnuczko... Nie, nie przysyłałam ci żadnego monidła.

– Monidła? – nie zrozumiała Alicja.

– Tak, monidło. Tak się te portrety nazywały. Pozdrów ode mnie Szymona.

– Pozdrowię i zajrzę do ciebie jutro – obiecała Alicja.

– Byłoby miło, ale jutro wyjeżdżam – odpowiedziała babcia. – Lecę do Meksyku z jednym arachnologiem. Podobno pojawił się tam jakiś niezwykły gatunek pajaków. Jedziemy go oglądać.

– Przecież ty nie znosisz pajaków, babciu! – krzyknęła.

– Toteż wcale nie zamierzam się do nich zbliżać. W hotelu przecież ich nie będzie. A ja zawsze marzyłam, żeby odwiedzić Meksyk. Chcieliśmy tam kiedyś pojechać z twoim dziadkiem, ale nie zdążyliśmy. To pojedę teraz z arachnologiem. Wyślę ci zdjęcia.

– Baw się dobrze i do zobaczenia po powrocie – powiedziała Alicja i rozłączyła się. – To nie babcia Agata. Kto to może być na B?

– Pomożesz mi? – Głos Szymona wyrwał ją z rozmyślań.

Schowała obraz do koperty i odłożyła na stertę dokumentów firmowych, które zalegały w wielkiej stercie na regale. Mężczyzna, który przed chwilą się jej oświadczył, teraz usiłował przepchnąć gipsowego krasnała w kierunku drzwi wyjściowych.

– Mam wrażenie, że ostatnio przytył – sapnął. – Czy ty go przypadkiem nie przekarmiasz? A może nocą wyżera z lodówki?

– Niewykluczone. Ostatnio często go zamykamy w kuchni – Alicja mrugnęła do niego. – Co ma tam robić? Biedak pewnie je z nudów. A tak poważnie, to zupełnie niedawno odkryłam, że on jest pusty w środku. Głowa mu się odkręca i można tam schować różne rzeczy.

Zademonstrowała Szymonowi. Gdy trzymała pod pachą odkręconą głowę w czerwonej czapeczce, Paszтет zawył przeraźliwie, a Rudy Sto Dwa zjeżył się i zaczął fukać.

– Już, już, spokojnie – uciszyła zwierzaki. – Nie zrobiłam waszemu przyjacielowi nic złego. Zaraz przykręcę mu głowę i będzie wyglądał jak zawsze.

Szymon z ciekawości zajrzał do środka.

– Nieźle tu nawpychałaś. – Pokiwał głową ze zdziwieniem. – Teraz można powiedzieć o nim, że to nadziany facet. Kobiety na takich lecą. Czy nie powinienem zrobić się o niego zazdrosny?

Alicja cmoknęła go w policzek.

– Nie martw się. Nie zamienię cię na Gipsowego. Jest dla mnie nieco za sztywny. Wolę bardziej wyluzowanych – powiedziała i przykręciła krasnalowi głowę.

Już chciała zabrać się za pakowanie książek, gdy nagle Pasztet zaczął szczeakać, a Rudy Sto Dwa miauczeć przeraźliwie. Spojrzała na swój zwierzyniec ze zdziwieniem.

– Co wam się stało? A, rozumiem. Przepraszam cię, Gipsowy – powiedziała.

Odkręciła głowę krasnala i przykręciła z powrotem tak, że nareszcie patrzył wprost przed siebie, a nie na swoje pośladki. Do wieczora udało im się spakować wszystkie rzeczy w obydwu mieszkaniach.

– Chyba przewieziemy to już jutro – westchnęła Alicja i rzuciła się na kanapę. – Dzisiaj to bym zasnęła za kierownicą. Łaaaa! Ale mi się chce spać. Chyba się na chwilę położę.

Po sekundzie oddychała równo, pogrążona w głębokim śnie. Szymon przykrył ją kocem i podłożył pod głowę poduszkę, za co podziękowała mu pełnym zadowolenia mruzeniem.

Wyprowadził na spacer Paszteťa, dał zwierzakom jeść, a wychodząc, przykazał:

– Macie nie budzić pani, futrzaki! Zajrzę do was rano. – I zamknął za sobą cicho drzwi.

Następnego dnia koło dziesiątej wszedł do mieszkania Alicji, korzystając z klucza, który dała mu kilka tygodni wcześniej. Usłyszał, że w łazience leci woda z kranu, więc zajrzał tam. Ale zamiast pięknej kobiety zobaczył faceta z maszynką do golenia w ręku i twarzą umazaną pianką.

– O! Przepraszam – powiedział i zamknął drzwi.

Po sekundzie ochłonął i chciał wparować do łazienki i zażądać wyjaśnień, a potem obić twarz intruzowi. A może w odwrotnej kolejności? Zdecyduje w trakcie – postanowił.

Już sięgał do klamki, gdy nagle drzwi od mieszkania otworzyły się i stanęła w nich Alicja. W ręku trzymała siatkę z bułkami.

– Już jesteś? – Uśmiechnęła się. – To fajnie. Zaraz zrobię śniadanie.

– Nie chcę śniadania. Chcę wyjaśnień – powiedział.

Z łazienki wyrzwał nieznajomy facet.

– Przepraszam, zaraz kończę i będziecie mogli skorzystać – powiedział z uśmiechem.

Gdy znowu zniknął, Szymon na migi pokazał Alicji, żeby poszła za nim do kuchni. Zwierzaki wślizgnęły się za nimi.

– Czy możesz mi to wyjaśnić? – zażądał.

– Ale co? – Alicja spokojnie wypakowała bułki. – Z serem chcesz czy z pasztetem? A nie, Pasztet zjadł pasztet. Więc będą z serem.

– Nie chcę bułek! – krzyknął Szymon. – Chcę wiedzieć, kim jest ten facet. Choć właściwie to się domyślam.

– Jak się domyślasz, to wszystko w porządku. Wstaw wodę na kawę – powiedziała i wręczyła mu czajnik.

– Ty uważasz, że to normalne, że twój były mąż pierze skarpetki w twojej łazience? – Szymon z hukiem odstawił czajnik na kuchenkę.

Alicja upuściła nóż na podłogę.

– Oszalałeś? – zapytała i podniosła nóż z podłogi. – Co mój były mąż miałby robić w mojej łazience? To znaczy łazience Łucji? Nie widziałam go od pół roku i mam nadzieję, że jeszcze długo nie zobaczę.

– To dobrze. – Szymon odetchnął. – Chociaż nie! To jeszcze gorzej!

Alicja odłożyła nóż i spojrzała na ukochanego mężczyznę.

– Może się zdecyduj – zaproponowała. – Mówiłeś przed chwilą, że to dobrze. Chcesz ten ser żółty?

– Nie – odpowiedział stanowczo Szymon.

– Nie chcesz sera? – zdziwiła się Alicja. – Myślałam, że lubisz. Przecież to gouda. Zawsze

mówiłeś, że lubisz goudę.

– Mówię o tym, że gorszy od twojego byłego w łazience jest jakiś obcy facet! – krzyknął. – Co to za jeden?

– Mirek – odpowiedziała. – Co z tym serem? Chcesz czy nie?

– Mirek, mówisz. – Szymon pokiwał głową. – To jakiś twój znajomy, jak rozumiem?

– Skąd. Pierwszy raz go widzę. – Wzruszyła ramionami. – Przyjechał dzisiaj rano, to go wpuściłam.

– Tak po prostu?

– A jak? To co z tym serem? – Alicja podniosła plasterk na nożu i obejrzała go pod światło. – Przecież to kuzyn Łucji. Ma tu mieszkać. Przyjechał dzień wcześniej, bo biletów na busa nie dostał i zabrał się furgonetką z jakimś znajomym, który akurat towar do hurtowni w Zabrzeźnie wiozł. Miałam mu kazać siedzieć do jutra na wycieracze?

– Więc to jest kuzyn Łucji – roześmiał się Szymon, zdjął ser z noża i zjadł.

– A myślałeś, że kto? – zdziwiła się. – Mój kochanek?

– Tak – odpowiedział i sięgnął po kolejny plasterk. – Pyszny ten ementaler.

– To gouda jest. Chyba zwariowałeś z tym kochankiem. – Pokręciła głową. – I nie wyjadaj, bo nie mam nic innego na kanapki i będziemy jedli suche bułki.

Mirek wyszedł z łazienki. Chciał zapukać do kuchni, ale cofnął rękę. Odgłosy dochodzące ze środka dosyć jednoznacznie wskazywały na to, że tych dwoje wołałoby, żeby im teraz nie przeszkadzać. Przez chwilę pokręcił się po pokoju. Pooglądał książki na półkach, poczochnął Paszteta i obejrzał z bliska pazurki Rudego Sto Dwa, który dosyć bezpardonowo dał mu do zrozumienia, że nie lubi obcych, co się próbują z nim spoufalać. Na koniec zainteresował się gipsowym krasnałem, który stał w kącie pokoju.

– A co ty, stary, masz taką krzywą główkę? – mruknął i spróbował poprawić gipsowy czerep. – To się odkręca? Ale numer! Jakiś schowek czy coś?

Odłożył głowę na bok i zajrzał do środka. Krasnał był wypchany po brzegi jak faszzerowana gęś. Już zamierzał przykręcić mu łeb z powrotem, ale okazało się, że coś wystaje i blokuje. Jedną ręką trzymając gipsowy czerep, drugą zaczął upychać wnętrzości Wieśka. Nagle reklamówka, która leżała na wierzchu, wpadła głębiej, a razem z nią zegarek, który Mirek miał na ręku.

– O ty w mordkę kopany! – zaklął i spróbował wyciągnąć zgubę, ale wpadła za głęboko.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, ale nie wpadło mu w oczy nic odpowiednio długiego i cienkiego. Na komodzie leżały tylko jakieś koperty. Wziął największą z nich, zwinął ją w rulon i usiłował wyciągnąć zegarek. Nagle ktoś poruszył klamką w kuchni. Mirek w panice wepchnął kopertę do wnętrza krasnała i przykręcił głowę Wieśka. Zdażył dosłownie w ostatniej chwili, bo drzwi do kuchni otworzyły się z impetem, uderzając o ścianę.

– Przepraszam – powiedział. – Łazienka jest już wolna. Tak chciałem powiedzieć, jakbyście chcieli skorzystać. Jeszcze raz przepraszam, że tak się wcześniej zjawiłem... I bez uprzedzenia.

– Nie ma sprawy, stary. – Szymon klepnął go tak serdecznie po plecach, że Mirek z jękiem przygiął się do podłogi. – Fajnie, że wpadłeś. Chcesz kanapkę z serem i herbatę? Alicja mówiła, że przyjechałeś z jakimś znajomym, który wiozł towar do hurtowni. Co to za hurtownia?

– Chyba rur, ale nie jestem pewny – odpowiedział Mirek.

Na wszelki wypadek odsunął się od podejrzenie wylewnego faceta.

Pijany, wariat albo zamaskowany gej – pomyślał.

– To super, stary – ucieszył się Szymon, a Alicja z trudem powstrzymała śmiech. – Jak kiedyś będę potrzebował rur, to dasz mi namiary na tego znajomego?

Mirek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Właściwie to mogę – odpowiedział.

– Super, chłopie, naprawdę super. – Szymon znów klepnął kuzyna Grzegorza w ramię, tak że ten zatoczył się lekko. – Dobra rura to prawdziwy skarb.

– Tylko że to takie wielkie rury – wyjaśnił Mirek i pomasaował sobie bark. – On to wiozł na budowę rurociągu. Nie wiem, czy ci się przydadzą.

– Nie, chyba nie, ale jakby co, to zadzwonię – zapewnił go Szymon.

– Oczywiście, oczywiście. Zadzwoni koniecznie – odpowiedział szybko kuzyn i pomyślał, że jak najszybciej musi zmienić numer telefonu, żeby ten wariat przypadkiem naprawdę do niego nie zadzwonił. – Miło się z wami gadało, ale muszę wyskoczyć na miasto coś załatwić.

– Poczekaj chwilę – powiedziała Alicja. – Zaraz dam ci klucze, bo my właśnie wywozimy ostatnią partię rzeczy i już tu nie wracamy.

Podowała mu zapasowy komplet kluczy, a Mirek chwycił je i wybiegł, jakby ktoś go gonił.

– Co mu się stało? – zdziwił się Szymon i sięgnął po kanapkę z serem.

– Pojęcia nie mam – odpowiedziała ubawiona Alicja i wrzuciła do szklanki z herbatą plasterki cytryny. – Chyba będziemy się zbierać. Od czego zaczynamy?

Szymon połknął na raz pół bułki i popił herbatą z jej kubka.

– Nie lubię herbaty z cytryną. – Skrzywił się. – Kwaśna!

– To nie pij mojej. Tu jest twoja bez cytryny. Chyba najpierw zwieziemy na dół Gipsowego – odpowiedziała Alicja. – Może uda nam się go jakoś upchnąć w bagażniku twojego samochodu? Potem go obłożymy tobołami z pościelą, żeby się nie poobtlukiwał, bo Łucja by mi nie darowała.

Szymon spróbował podnieść krasnala, a wtedy głowa zachwiała się i niewiele brakowało, a spadłaby na podłogę.

– Uważaj! – krzyknęła ostrzegawczo Alicja. – Nie dokręciłam chyba dobrze.

– Co on taki ciężki? – jęknął.

– Trochę rzeczy mu dopakowałam do środka dzisiaj rano – wyjaśniła Alicja. – Jakoś go chyba dopchamy do windy. Otwórz drzwi. Nie, zaraz! Poczekaj, aż zamknę Paszteta i Rudego Sto Dwa w kuchni.

Po chwili wróciła.

– Dobra, jedziemy – sapnęła i oboje z wysiłkiem zaczęli przepychać krasnala w kierunku drzwi wyjściowych.

Dotaskali go do windy, a potem oparci o ścianę po obydwu jej stronach sapali z wysiłku, czekając, aż dźwig dowlecze się z parteru. Wreszcie nadszedł, z charakterystycznym dla siebie rżeniem i piskiem. Szymon otworzył drzwi, podparł je nogą i zaczęli wciskać swój ładunek do wnętrza wąskiej kabiny.

Nagle za ich plecami otworzyły się drzwi mieszkania pana Karaska i wybiegła z nich suczka sąsiada. Podbiegła do windy i zaczęła szczekać na Gipsowego, a potem chwyciła za nogawkę Szymona. Ten, próbując się od niej jakoś łagodnie uwolnić, cofnął nogę, a wtedy drzwi windy się zatrzasnęły i kabina ruszyła w dół.

– Lecimy go łapać? – zapytała Alicja.

– Nie, nie ma sensu. – Szymon machnął ręką. – Zaraz go tu ściągniemy z powrotem.

Schylił się i pogłaskał psa, który uspokoił się po tym, jak gipsowy krasnal zniknął z jego pola widzenia. Nagle gdzieś na jednym z niższych pięter rozległ się pisk otwieranych drzwi do windy i przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety.

– Kurza stopa, Gipsowy! – krzyknęła Alicja i rzuciła się pędem po schodach, a Szymon za nią.

Dwa piętra niżej zebrał się już kiluosobowy tłumek. Drzwi do windy były otwarte, a naprzeciwko nich stała mieszkająca na tym piętrze niejaka pani Wolakowa i trzymała się za serce.

– Prawie zawału dostałam, jak go zobaczyłam. Myślałam, że to jaki bandyta, pani droga – opowiadała sąsiadce, która stała najbliżej. – Pamiętam, że dwadzieścia lat temu w mieście grasował jakiś bandyta, co się przebierał za krasnala.

– Trza go potłuc na kawałki i wyrzucić na śmietnik – poradził krewki mężczyzna z pierwszego piętra, którego Alicja kojarzyła, bo kiedyś chciał założyć w piwnicy siłownię. Nawet chodził po mieszkaniach i zbierał podpisy.

Przedarła się do przodu i stanęła w otwartych drzwiach windy, zasłaniając Gipsowego przed ewentualnymi atakami.

– Przepraszam, ale to jest mój krasnal. To znaczy mojej przyjaciółki – poprawiła. – Przepraszam,

nie sądziłam, że kogoś przestraszy. Zaraz go zabierzemy.

– Potłuc i wyrzucić – mruzczał facet od siłowni.

Do Alicji przedarł się Szymon.

– Jeszcze raz przepraszamy. To tylko gipsowy krasnał. Czy pani się źle czuje? – zwrócił się do kobiety, która ciągle trzymała się za serce i ciężko oddychała. – Jestem lekarzem. Możemy też wezwać karetkę.

Pani Wolakowa przez chwilę przyglądała mu się uważnie, jakby rozważała, czy dostać zawału, czy nie. Wreszcie wyprostowała się i odetchnęła głęboko.

– Ja teraz nie mam czasu na lekarzy. Muszę za pół godziny być w przychodni rejonowej, bo mi kolejka ucieknie. Niech pan zabiera tę kukłę z windy, bo muszę jechać – zażądała.

– Może w takim razie zjedźmy razem na dół. Musimy zapakować go do samochodu – zaproponowała Alicja.

Pani Wolakowa znowu złapała się z serce, a obfita pierś zaczęła jej falować.

– Ja z czymś takim do windy nie wsiądę – oznajmiła.

– Potłuc na kawałki – rozległo się z tyłu.

– Co pan z tym potłuc, panie Kwaśniak? – odezwał się dozorca, który właśnie przyczłapał z parteru. – A kto to będzie później sprzątał? Dozorca, co?

– Bo pan tak niby sprząta klatkę – prychnęła pani Wolakowa. – Schody od pół roku niezamiatane, a do poręczy to można się przykleić.

Reszta zgromadzonych przed windą sąsiadów mruknęła z aprobatą dla jej słów.

– Kosze na śmieci niemyte ze trzy lata. Śmierdzą na kilometr – krzyknął ktoś.

– Na czwartym piętrze od czerwca rozdeptane truskawki leżą – dodał ktoś inny.

– Jakby ludzie ręce myli, to by się poręcze nie brudziły. Ja za flejtuchów i brudasów sprzątać nie będę – fuknął dozorca i ruszył w dół po schodach. Na półpiętrze odwrócił się jeszcze, omiół wzrokiem szemrzący tłumek i huknął: – Ja porządku muszę pilnować. Proszę się rozejść i nie blokować klatki schodowej, bo to niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi.

– Niech pan lepiej meble z korytarza w piwnicy zabierze. Strażacy już trzy razy przypominali na kontrolach – ktoś krzyknął.

– A czy to moje meble? – Dozorca wzruszył ramionami.

– Pańskie, pańskie. Sam widziałem, jak pan żeś je wynosił z mieszkania – roześmiał się facet od siłowni.

– To nie ma nic do rzeczy. Proszę się rozejść! – krzyknął dozorca.

W czasie dyskusji z dozorcą Alicja i Szymon weszli do windy i wypchnęli z niej gipsowego krasnała.

– Może pani jechać – wysapał Szymon i otarł pot z czoła. – My poczekamy.

Pani Wolakowa z wyraźnym obrzydzeniem obeszła Gipsowego i wsiadła do windy, którą odjechała na dół. Alicja nacisnęła guzik. Tłumek powoli zaczął się rozchodzić, choć wszyscy sprawiali wrażenie, jakby na coś jeszcze czekali. I doczekali się. Winda wróciła z dołu, ze środka wysiadła starsza pani. Zmrużyła oczy, spojrzała na krasnała, złożyła ręce jak do modlitwy i wyszeptała:

– Stasiutek mój kochany. Wiedziałam, że wróci.

– Mamo, przecież to figura gipsowego krasnała, a nie tata. Tata umarł i zresztą nigdy tak nie wyglądał – wyjaśniła łagodnie kobieta w średnim wieku, która wysiadła za nią. – Załóż okulary, to sama zobaczysz.

Wyjęła starszej pani torebkę z ręki, pogrzebała w niej chwilę, wyciągnęła futerał i podała jej okulary.

– Faktycznie, masz rację – westchnęła jej matka. – Ale rumieńce to ma całkiem takie jak Stasiutek, znaczy twój ojciec.

– Mamo, ojciec nigdy nie miał rumieńców. Dopiero w zakładzie pogrzebowym mu domalowali – sprostowała córka.

– Pięknie wyglądał – westchnęła starsza pani. – Całkiem jak ten tutaj. I wzrostu też był

niedużego, ale taki nabity w sobie. Szkoda, że nie wrócił.

Kobiety zniknęły w swoim mieszkaniu, a Szymon z Alicją zapakowali Gipsowego do windy i już bez jakichkolwiek dalszych przeszkód i sąsiedzkich awantur zwieźli go na dół, zapakowali do bagażnika samochodu weterynarza, a potem stargali na dół resztę rzeczy i obłożyli nimi krasnała, żeby biedaczek się nie obtłukł po drodze. Na koniec zabrali zwierzaki. Po drodze musieli zjechać na pobocze i zatrzymać się, bo przepelniony bagażnik im się otwierał. Przejechali już większość drogi i mieli skręcić w uliczkę, która prowadziła wprost pod dom Łucji i Grzegorza, gdy nagle rozległ się dźwięk syreny radiowozu i policjanci zajęchali im drogę.

– Pasy mamy zapięte, prędkości nie przekroczyliśmy. Tylko spokojnie – mruzczała pod nosem Alicja, czekając cierpliwie, aż policjanci wysiądą z radiowozu i podejną do niej. Otworzyła okno.

– Komenda ruchu drogowego w Zabrzeżnie, posterunkowy Łukasz Szastarek – przedstawił się jeden z mężczyzn. – Proszę otworzyć bagażnik.

– To konieczne? – jęknęła Alicja. – Ledwo udało nam się go zamknąć.

– Proszę wykonać polecenie – zażądał służbowym tonem policjant i zrobił groźną minę.

– Otwórz – powiedział Szymon. – Potem go jakoś zamkniemy z powrotem.

Alicja nacisnęła guzik i bagażnik odskoczył. Policjanci pochyliłi się nad nim z zainteresowaniem. Widziała, jak jeden z nich mówi coś do radiotelefonu. Już chciała wysiąść, gdy drugi z policjantów jednym skokiem znalazł się przy drzwiach samochodu.

– Proszę zostać w środku i nie wychodzić. Przewożą państwo zwłoki w bagażniku – powiedział groźnie. – Zaraz tu będą technicy.

Alicja wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, a potem wybuchła śmiechem, a Szymon jej zawtórował.

– Słuchaj! – powiedział, piejąc z uciechy. – Oni znaleźli Gipsowego.

– Wiedziałam, że będą z nim kłopoty – zachichotała Alicja.

– Więc przyznają się państwo? – zapytał groźnie ten z policjantów, który wcześniej rozmawiał przez radiotelefon.

– Tak, przyznajemy się do przewożenia w bagażniku niejakiego Wiesława Gipsowego – powiedziała Alicja.

– Wiesiek? Nie mówiłaś nigdy, że on ma na imię Wiesiek – zdziwił się Szymon.

– Jakoś się nie złożyło. – Machnęła ręką, a potem zwróciła się do policjanta. – Proszę pana, nikogo nie zabiliśmy i nie przewozimy w bagażniku. Wiesiek jest gipsowym krasnałem. Może pan sprawdzić.

Policjant spojrział na nią ze zdumieniem, a potem podbiegł do bagażnika i zajrzał do środka. Patrzył i patrzył, aż Alicja nabrała wątpliwości, czy jakimś szalonym zbiegiem okoliczności jakiś trup jednak nie zawędrował do samochodu Szymona.

– Racja – zwrócił się do kolegi policjant. – Oni tam przewożą gipsowego krasnała. Już odwołałem techników. Dobrze, że pani zawczasu powiedziała, o co chodzi, bo koledzy nie daliby nam żyć. Pamiętasz, jak sobie używali na Ryśku? Biedak starannie zabezpieczył ślady krwi na schodach, a jak technicy to zbadali, to okazało się, że jednej babie wylał się sok malinowy. Chłopak przez rok miał przekichane, bo ile razy wzywał techników, to się pytali, co mu się tym razem rozlało. Niech państwo jadą i pilnują, żeby bagażnik był zamknięty, bo znowu ktoś do nas zadzwoni z informacją o zwłokach w bagażniku. Obywatele Zabrzeżna są czujni.

– Teraz rozumiem! – krzyknęła Alicja. – Jakiś facet tak nam się dziwnie przyglądał, jak Wieśka upychaliśmy. Swoją drogą, to dzisiaj już trzecia osoba bierze go za człowieka. Dziwne, bo mnie nigdy nie wydawał się podobny do kogoś żywego. Chyba muszę mu się dokładniej przyjrzeć.

Już miała zamknąć okno, gdy nagle coś przyszło jej do głowy. Spojrzała jeszcze raz na policjanta, który przedstawiał jej się jako pierwszy.

– Przepraszam – powiedziała, wychodząc z samochodu. – Pan ma na nazwisko Szastarek?

– Tak, a co? – Kiwnął głową zagadnięty stróż prawa o ruchu drogowym.

– Jeszcze raz przepraszam, ale to rzadkie nazwisko, a ja znałam kiedyś kogoś, kto tak właśnie się nazywał. I też był policjantem – powiedziała. – Mieszkał na Mazurach. Miał na imię Karol.

– A! To pewnie mój kuzyn – ożywił się mężczyzna. – A wie pani, że on jest tu u nas na szkoleniu?
– Niech go pan pozdrowi ode mnie – powiedziała. – Albo nie, lepiej nie. Na pewno już i tak mnie nie pamięta.

– Powinienem być zazdrosny o tego policjanta? – zapytał Szymon, gdy ruszyli.

– Żartujesz? – zapytała i zerknęła na niego. – Jasne, że żartujesz. Jeśli ktoś miałby być zazdrosny, to mój eks, bo wtedy byliśmy razem. Ten policjant planował rejs dookoła świata łodzią, którą sam wybudował. Ale stchórzyłam i ucieklam, żeby wyjść za Pawła. Teraz tego żałuję. Trzeba było płynąć na Bali.

Szymon pokręcił głową z udawaną troską.

– Będę musiał cię od teraz szczególnie pilnować, bo jeszcze mi uciekniesz z jakimś policjantem na koniec świata – powiedział i zrobił surową minę. – Na wszelki wypadek od razu się z tobą ożenię. Jedziemy do urzędu stanu cywilnego ustalić termin.

– Nie bredź, tylko otwórz bramę – prychnęła Alicja, zatrzymując się przed domem Łucji i Grzegorza. – Podjadę pod same drzwi, żebyśmy tego całego chłamu nie musieli zbyt daleko nosić. Przede wszystkim Gipsowego.

– Myślałem, że zostawimy go w ogródku – zdziwił się Szymon.

– Nie, skąd. – Wzruszyła ramionami. – Przecież ci mówiłam, że jak stał w ogródku, to go dzieci sąsiadów do lasu wywoziły. Jeszcze go ktoś z tego lasu zabierze i co ja wtedy powiem Łucji? Ona chyba lubi tego krasnala. Pasztet i Rudy Sto Dwa też.

Szymon wysiadł i otworzył bramę, a ona wjechała na podwórkę i zaparkowała pod drzwiami, a potem przez godzinę wnosili rzeczy.

– O matko, ja mam już dość! – jęknęła i rzuciła się na kanapę. – Już dawno się tak nie natyrałam.

– A krasnala to gdzie postawimy? – zapytał Szymon. – Tak na środku salonu to chyba nie może stać.

– Dzisiaj to już mi wszystko jedno, gdzie on stoi. – Próbowwała machnąć ręką, ale jęknęła z bólu. – Upchniemy go jutro. Przecież tutaj nikt na niego nie wpadnie i nie zrobi afery. Teraz idziemy spać. Trzeba tylko ściągnąć do domu Paszteta i Rudego Sto Dwa. Mam nadzieję, że progenitura z sąsiedztwa nie uznała, że trzeba im zwrócić wolność i nie wywieźli ich do lasu. Chyba nie dojdę dzisiaj do sypialni, tylko już tutaj zostanę.

– Nie zostaniesz – powiedział Szymon. – Chodź! A Paszteta i Rudego Sto Dwa już wpuściłem do środka i dałem im jedzenie. Śpią teraz jak zabici w holu.

Pociągnął ją za rękę.

– Nie, zostaw. Nie mam siły – jęknęła.

– Zrobię ci masaż, to od razu poczujesz się lepiej – kusił.

– Zaraz, zaraz... Kurza stopa! Przecież ja muszę jeszcze znaleźć Maryskę! Łucja by mi nie wybaczyła, gdybym nie dała jeść staruszce – odsunęła się od niego. – W tej szafce powinno być żarcie dla tej wariatki. Gdzie ona się szlaja o tej porze, latawica jedna?

– A sama nie może sobie wziąć? – zdziwił się Szymon. – A właściwie to dlaczego ty się o krewnej Łucji wyrażasz tak kompletnie bez szacunku? Wariatka, latawica? I kto to właściwie jest? Babka, ciotka? Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że zamieszkamy tutaj sami i będziemy biegać nago po schodach.

– Maryśka to stara kocica – odpowiedziała i otworzyła kolejną szafkę. – Gdzie to może być? Zapomniałam zapytać Łucji.

– Stara kocica? – zdziwił się. – Tak mówiła moja babcia o jednej pani lekkich obyczajów, która mieszkała w sąsiedztwie. Tylko mi nie mów, że twoja przyjaciółka ma kogoś takiego w rodzinie.

– Właściwie to nie ona. – Alicja wlaźła na krzesło, żeby zajrzeć na najwyższą półkę. – Grzegorz ją przywiózł i już została. Nareszcie mam!

Pokazała triumfalnie sporą puszkę.

– Grzegorz karmi swoją krewną, biedną, upośledzoną umysłowo staruszkę żarciem dla kotów? – zdziwił się. – Masz bardzo dziwnych przyjaciół.

– Ale Maryśka za tym przepada. O! Właśnie widzę, jak włązi przez otwarte okno.

Szymon odwrócił się szybko, żeby zobaczyć staruszkę, która wciska się przez okno, ale zamiast niej zobaczył wielką burą kocicę z ogromnymi błyszczącymi ślepiami.

– A więc to jest Maryśka! – roześmiał się. – Nie mówiłaś, że to kotka.

– Jak to nie mówiłam? Przecież wyraźnie ci powiedziałam, że to stara kocica jest. Jedz, Maryśka, a ja sobie usiądę na chwilunię na kanapie.

Szymon przez chwilę przyglądał się pięknemu zwierzakowi, który posilał się niespiesznie.

– My też chyba się położymy – powiedział, nie odwracając się. – Moja propozycja masażu jest ciągle aktualna.

W odpowiedzi usłyszał tylko niewyraźne pomruki i potężne ziewnięcie. Spojrzał i uśmiechnął się na widok postaci skulonej na kanapie. Zarzucił sobie Alicję na ramię, wniósł po schodach jak worek z kartoflami i rzucił na łóżko.

Komendant Paweł Gaweł zaciągnął rolety w oknie sali konferencyjnej, a potem odwrócił się i spojrzał na siedzących wokół stołu policjantów i policjantki.

– Przepraszam, że tak późno was tu ściągnąłem, ale dopiero teraz wróciłem z wojewódzkiej – powiedział i zawiesił na chwilę głos.

– Rozwiązują nas? – zapytał jeden z podwładnych.

Wokół stołu podniósł się szum.

– Uspokójcie się. – Komendant uderzył lekko dłonią o stół. – Na razie wszystko zostaje po staremu. Paradoksalnie przysłużyła nam się ta kradzież obrazu. Mamy się zająć rozwiązaniem tej sprawy.

Po sali przebiegł szmer ulgi.

– Ale jeśli nie uda nam się tego zrobić w ciągu kilku najbliższych tygodni... – kontynuował: – Jeśli nam się nie uda, sprawę przejmie wojewódzka, a komenda w Zabrzeźnie zostanie zlikwidowana. Dlatego bierzmy się szybko do roboty. Co mamy?

– Na razie mamy tylko malarza, który przychodzi do nas codziennie i domaga się odnalezienia bezcennego dzieła sztuki. Tak mówi o obrazie, który skradziono. On go namalował, a potem podarował muzeum regionalnemu w Zabrzeźnie – powiedział Łukasz Szastarek. – Karasek się nazywa.

– Obraz się nazywa Karasek? – zdziwił się Rysiek.

– Nie, no skąd – wtrącił się komendant. – Malarz, który podarował obraz. A obraz ma taki dziwaczny tytuł, „Panna z Monidła”. Co to za monidło?

– Może chodzi o to Monidło, co to jeszcze niedawno było wsią pod Zabrzeźnem? – podpowiedział jeden z policjantów. – Może tam trzeba szukać tej panny, to znaczy tego obrazu.

Śniło jej się, że płynie łodzią po jakimś ogromnym morzu albo oceanie. Łódź do złudzenia przypominała tę, którą przed laty pokazywał jej znajomy policjant na Mazurach. Ale tym razem za sterem siedział nie on, tylko Paweł.

– Co ty tu robisz? – zapytała. – I co ja tu robię?

– Płyniemy razem w rejs dookoła świata – odpowiedział. – Zawsze o tym marzyłaś, więc specjalnie dla ciebie wybudowałem łódkę. Cieszysz się, Alutek?

– Nie mów do mnie Alutek – fuknęła. – Tyle razy cię o to prosiłam. Nie znoszę tego! A w ogóle, to nie jest twoja łódka, tylko Karola.

– Kupiłem ją od niego – oświadczył eksmaż. – Specjalnie dla ciebie, i będziemy tak sobie pływać.

Miała ochotę wyskoczyć za burtę, ale pływała słabo, a na dodatek kij wie, czy w pobliżu nie było rekinów.

– A co z Tanią? – zapytała i odsunęła się od Pawła jak tylko się dało najdalej.

– To była pomyłka – oświadczył jej dawny mąż. – Zrozumiałem, że to ty jesteś jedyną miłością mojego życia. Nigdy się już nie rozstaniemy. A Tinę udusiłem pończochą. Zawsze lubiła pończochy samonośne. Mam tu jej zwłoki. Wyrzucimy je do oceanu, a potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Przeżrana Alicja wrzasnęła i usiadła na łóżku. Po kilku sekundach dotarło do niej, że to nie ona

krzyczała. Wrzaski dochodziły z salonu na dole.

– Szymon! – Szarpnęła za ramię śpiącego obok mężczyznę.

– Co? – odpowiedział półprzytomnym głosem i przyciągnął ją do siebie.

– Ktoś jest na dole – powiedziała i ściągnęła z niego kołdrę. – Może to włamywacze?

Na zdrowy rozsądek włamywacze raczej zachowywaliby się cicho, a nie wrzeszczeli jak opętani, ale Alicji trudno było w takiej chwili zdobyć się na trzeźwy osąd sytuacji.

– Albo duchy? – Wpadła na kolejny pomysł, o tyle uzasadniony, że dom był stary.

Szymon wstał i ruszył w stronę schodów.

– Weź to – szepnęła i podała mu jedną z kamiennych lamp, które stały na nocnych szafkach po obydwu stronach łóżka.

Ponieważ lampa stawiała opór, Alicja szarpnęła nią i... wyrwała gniazdko ze ściany. Spojrzała na dyndający na końcu kontakt.

Trudno – pomyślała. – Łucja na pewno się nie obrazi. W końcu ratujemy jej dobytek. A lampę na pewno da się naprawić.

Szymon już zszedł na dół, więc ruszyła za nim, gotowa w każdej chwili pospieszyć ukochanemu mężczyźnie z pomocą. Widziała nieraz na filmach, jak dzielna kochanka wali po łbie napastnika atakującego jej mężczyznę. Na próbę podniosła lampę do góry. Ale czortostwo było tak ciężkie, że zachwiała się, zaplątała w kable i runęła w dół. Na szczęście tylko z dwóch ostatnich schodków. Stoczyła się do salonu i, leżąc na plecach z lampą w objęciach, ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Zobaczyła Szymona i jakąś obcą kobietę w wieku swojej matki. Nieznajoma nie wyglądała na włamywaczkę.

Ale kto ją wie? – pomyślała, gramoląc się z podłogi. – Przecież ja nie mam bladego pojęcia, jak wyglądają włamywaczki.

Na wszelki wypadek ujęła mocno w dłoń swój oręż i podeszła do Szymona. Dopiero teraz zauważyła, że obok kobiety warują Pasztet i Rudy Sto Dwa.

– Zabierzcie te zwierzęta – zażądała kobieta i wskazała na psa końcem parasola. – Nie wiadomo, czy nie mają wścieklizny.

– Oczywiście, że... – Alicja już zamierzała odpowiedzieć, że nie tylko wściekliznę, ale też świerzb, ale zamilkła pod wpływem spojrzenia, które posłał jej Szymon.

– A w ogóle, to co wy tu robicie? – krzyknęła kobieta i spróbowała odsunąć parasolką Rudego Sto Dwa.

Kot potraktował to jako zachętę do zabawy i chwycił zębami wzorzysty materiał. Pasztet postanowił się przyłączyć i już po chwili biegali wokół kobiety. Maryśka obserwowała całą sytuację ze swojej poduszki na parapecie, ograniczając się do prychnięć.

– Precz! – krzyknęła kobieta. – Tego już za wiele. Zaraz wezwę policję. A w ogóle to gdzie są pani Łucja i pan Grzegorz?

Spojrzała na lampę w rękę Alicji i zbladła. A potem cofnęła się w stronę drzwi.

– To pani zna Łucję i Grzegorza? – zdziwiła się Alicja.

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta. – Przecież sprzątam tu raz w miesiącu. Ada Hucuł.

Alicję nagle olśniło. Gospościa przyjaciółki!

– Pamiętaj, żeby jej niczym nie urazić – prosiła Łucja przed wyjazdem. – Ona jest strasznie wrażliwa i potem przez pół roku się nie zjawi. I tak mam zawsze z nią kłopot, bo uważa, że Grzegorz robi jej na złość i sprząta swoje biurko. Zawsze go proszę, żeby zrobił przed jej przyjściem jakiś spektakularny bałaganik. Obiecuję, że tym razem na pewno nabalagani, ale jak zbliża się termin sprzątnięcia, to oczywiście zapomina. Proszę cię, nie zniechęć jej do siebie, bo muszę mieć kogoś, kto nas odgruzuje raz w miesiącu. Ona jest naprawdę niezrównana! Wszystkie sąsiadki ostrzegają się, żeby mi ją podebrać. Ale ona ma takie obłożenie, że nowych zleceń nie przyjmuje. Aha! I nie zdziw się, jak przyjdzie bladym świtem albo nawet w środku nocy. I nie rób jej wymówek, bo się bankowo obrazi. Ja cię bardzo proszę!

A teraz ona, najlepsza przyjaciółka Łucji, zrobiła wszystko, żeby ten skarb się śmiertelnie obraził.

Musiała jakoś temu zapobiec. Na początek odebrała parasolkę Pasztetowi i Rudemu Sto Dwa i podała właścicielce. Pani Ada rozłożyła odzyskany przedmiot i oczom wszystkich okazała się wielka dziura. No tak! To teraz już sobie na pewno pójdzie.

– Bardzo panią przepraszamy – powiedział Szymon. – Pokryjemy koszt naprawy parasolki. Albo jeszcze lepiej, odkupimy. Na pewno znajdziemy coś podobnego.

Pani Ada spojrzała na niego z oburzeniem.

– Odkupić? Podobnego? – zatchnęła się. – To niemożliwe! Ja tę parasolkę dostałam trzydzieści lat temu...

Oj, niedobrze! – jęknęła w duchu Alicja.

– Pani doktorowa Żwirska-Kucka dała mi ją w prezencie urodzinowym – kontynuowała pani Ada.

To już całkiem źle! – załamała się Alicja.

– A ona sama kupiła ją w Paryżu, u starego przedwojennego parasolnika – dokończyła kobieta.

– W sklepie przy ulicy Le Passage de l’Ancre.

Mogła, kompletna mogła! – zawyla dusza Alicji.

– Znam ten warsztat – wtrącił się Szymon. – Przechodziłem tamtędy, gdy ostatnio byłem w Paryżu. Zamówimy dla pani identyczny parasol. Obiecuję.

Pani Ada spojrzała na niego. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, jakby coś rozważała, po czym uśmiechnęła się. Alicja odetchnęła z ulgą. Okazało się jednak, że o kilka sekund za wcześnie.

– To wszystko w porządku – powiedziała. – Ja się teraz rozpakuję, a potem zabiorę się do sprzątnięcia. Jutro przywiozę resztę swoich rzeczy.

Alicja otworzyła usta ze zdumienia.

– Resztę rzeczy? – powtórzyła ostatnie słowa pani Ady. – Czy to znaczy, że...

– Tak. Zostaję tutaj – oświadczyła kobieta. – Ktoś musi przypilnować domu pani Łucji i pana Grzegorza. A pan powinien się zacząć lepiej odżywiać. – Spojrzała z troską na Szymona, a potem z potępieniem na Alicję. – Państwo to już się chyba nie kładą?

– A dlaczego nie? – zapytała ze zdziwieniem Alicja. – Przecież dopiero szósta rano.

Pani Ada pokręciła z dezaprobatą głową.

– Pan Grzegorz o tej porze zawsze biega – powiedziała.

Alicję przepełniło współczucie dla partnera.

– A pani Łucja mu towarzyszy – dodała kobieta.

Już zamierzała zaprotestować, że ona nie znosi biegania. Dostaje zadyszki i skurczów. Ale przypomniała sobie o prośbie przyjaciółki, więc ugryzła się w język i poczłapała za Szymonem do sypialni, żeby się przebrać.

Po kwadransie wyszli z domu.

– Psa niech państwo wyprowadzą – powiedziała pani Ada i podała Szymonowi smycz.

Pasztet, który nigdy nie wychodził o tak wczesnej porze, spojrzał ze zdziwieniem na swoją właścicielkę, a potem usiłował ją przekonać, żeby zostali w domu, ciągnąc smycz w odwrotnym kierunku. Pani Ada jednak otworzyła drzwi i spojrzała na niego tak wymownie, że natychmiast podkulił ogon i posłusznie dał się wywlec na zewnątrz.

Alicja i Szymon przetruchtali posłusznie kilkadziesiąt metrów wzdłuż płotu pod czujnym okiem swojej nowej gospodyni, a potem skorzystali z pierwszego zakrętu, żeby zniknąć jej z oczu. Alicja oparła się o ogrodzenie, ciężko dysząc.

– Poczekaj – wyrzęziła do Szymona, który ją wyprzedził. – Jak przebiegnę jeszcze dwa centymetry, to padnę nieżywa. Nie znoszę biegania.

– Właśnie widzę – roześmiał się mężczyzną jej życia. – Oprzyj się o mnie. Co robimy? Wracamy?

– Mowy nie ma! – krzyknęła i zanosła się astmatycznym kaszlem. – Ta straszna kobieta znowu nas wygoni. Ona powinna być klawiszem w więzieniu. Może ty biegnij dalej, a ja sobie tu posiedzę i poczekam na ciebie.

– A jak pani Ada postanowi wyjść z domu i cię tu znajdzie? – zapytał, a potem zażartował: – Jeszcze się obrazi, że nie chcesz korzystać z jej rad i nie będzie sprzątała u twojej przyjaciółki. Lepiej wstawaj i przejdziemy się kawałek. Dasz radę iść.

Alicja wstała z podmurówki, na której przysiadła, i ostrożnie zgięła i wyprostowała najpierw lewą, a później prawą nogę.

– Iść mogę – oświadczyła. – Ale powoli. Nie tak szybko!

Spacerkiem ruszyli przez osiedle domków jednorodzinnych. Doszli do skwerku i zobaczyli uchylone drzwi osiedlowej piekarni-cukierni z dwoma stolikami na zewnątrz.

– Ja dalej nie idę – oświadczyła stanowczo Alicja. – Tu mi się podoba i tu zostanę. Możesz iść dalej albo zostać ze mną i kupić mi rogalika. Przez ten spacer straciłam tyle kalorii, że muszę coś zjeść.

Szymon zniknął, a przez rynek przejechał na sygnale radiowóz.

– Co oni tak jeżdżą? – mruknęła.

– Co mówiłaś? – zapytał Szymon, który pojawił się z dwoma rogalikami maślanymi w papierowej torebce i dwoma kubkami kawy na styropianowej tacce.

– Zastanawiam się, dlaczego policja tak szaleje od kilku dni po Zabrzeżnie. Super żarcie! – Sięgnęła po rogalika. – Chyba polubię te poranne przebieżki.

– Może muszą wyjeździć normę czy coś... – próbował zgadywać Szymon. – Odkąd jesteśmy w Unii, obowiązują różne dziwne przepisy. Wiesz, że marchewka to owoc, a ślimak to ryba?

Posilali się, wystawiając twarze do słońca, które łaskawie wyjrzało na chwilę zza burch chmur. W pewnej chwili z wnętrza piekarni wyszedł mężczyzna, który wcześniej stał za ladą. Postawił przed Pasztetem miskę z wodą, a potem zaczął im się tak uważnie przyglądać, że Alicja poczuła się trochę dziwnie. Zaczęła się całkiem poważnie zastanawiać, czy aby nie jest poszukiwana przez policję. A może któryś z jej znajomych zrobił jej jakieś idiotyczne zdjęcia, opublikował na fejsie i teraz jest gwiazdą internetu? I wszyscy na całym świecie oglądają, jak dłubie w nosie albo ziewa?

– Nigdy tu państwa nie widziałem – odezwał się wreszcie mężczyzna. – Przepraszam, że tak się przyglądam, ale my tutaj żyjemy wszyscy po sąsiedzku i nawzajem się znamy. Państwo kupili niedawno dom?

– Nie – odpowiedział Szymon. – Nasi znajomi wyjechali i poprosili nas, żebyśmy popilnowali ich domu. To... – tu wymienił nazwisko Łucji i Grzegorza.

– A! To znam – wyraźnie ucieszył się właściciel piekarni. – Pan Grzegorz uwielbia chleb z mojej piekarni.

– No tak – Alicja roześmiała się. – Pewnie wpadają tutaj po porannym joggingu.

– Joggingu? – Mężczyzna zdziwił się. – Nie, nigdy nie widziałem, żeby biegali.

Alicja i Szymon spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, a potem skończyli swoje kawy i wstali od stolika.

– Do widzenia. – Alicja uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Do widzenia – przyłączył się do niej Szymon. – Jutro też zajrzemy na kawę i rogaliki.

– Dlaczego powiedziałeś, że jutro też przyjdziemy? – zapytała, gdy oddalili się od skwerku.

– A myślisz, że jutro pani Ada pozwoli nam dłużej pospać i nie każe biegać? – odpowiedział pytaniem Szymon.

– Nie! – jęknęła Alicja. – Ja tego chyba nie przeżyję. Codziennie wstawać rano i biegać!

Pasztet zawył jej do wtóru głosem pełnym rozpacz. Doszli do domu. Alicja pchnęła drzwi wejściowe, przepuściła przodem Paszteta i weszła za nim.

– Okradła nas i uciekła – szepnęła ze zgrozą. – To znaczy nie nas, tylko Łucję i Grzegorza. Wymyśliła to bieganie, żeby się nas pozbyć. Przecież piekarz mówił, że oni nigdy nie biegają!

Szymon wszedł za nią i rozejrzał się po salonie. Pomieszczenie było kompletnie ogołocone z mebli.

– Kurza stopa! – jęknęła Alicja. – Pewnie zaraz po tym, jak zniknęliśmy za rogiem, podjechała ciężarówka. Załadowali wszystko migiem i teraz szukaj wiatru w polu. Czytałam o takich przypadkach.

– Może tu jest jakiś monitoring na osiedlu? – zasugerował Szymon.

– Tablice rejestracyjne i tak pewnie mieli zaklejone albo sfalszowane. A może w ogóle ukradli komuś ciężarówkę? W każdym razie trzeba będzie zawiadomić policję. Dobrze, że zabrałam ze sobą komórkę, bo ją też pewnie by buchnęli – powiedziała Alicja i sięgnęła do kieszeni bluzy po telefon. Czekala na połączenie z numerem alarmowym, gdy nagle przez drzwi prowadzące na taras i dalej do ogrodu weszła pani Ada.

– Już państwo wrócili? To ja podam zaraz śniadanie – powiedziała i jak gdyby nigdy nie skierowała się do kuchni. – Tylko proszę dobrze buty wytrzeć, bo podłogi wymyłam.

Szymon i Alicja spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

– Ale... Gdzie się podziały wszystkie meble? – zapytała przyjaciółka pani domu.

– Meble? Wystawiłam do ogrodu – odpowiedziała samozwańcza gosposia. – Już od dawna należało im się solidne mycie i trzepanie, a nigdy nie było na to czasu. Wiosna to najlepsza pora na generalne porządki.

– Ale teraz jest jesień – zwrócił jej uwagę Szymon, a Alicja dyskretnie kopnęła go w kostkę.

– Właśnie – powiedziała pani Ada kategorycznym tonem i wkroczyła energicznym krokiem do Łucjowej kuchni. Po chwili wystawiła stamtąd głowę i dodała: – I ręce proszę umyć, a psu łapy wytrzeć. Tam w kącie zostawiłam ścierkę.

Alicja sięgnęła we wskazanym kierunku, a w tym samym momencie Pasztet szarpnął smycz i wyskoczył przez otwarte drzwi do ogrodu.

– To mycie łap mamy z głowy – skwitował Szymon. – Ciekawe, co go tak pognało.

– Pewnie pobiegł za Rudym Sto Dwa – domyśliła się Alicja. – Jego też nie ma w domu. Pani Ado! Gdzie jest Rudy Sto Dwa?

– Kto? – Gosposia wystawiła głowę i niemal natychmiast ją schowała.

– Taki rudy kocur – krzyknęła Alicja.

– Do ogrodu wyrzuciłam, bo mi się pod nogami plątał i w sprzątaniu przeszkadzał – brzmiała krótka odpowiedź udzielona już z głębi kuchni.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Dobrze przynajmniej, że Gipsowy stoi w miejscu, bo pewnie też wylądowałby na czas generalnych porządków w ogródku. Pani Ado! Gdzie jest Gipsowy?

– Też wyrzuciłam do ogrodu – dobiegł ich z kuchni głos tak stłumiony, jakby gosposia trzymała głowę w zamrażarce albo w piekarniku.

– Dzieci sąsiadów! – krzyknęli równocześnie Szymon i Alicja i wybiegli na taras.

Gipsowy stał w kącie ogrodu. Po dwóch jego stronach ułożyli się pies i kot.

– Wyglądają, jakby go pilnowali – roześmiał się Szymon. – Tylko ciekawe przed kim?

– Przed nimi – Alicja pokazała na dwie rozczochrane główki, które wystawały znad ogrodzenia po stronie sąsiadów. – Zgaduję, że to są te słodkie dzieciątka, które poprzednio wywiozły go na wózku. Pewnie teraz knują coś podobnego. Nie ma wyjścia, musimy go wtargać z powrotem do domu. Jak go częściej będę zmuszona nosić, to ręce wyciągną mi się do samej ziemi i ludzie będą mnie mylić z małpą.

Ruszyła w stronę Gipsowego, a Szymon za nią. Już zaczęła się przymierzać do przepchnięcia krasnala, ale powstrzymał ją.

– Zostaw. Zaraz załatwimy sobie jakiś transport – powiedział szeptem, a potem krzyknął w stronę płotu, na którym ciągle wisały dzieci z sąsiedztwa: – Macie może jakiś wózek?

Jedna blond główka spojrzała na drugą porozumiewawczo, po czym obydwie skinęły potakująco.

– Pożyczycie mi na chwilę? – zapytał.

Znowu wymiana porozumiewawczych spojrzeń i decyzja zapadła.

– Pożyczymy, ale da pan pięć złotych – zaproponował chłopiec.

– Dwa złote. – Szymon postanowił się potargować.

Krótką naradą.

– Dobrze, ale dołoży pan dwa lizaki truskawkowe – zaproponowała dziewczynka.

– Lizaków pan nie ma – odpowiedział z uśmiechem. – Dołożę złotówkę. To moja ostatnia propozycja.

Znowu krótka narada po drugiej stronie płotu i po chwili dzieci pojawiły się z drewnianym wózekiem.

– A tamta pani to nam zapłaciła pięć złotych i dodała po cukierku czekoladowym – powiedział z pretensją chłopiec, odbierając pieniądze.

– Jaka pani? – zainteresowała się Alicja.

Ale dzieciaki już zniknęły po swojej stronie ogrodzenia, zostawiając wózek. Gipsowy został szybko przetransportowany na taras.

– Wiesz co? – szepnęła Alicja, patrząc w stronę domu sąsiadów. – Ja myślę, że one już kombinowały, jak wywieźć tego biedaka do lasu. Nawet wózek miały przygotowany. Musimy go lepiej pilnować i kategorycznie zakazać pani Adzie wystawiania go do ogrodu.

Przy tym ostatnim zdaniu Szymon spojrzał na nią z powątpiewaniem. Raczej żadne z nich nie odważy się niczego zakazać gosposi. A już na pewno nie kategorycznie.

[1] Historia ta została opisana w powieści *Wesoła rozwódka*, opublikowanej przez Wydawnictwo Replika w 2017 roku.

ROZDZIAŁ II

DESZCZ MOŻE POWAŻNIE POKRZYŻOWAĆ ŻYCIOWE PLANY, A OD PRZYBYTKU CZASAMI BOLI GŁOWA

Paweł, słysząc kroki na schodach, schował szybko kopertę, którą wyciągnął ze skrzynki.

– Myślałam, że już nigdy nie zaśnie. – Tina odetchnęła z ulgą i rzuciła się na kanapę. – Nareszcie mamy chwilę czasu dla siebie. Pomasujesz mi stopy, skarbie?

Spojrzał roztargnionym wzrokiem i zaczął masować jej plecy.

– Przestań! – krzyknęła. – Przecież wiesz, że nie znoszę masowania pleców.

– Naprawdę? – zdziwił się. – A byłem pewny, że to uwielbiasz.

– Może mnie z kimś pomyliłeś? – fuknęła urażona Tina i odsunęła się od męża. – Na przykład z twoją byłą.

– Z Alicją? – zdziwił się. – Nie. Ona nie lubiła masażu pleców. Uwielbiała, jak jej masowałem szyję.

Uśmiechnął się do wspomnień z czasów swojego pierwszego małżeństwa, a Tina zacisnęła usta. Pewnie rozpętałyby jakąś scenę zazdrości, gdyby na górze nie rozległ się płacz dziecka. Gdy żona zniknęła na piętrze, Paweł wyciągnął kopertę i jeszcze raz przeczytał list z sądu. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Wreszcie podjął decyzję. Podszedł do schodów i przez chwilę nasłuchiwał. A potem sięgnął po kluczyki do samochodu i kurtkę i szybko wyszedł z domu. Żona, widząc przez okno, jak otwiera bramę, odłożyła dziecko do łóżeczka i wybiegła na balkon, ale on zdążył już odjechać. I oczywiście zapomniał zabrać telefonu. Na mieście nie było korków, więc szybko dojechał pod blok z wielkiej płyty, w którym jego była żona wynajmowała mieszkanie od swojej przyjaciółki.

Która to była? – zastanawiał się, zamykając samochód. – Karolina? Nie. Łucja. Tak, na pewno ta wariatka Łucja. Zresztą one wszystkie są zdrowo szurnięte.

Był przygotowany na to, że Alicja nie zechce z nim rozmawiać, o wpuszczeniu do mieszkania nie wspominając. Jakież więc było jego zdumienie, gdy po naciśnięciu guzika przy domofonie usłyszał brzęczyk. A był przygotowany na długą dyskusję z metalową zardzewiałą skrzynką. Wjechał na górę i zadzwonił. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Tyle że zamiast swojej byłej żony, po drugiej stronie zobaczył jakiegoś obcego faceta. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, wreszcie nieznajomy powiedział zniecierpliwionym tonem:

– Przywiózł pan czy nie?

Paweł zamrugał ze zdumienia.

– A co miałem przywieźć? – zapytał.

– Jak rany koguta – zirytował się facet. – No przecież pizzę. Kochanie, jaką zamawialiśmy?

To ostatnie pytanie było skierowane do kogoś w głębi mieszkania

– Hawajską z podwójnym serem – dobiegł do uszu Pawła wysoki, wibrujący damski głos, który z całą pewnością nie należał do jego byłej żony.

Pomylił piętro albo mieszkanie? Nie, wszystko się zgadzało. Pamiętaj ten odłupany kawał tynku obok windy. Gdzie w takim razie była Alicja? I co tu robił ten okropny facet?

– To ma pan tę pizzę czy nie? – zapytał zniecierpliwionym tonem mężczyzna.

– Nie mam żadnej pizzy. Chciałem się zobaczyć z moją żoną, to znaczy z Alicją Wiatrak – wyjaśnił.

– A to nie znam – padła odpowiedź i drzwi już miały się zamknąć, ale Paweł w ostatniej chwili zablokował je butem.

– Co pan robi? – mężczyzna warknął i próbował docisnąć drzwi. – Przecież mówiłem, że tu żadnej Alicji Wiatrak nie ma.

– Wiatrak – sprostował Paweł.

– Miiiiisuu! – rozległ się pełen urazy i podejrzliwości kobiecy głos. – Co to za Alicja? Czy ty mnie zdradzasz, Miiiiisuu!?

– Oczywiście, że nie, dziubdziulinko – odpowiedział mężczyzna. – Niech pan wreszcie weźmie tę nogę, bo wezwę policję.

– To może zna pan Łucję? – próbował dalej Paweł.

– Miiiiisuu! Dlaczego on teraz mówi o jakiejś Łucji? Ja się gniewam – dobiegło znowu z głębi mieszkania.

– Idź pan stąd do diabła – warknął mężczyzna, po czym wyszedł na korytarz i przytknął drzwi. – Łucja to żona mojego kuzyna. Ale ona już tu od dawna nie mieszka. Ostatnio wynajmowała koleżance. Jakiejś Ali.

– Alicji! – krzyknął Paweł. – Właśnie. Alicja to moja żona.

– Trzeba tak było mówić od początku. Wyprowadziła się – odpowiedział mężczyzna. – Do widzenia.

Już chciał wejść do mieszkania, ale Paweł chwycił go za rękaw i przytrzymał.

– A nie wie pan, gdzie ona się przeprowadziła? – zapytał. – Mam do niej pilną sprawę.

– Jak rany koguta! Aleś pan namolny. Dziewczyna mi przez pana zupełnie wystygnie – jęknął mężczyzna. – Do domu Łucji się wyprowadziła.

– Dziękuję bardzo – powiedział Paweł.

– A idź pan do diabła – warknął kuzyn Grzegorza i zatrzasnął drzwi.

Gdzie mieszka Łucja, to akurat Paweł doskonale wiedział, bo odwiedzali ją kilka razy.

Trafię bez problemu – pomyślał i postanowił pojechać od razu.

Gdy zjechał na dół, pod windą stał właśnie dostawca z pizzerii.

– Mieszkanie numer 93 to na którym piętrze będzie? – zapytał.

– Na ostatnim – odpowiedział Paweł. A potem dodał z bardzo poważną miną: – Tylko jak panu otworzą, to niech pan zapyta o Alicję Wiatrak. To takie hasło. Inaczej panu nie zapłacą.

– Aha! – Dostawca kiwnął głową. – Wiatrak?

– Tak, tak! – przytaknął Paweł. – Alicja Wiatrak.

Mężczyzna z pudełkami włoskiego specjału wsiadł do windy, a były mąż Alicji ryknął śmiechem. Przez całą drogę do domu Łucji co jakiś czas parskał z radości na samą myśl o tym, jaką minę miał ten facet, gdy dostawca zapytał o Alicję Wiatrak. Mina mu jednak zrzędła, gdy okazało się, że słabo jednak zapamiętał drogę i dotarcie do podmiejskiej dzielnicy zajęło mu prawie godzinę. Jeszcze słabiej kojarzył, który dom należy do Łucji i jej męża. Zostawił samochód na osiedlowym parkingu i ruszył na obchód wąskich uliczek. Nagle z jednego z nich wyszła wysoka blondynka. Paweł odruchowo ruszył za nią, kontemplując długie nogi i wyjątkowo kształtne biodra podkreślone obcisłą spódnicą. Niestety, blondynka doszła tylko do przystanku autobusowego i wsiadła do autobusu, który akurat podjechał. Już chciał wejść za nią, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że przecież miał szukać Alicji. Westchnął głęboko, odprowadził wzrokiem autobus, który powiózł w siną dal piękne nogi, i znowu ruszył przez osiedle, uważnie przyglądając się domom i podjazdom. Wreszcie wypatrzył to, czego szukał. Pod jednym z domów stała dobrze mu znana Czarownica, samochód byłej żony.

– To tutaj! – mruknął pod nosem.

Sprawdził, czy ma w kieszeni list, który dostał dzisiaj, i nacisnął guzik domofonu przy furtce. Rozległo się brzęczenie i mógł wejść do środka. Był już na schodach, gdy drzwi domu otworzyły się

i stanęła w nich kobieta w fartuchu, która z całą pewnością nie była jego ekszoną.

– Pan do kogo? – zapytała i omiotła go tak groźnym spojrzeniem, że nie miał odwagi iść dalej i zastygł z nogą uniesioną nad drugim stopniem od dołu.

– Szukam Alicji Watrak, to znaczy Kalickiej – powiedział, bo właśnie sobie przypomniał, że była żona po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska.

– Proszę poczekać tutaj. Zapytam, czy państwo mogą pana przyjąć – padła odpowiedź i kobieta zniknęła w głębi domu.

Paweł został na schodach z głupią miną.

– Państwo? – mruknął i zachwiał się, w ostatniej chwili łapiąc równowagę. – Jakie państwo? Może to jednak nie tutaj? Nie, na pewno nie tutaj.

Obejrzał się i spojrzął na samochód. Niby Czarownica, ale może tylko ta sama marka i kolor?

Postanowił zmyć się, zanim pojawi się znowu ta okropna baba. Zszedł stopień niżej i usłyszał ostrzegawcze warknięcie. Zerknął przez ramię. Pies. Duży i kudłaty. Nie, Alicja nie ma przecież psa.

– Dobrze, dobrze – powiedział do zwierzaka, próbując go uspokoić, ale pies jeszcze mocniej wyszczerzył zęby.

Może przed chwilą obsusiał te schody i teraz myśli, że naruszyłem jego terytorium? Tak chyba mówił ten psi psycholog, do którego chodziłem z Hulą i Hopem – przypomniał sobie.

Spróbował wejść wyżej, ale wtedy usłyszał ostrzegawcze miauknięcie. Na podeście siedział wielki rudy kocur, którego mina i postawa wyraźnie wskazywały, że nie jest przyjaźnie nastawiony. Jeszcze jeden kot przypatrywał mu się z okna.

Czy koty też obskują terytorium? – usiłował sobie przypomnieć Paweł. – Kurna, nie wiem. Psycholog nic o tym nie mówił.

Na wszelki wypadek postanowił nie ruszać się z miejsca. Zaczęły mu drętwieć stopy od tego stania na wąskim stopniu, gdy drzwi otworzyły się i znowu pojawiła się groźna baba.

– Może pan wejść – powiedziała. – Pani przyjmie pana w salonie.

Zszokowany wszedł do środka. A jednak to był dom tej całej Łucji. Doskonale pamiętał ten hol. Kiedyś Grzegorz poprosił go o pomoc przy wystawianiu do ogródka takiego okropnego gipsowego krasnala i tutaj się z nim zaklinowali. O! Jeszcze było otarcie na ścianie!

– Pani czeka w salonie – przypomniała mu kobieta w czarnej sukni zniecierpliwionym tonem.

– Tak, tak! Oczywiście – powiedział i podreptał za nią.

Na kanapie siedziała Alicja.

– Ten pan chciał się z panią widzieć – powiedziała kobieta-góra. – Twierdzi, że pani go zna.

– Dziękuję, pani Ado – odpowiedziała Alicja. – To mój były mąż.

– Niezupełnie – odpowiedział Paweł i wyciągnął kopertę.

– Ja tam nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Za godzinę podaję kolację. Czy ten pan zostaje na kolacji? Bo nie wiem, ile nakryć rozłożyć.

– Nie – odpowiedziała Alicja. – Ten pan nie zostaje na kolacji.

Kobieta skinęła głową i zniknęła w kuchni.

– Właściwie to mógłbym zostać na tej kolacji – powiedział i pociągnął nosem. – Chyba będzie schabik pieczony ze śliwkami.

– Z pieczarkami – rozległo się z głębi kuchni.

– Z pieczarkami to nawet wolę – mlasnął Paweł.

– To niech ci Tania robi – odpowiedziała Alicja, z lubością używając tej formy imienia Tatiana, której jej następczyni nie znosiła. Woląta, żeby nazywać ją Tiną. – Byłe żony nie karmią byłych mężów. Przypominam ci, że jesteśmy po rozwodzie. Mów, czego chcesz, bo mam kupę roboty.

– Właśnie usiłuję ci powiedzieć, że wcale nie jesteśmy po rozwodzie – odpowiedział Paweł i usiadł w fotelu.

– Upiłeś się? – zapytała uprzejmie Alicja. – A może masz amnezję? Byliśmy w sądzie i sąd nas rozwiódł. Przypomnij sobie.

Paweł wyciągnął z kieszeni wymiętą kopertę i położył ją na stoliku. Alicja spojrzała na niego

podejrzliwie. Nie miała ochoty czytać listu, który przyniósł, ale wiedziała, że bez tego się go nie pozbędzie. Sięgnęła po kartkę, rozłożyła ją i...

– To nie może być prawda! – krzyknęła.

– A jednak. – Paweł pokiwał głową. – Okazało się, że były jakieś błędy proceduralne i nasz rozwód jest nieważny.

Alicja rzuciła kartkę na stół.

– To się rozwiedziemy jeszcze raz – warknęła wściekła. – Co za problem? Ja mogę choćby i dzisiaj.

Paweł rozsiadł się wygodnie w fotelu. Podobała mu się taka zacietrzewiona i naburmuszona. Właściwie dlaczego się rozstali? Ach, prawda! Zdradził ją z Tatianą. Właściwie to szkoda, że nie może być mężem ich obu. Taka sytuacja najbardziej by mu odpowiadała. Pochylił się w stronę kanapy.

– A właściwie, czy my się musimy rozwódzić? – zapytał.

Alicja spojrzała na niego zaskoczona. Nie miała pojęcia, co znowu knuje facet, który ją zdradzał i oszukiwał. I chyba nie chciała tego wiedzieć. Nawet na pewno nie chciała.

– Słuchaj, Paweł... – zaczęła.

– Kiedyś mówiłaś do mnie Papuś – przypomniał jej.

– Nie pamiętam – odpowiedziała. – W każdym razie mnie bardzo odpowiada, że się rozwiedliśmy, i nie zamierzam tego zmieniać. Jeśli trzeba będzie, to rozwiodę się z tobą jeszcze sto razy, więc w ogóle nie ma o czym mówić. Zresztą, ożeniłeś się z Tanią i macie dziecko.

– Moglibyśmy razem je wychowywać – kusił Paweł, siadając na kanapie obok niej.

Wstała i przesiadła się na zwolniony przez niego fotel. Krzątania w kuchni ucichła. Była pewna, że pani Ada zawzięcie podsłuchuje pod drzwiami.

– Zwariowałaś? – zapytała na wszelki wypadek. – A Tanię może udusimy poduszką i zakopimy w ogródku w Malinówce? Oczywiście w nocy, żeby nikt nas nie widział. I zasadzimy na tym miejscu krzak. Albo altankę postawimy. Widziałam to w jednym filmie.

Jego mina wyraźnie wskazywała, że taki scenariusz bardzo by mu odpowiadał. Masakra!

– Albo może lepiej utopmy ją w wannie? – snuła dalej swoje wizje, bacznie obserwując swojego byłego męża. – Czytałam, jak to się robi. Trzeba chwycić taką osobę za nogi i pociągnąć do góry. A potem trzymać tak długo, aż się utopi.

– Nie. To się nie uda. – Paweł pokręcił z żalem głową. – Tania woli brać prysznic. Do wanny wchodzi tylko, jak się razem kąpiemy. Ale wtedy nie miałbym jak ją za te nogi... Chyba żebym poczekał, aż wejdzie, i wtedy...

– Ty naprawdę zwariowałaś! – krzyknęła. – Wiesz, idź już, bo ja mam zaraz ważne spotkanie i muszę się przebrać.

Były mąż spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Ale przecież twoja gosposia mówiła, że zaraz będzie kolacja – przypomniał Paweł. – Zaprosiłaś mnie na schab z pieczarkami.

Tego już było za wiele! Wstała z fotela.

– Na nic cię nie zapraszałam. Do widzenia – powiedziała. – Jutro pojedę do tego całego sądu i wszystkiego się dowiem. Na pewno nie będzie problemów z tym rozwodem. W końcu to ich wina. Albo oni nas rozwiodą jak trzeba, albo ja ich spalę. Do widzenia.

Paweł wstał i z ociąganiem ruszył w stronę drzwi.

– Zadzwońisz do mnie, jak się czegoś dowiesz? – zapytał.

– Nie zadzwonię – rozwiła jego wątpliwości. – Może przyślę ci SMS-a. Jak będę miała czas. A raczej nie będę miała. Przyślą ci jakieś zawiadomienie z sądu albo możesz sobie sam zadzwonić.

Paweł niechętnie wstał z kanapy i ruszył do wyjścia. W drzwiach odwrócił się.

– A może moglibyśmy wyskoczyć kiedyś na kawę?

Alicja wzniosła znacząco oczy do sufitu i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Szkoda – westchnął były mąż.

W holu natknął się na jakiegoś obcego faceta.

– Dzień dobry – powiedział obcy facet.

– Dzień dobry – odpowiedział obcemu facetowi Paweł.

Wyszedł i ruszył w stronę parkingu. Stwierdził, że po drodze musi wstąpić do kwiaciarni i kupić bukiet róż dla Tiny.

– I wymyślić jakieś dobre wytłumaczenie na ten nagły wyjazd – mruknął pod nosem, wsiadając do samochodu. – Powiem, że musiałem pojechać do pracy. Jak chciałem się spotkać z Tiną po południu, to zawsze tak mówiłem Alicji. Wierzyła, więc teraz powinna uwierzyć Tina. Jesteś mistrzem w postępowaniu z kobietami, Pawełku.

W tej samej chwili przypomniał sobie niedawną rozmowę z byłą żoną i dobre samopoczucie trochę mu siadło. Ale w tej samej chwili obok jego samochodu przeszła apetyczna brunetka i zachęcająco się uśmiechnęła. Otworzył szybko drzwi:

– Może panią podwieżę? – zapytał, zapominając o Alicji i Tinie.

– Co tu robił twój były mąż? – zapytał Szymon. – I jak cię tu znalazł?

– Coś takiego! – krzyknęła Alicja. – O to właśnie go nie zapytałam. A szkoda, bo wiedziałabym, kogo udusić za to, że dał temu pacanowi mój nowy adres.

Szymon roześmiał się i objął ją.

– Chyba powinienem się ciebie bać – powiedział i pocałował ją w kark. – Stałem przez dłuższą chwilę pod drzwiami i przysłuchiwałem się twoim pomysłom na morderstwo doskonałe. Od tej pory nie odważę się wejść do wanny. I chyba dzisiaj przed pójściem spać schowam wszystkie poduszki.

– Nie wygłupiaj się. – Alicja roześmiała się. – Tobie nic nie grozi. Przynajmniej dopóki nie zaczniesz mnie zdradzać.

– Będę o tym pamiętał – powiedział z poważną miną.

– Zaraz podam obiad. – Z kuchni wyszła pani Ada. – Schab ze śliwkami.

– A mówiła pani, że z pieczarkami. – Alicja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nic podobnego – pani Ada zaprzeczyła kategorycznie. – Zrobiłam ze śliwkami, bo pan lubi ze śliwkami.

– To było naprawdę pyszne – powiedział Szymon po skończonym posiłku.

– Bardzo się cieszę, że smakowało – powiedziała pani Ada. – To ja teraz wychodzę, a państwo posprzątają kuchnię. Wróć wieczorem.

– To miała być groźba czy obietnica? Bo nie bardzo zrozumiałem. – Szymon parsknął śmiechem, gdy za kobietą zamknęły się drzwi. – Ale się objadłem. Chyba nie ruszę się z miejsca do jutra.

– Chyba będziesz musiał, bo kazała nam posprzątać kuchnię – przypomniała mu.

– Za chwilę – jęknął.

– Nie za chwilę, tylko teraz. – Pociągnęła go za rękę. – Jak zalegniemy na kanapie, to żadna siła nas stąd nie ruszy. Posprzątamy i będziemy mieli z głowy. Nie bądź leniem!

Widok kuchni sprawił, że obydwójce stanęli jak wryci. Pomieszczenie wyglądało, jakby przez tydzień służby czyszczenia miast zwoziły tu śmieci z połowy Zabrzeżna. Wszędzie wałały się jakieś opakowania, brudne papierowe ręczniki, z blatu skapywał rozlany olej, a z przepelnionego kosza przez niedomknięte drzwi szafki wypadały śmieci.

– To jest bardzo dziwna gosposia – powiedział Szymon, gdy wyszedł z pierwszego szoku.

– Alicja mówiła, że wszystkie sąsiadki zazdroszczą jej pani Ady – przypomniała sobie Alicja. – Jak to możliwe?

– Może to taka nowa moda? – zgadywał Szymon. – Wiesz... Żeby zatrudnić gosposię, a potem po niej sprzątać. Słyszałem o takiej słynnej restauracji, w której kelnerzy obrażają gości. Ludzie walą tam drzwiami i oknami, rezerwacje stolika pół roku wcześniej trzeba robić.

– Pewnie masz rację. To chyba tak jak z kuchnią molekularną. Obrzydliwie wygląda, porcje mikroskopijne, a kosztuje, że ho ho! Kiedyś u nas w hotelu jeden guru kuchni molekularnej robił pokaz. Kawior był z proszku i śmierdział jak kostka do WC. Za to cenę miał dużo wyższą niż astrachański.

Tak gawędząc, posprząтали kuchnię.

– Musimy przekonać panią Adę, żeby nie gotowała dla nas, bo jak będziemy musieli tak codziennie sprzątać, to się zastrzelę – stwierdziła Alicja, rzucając się na kanapę. – A tak w ogóle, to muszę zadzwonić do Łucji i jej opowiedzieć, że pani Ada się tutaj wprowadziła. Może podpowie mi jakieś sposoby, jak ją spacyfikować.

– Myślisz? – powiedział z powątpiewaniem Szymon. – Jakoś nie bardzo w to wierzę.

– Ja też niespecjalnie, ale muszę chociaż spróbować. Ta pani Ada mnie coraz bardziej przeraża – powiedziała szeptem, równocześnie zerkając za okno z obawy, czy przypadkiem ich gospodyni nie nadchodzi.

– A może zanim wróci, to byśmy skoczyli do sypialni i trochę się zrelaksowali? – Szymon przyciągnął ją do siebie.

– Doskonały pomysł – mruknęła z uśmiechem.

Byli w połowie schodów, gdy nagle zadzwonił telefon, który Szymon zostawił na stole w salonie.

– Nie odbieram – powiedział i pociągnął ją za sobą.

– Odbierz, bo ten ktoś znowu będzie dzwonił – powiedziała. – A potem przyjdź do sypialni. Będę czekała.

Zdażyła wziąć kąpiel, przebrać się w seksowną koszulkę i zmarznąć.

– Pewnie znowu pojechał ratować jakiegoś łosia – pomyślała, przypominając sobie ich pierwsze namiętne spotkanie przerwane telefonem podobnym do tego dzisiejszego. – Tak to jest być kobietą weterynarza z powołania.

Westchnęła i już zamierzała się przebrać w coś cieplejszego, gdy nagle na schodach rozległy się kroki Szymona. Wszedł do sypialni i spojrzał na nią z uśmiechem.

– Łoś? – zapytała.

– Nie. Tym razem kotek – odpowiedział.

– I musisz jechać? – domyśliła się.

– Niestety – odpowiedział, kładąc się obok niej.

– Tak też myślałam – westchnęła i sięgnęła po sweter.

– Ale przywiozł go do kliniki dopiero za dwie godziny – odebrał jej sweter i cisnął go na podłogę.

Gdy Szymon pojechał, zeszła na dół, żeby sprawdzić, czy gosposia już wróciła. Ale nie było po niej śladu.

Może już nie wróci? – pomyślała z nadzieją i w tej samej chwili usłyszała ciężkie kroki na schodach, po których rozległo się mocne trzaśnięcie drzwi. Pani Ada wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Dzień dobry – powiedziała Alicja, po cichu zastanawiając się, gdzie kobieta była przez te kilka godzin i co robiła.

Korzystając z tego, że pani Ada zniknęła w posprzątaną przez nich kuchnię, ewakuowała się do sypialni.

– Co to ja miałam zrobić? – usiłowała sobie przypomnieć. – Prawda! Zadzwonić do Łucji. Jaka tam jest różnica czasu? Nigdy nie byłam dobra w te klocki. Grzegorz mówił coś o jakichś sześciu godzinach. Ale do przodu czy do tyłu? Chyba do przodu.

Spojrzała na budzik, który stał na nocnej szafce. Szybko obliczyła w pamięci...

– Nie, to jeszcze za wcześnie. Pewnie śpią – pomyślała i odłożyła telefon.

Położyła się na łóżku z zamiarem, że sobie poczyta i poczeka na Szymona. Ale książka okazała się tak nudna, że zasnęła, zanim doczytała do dziesiątej strony. Koszmarna historia kobiety, która w trakcie awantury z kochankiem została przez niego popchnięta, uderzyła się w głowę i straciła pamięć. Kochanek wykorzystał to do wciągnięcia ją w handel narkotykami.

– Ale koszmarna bzdura. – Ziewnęła i oczy same jej się zamknęły.

Gdy je otworzyła, wokoło było już kompletnie ciemno. Na łóżku obok niej pochrapywał cicho Szymon, w jego nogach ulokowali się Pasztet i Rudy Sto Dwa. Maryśka leżała na poduszce na parapecie. Ona sama została przez ukochanego mężczyznę owinięta ciepłym kocem, a pod głowę włożył jej poduszkę. Przez chwilę próbowała się ułożyć wygodnie i zasnąć, ale chyba już się wyspała.

Wstała po cichutku i zeszła na dół do salonu, gdzie o mało nie dostała zawału na widok majaczącego w ciemności Gipsowego. W pokoju gościnnym pani Ada chrapała tak głośno, że aż drżały ściany. Alicja podreptała na palcach do kuchni, zamknęła za sobą drzwi i usiadła przy stole. Przed sobą położyła telefon, który przyniosła z sypialni.

Co to ja miałam zrobić, zanim zasnąłam? – zastanawiała się. – Aha! Już wiem! Zadzwoń do Łucji. Zaraz, różnica czasu. Jak to było? Sześć godzin do przodu czy do tyłu? Chyba do tyłu. Na pewno jeszcze nie śpią, bo zawsze siedzą do późna w nocy. Dzwonię.

Podeszła na palcach do drzwi. Uchyliła je, posłuchała przez chwilę chrapania gosposi i spokojna, że nikt jej nie przeszkodzi, zamknęła drzwi. Niewiele brakowało, a przycięłaby ogon Pasztetowi, który w ostatniej chwili przecisnął się do kuchni. Dobrze, że poczekała jeszcze chwilę, bo zaraz za nim zjawił się Rudy Sto Dwa.

Wybrała numer Łucji i – jak poprzednio – przez dłuższą chwilę czekała, aż ktoś odbierze po drugiej stronie oceanu. Ale tym razem doczekała się.

– Haaaalo! – dobiegło do niej ziewnięcie przyjaciółki. – Słuuuucham?

– Łucja? – Alicja upewniła się. – Jakiś taki dziwny głos masz.

– A jaki mam mieć, kochana, jak mnie z głębokiego snu w środku nocy wyrywasz? – zapytała przyjaciółka.

– Jak to w środku nocy? – zdziwiła się Alicja i spojrzała na zegarek. – Przecież u nas jest noc, to u was powinien być dopiero wieczór.

Po drugiej stronie rozległo się potężne ziewnięcie.

– Jaki wieczór? – zdziwiła się zasnana Łucja. – Noc jest. Skąd ci przyszło do głowy, że tu jest wieczór?

– Grzegorz mówił o sześciu godzinach różnicy – wyjaśniła i nagle dotarło do niej, gdzie popełniła błąd. – Bardzo cię przepraszam, kochana. Ja byłam pewna, że te sześć godzin to do przodu.

– I jest do przodu – potwierdziła przyjaciółka.

– O rany! Ja cię jeszcze raz bardzo przepraszam. Może ty idź z powrotem spać? Zadzwoń jeszcze raz później. Obiecuję, że nie zapomnę, w którą stronę jest ta parszywa różnica czasu. Pa!

– Czekaj! Czekaj! – zatrzymała ją Łucja. – Teraz to już mi się odechciało spać. Możemy sobie pogadać, tylko wyjdę z sypialni, żeby Grześka nie obudzić, bo rano nie wstanie do roboty.

Przez chwilę Alicja słyszała w aparacie jakieś szurania, postukiwania, szumy, aż wreszcie znowu odezwała się Łucja.

– Dobra, już jestem – powiedziała. – Zrobiłam sobie szybką herbatkę i możemy gadać. Dzwonisz tak po prostu czy coś się zadziało?

– Zjawiła się pani, która u ciebie sprząta. – Alicja upiła łyk herbaty, a z odgłosów w aparacie wynioskowała, że Łucja po drugiej stronie oceanu zrobiła to samo.

– O rany! – krzyknęła przyjaciółka. – A ja ci przecież powiedziałam, że ona przyjdzie. Raz w miesiącu u mnie robi takie gruntowne porządki.

– Powiedziałaś, powiedziałaś – Alicja uspokoiła ją. – Tyle że pani Ada postanowiła zostać tu aż do waszego powrotu.

W tej samej chwili w słuchawce coś tak zatrzęszczało i zawyło, że musiała odsunąć ją od ucha. Po chwili, jakby z głębi dzielącego je oceanu, dobiegł znowu głos Łucji.

– Co mówiłaś? – zapytała przyjaciółka. – Są zakłócenia. Chyba zbliża się jakieś tornado albo inny tajfun.

– Twoja gosposia postanowiła nas pilnować, żebyśmy ci domu nie zrujnowali, i wprowadziła się tutaj – Alicja powtórzyła nowinę.

– O kurczaki – Łucja jęknęła. – Może ja zadzwonię do niej i poproszę, żeby się wyprowadziła, jak wam przeszkadza, co?

– A nie obrazi się? – zainteresowała się Alicja.

– Pewnie, że się obrazi, bo ona strasznie wrażliwa jest – westchnęła przyjaciółka. – Ale chyba nie ma innego wyjścia. Przecież nie będziecie z nią mieszkać do naszego powrotu.

– Nie, to może nie dzwoń. – Alicja machnęła wolną ręką i o mało nie strąciła przy tym na podłogę kubka z herbatą. – Jakoś damy sobie radę.

Usłyszała, jak po drugiej stronie przyjaciółka oddycha z ulgą.

– Na pocieszenie powiem ci, że świetnie gotuje. Czasami, jak robiłam jakąś większą bibkę albo imprezę dla rodzinki, to pomagała mi w kuchni. I nie będziesz musiała przejmować się porządkami. Ona wysprząta wszystko na błysk. Nawet nie próbuj sama sprzątać, bo cię miotłą pogoni – roześmiała się.

– Naprawdę? – zdziwiła się Alicja i już zamierzała opowiedzieć przyjaciółce, w jakim stanie dzisiaj ta tak zachwalana przez nią pani Ada zostawiła kuchnię po obiedzie, ale w aparacie coś potwornie zawyło i połączenie zostało zerwane. To pewnie ten tajfun albo inne tornado – pomyślała.

Jeszcze przez chwilę czekała, że może jednak Łucja odezwie się tam po drugiej stronie oceanu. W końcu zrezygnowała i odłożyła aparat. Już miała wrócić do sypialni, gdy nagle...

Ktoś chodzi pod oknami? – przestraszyła się.

Ponieważ rzadko działała racjonalnie, a już na pewno nie w stresie, to zamiast wezwać policję albo popędzić na górę po Szymona, sięgnęła po kij od mopa i zaczęła się skradać w stronę drzwi na taras. Nie pomyliła się.

– Tam naprawdę ktoś jest! – mruknęła pod nosem, otworzyła ostrożnie drzwi, wysunęła przed siebie kij niczym średniowieczny rycerz halabardę i ruszyła do przodu. – O matko!

Dobrze, że chwyciła się w ostatniej chwili parapetu, bo wywinęłaby orła i jeszcze sobie tym kijem zęby wybiła.

– Pasztet – szepnęła. – Co ty tu robisz? O mało się przez ciebie nie zabiłam. Wracaj lepiej do domu, bo nie wiadomo, kto tu jest. Jeszcze ci krzywdę zrobi.

Ale pies ani myślał zastosować się do jej polecenia. Wystrzelił jak z procy przed siebie. Chciała biec za nim, ale nie miała pojęcia, gdzie się podział. Aż do chwili, gdy w kącie ogrodu usłyszała wrzask jakiegoś mężczyzny, a potem huk, jakby ktoś przeleciał przez parkan. Nastąpiła chwila ciszy, a potem ktoś pobiegł w stronę osiedlowego parkingu.

– Pasztet! Pasztet! – krzyknęła przerażona, że ten ktoś, kto teraz pewnie już odjeżdżał z parkingu kilkaset metrów dalej, zrobił krzywdę jej psu.

Nagle rozbłysły światła wszystkich ogrodowych lamp. Alicja zamknęła oczy, żeby nie oślepnąć od tej niespodziewanej iluminacji.

Łucja miała rację, że Grzeška trochę poniosło z tym oświetlaniem ogrodu – pomyślała i otworzyła ostrożnie jedno oko. – Nawet nie trochę.

Ku swojemu przerażeniu tym jednym okiem dostrzegła cień człowieka, który stanął za jej plecami. I oczywiście, jak to ona, zamiast otworzyć obydwójce oczu, wrzasnąć i uciec, zacisnęła powieki i czekała. Na co? Chyba na to, żeby ten ktoś ją ukatrupił. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, gdy tak stała, ściskając kurczowo w dłoniach kij od mopa. Może całe godziny, a może tylko kilka sekund.

– Aaa! – wrzasnęła nagle, czując, jak ktoś obejmuje ją w pasie, i na odlew wymierzyła cios kijem.

– Matko jedyna! – jęknął Szymon. – Zwariowałaś, kobieto? Chcesz mnie zabić?

Otworzyła oczy, zamrugała i spojrzała zszokowana na mężczyznę swojego życia, który trzymał się za głowę.

– Sorry – jęknęła i już chciała rzucić mu się na szyję, ale o mało nie wybiła mu oka kijem, który ciągle trzymała kurczowo w dłoniach.

– Skarbie! Odłóż to mordercze narzędzie, zanim siebie albo mnie uszkodzisz i będzie nieszczęście – powiedział Szymon.

Już chciał jej wyjąć z rąk kij, gdy nagle coś zaszeleściło za węglem domu. Alicja odwróciła się w tamtą stronę. Dobrze, że Szymon w ostatniej chwili się schylił.

– Oddaj to! – zażądał stanowczo, prostując się, i wyjął jej kij z ręki.

W tej samej chwili na ścieżce pojawiła się... pani Ada.

– Co pani tu robi w środku nocy? – zapytała zdziwiona Alicja.

– A państwo? – odpowiedziała pytaniem na pytanie gospoia. – Usłyszałam hałas. Myślałam, że ktoś zakradł się do ogrodu, a potem pójdzie dalej i okradnie dom. A teraz widzę, że to pani.

Spojrzała na Alicję takim wzrokiem, że ta poczuła się, jakby właśnie przed chwilą zamierzała okraść swoją najlepszą przyjaciółkę.

Przecież to jakaś ciężka bzdura! – pomyślała, a głośno zapytała:

– A jak pani wyszła? Ja tu cały czas stałam.

– Przez okno wyszłam – wysapała gospoia.

Alicja już chciała powiedzieć, że po pierwsze, dlaczego przez okno, a po drugie, przecież spała w zupełnie innej części domu niż ta, z której się pojawiła, ale do rozmowy wtrącił się Szymon, któremu zaczęły marznąć bosa stopy. Tak szybko pędził na pomoc ukochanej kobiecie, że zapomniał o kapciach.

– Może porozmawiamy o tym jutro rano? – zapytał. – To znaczy dzisiaj rano, bo niedługo zacznie świtać. Chodźmy do domu.

Już mieli zamknąć drzwi, gdy nagle Alicja przypomniała sobie o Pasztecie.

– On pobiegł za tym włamywaczem! – krzyknęła. – A jeśli coś mu się stało? To znaczy, jeśli ten człowiek zrobił mu coś złego? Musimy zaraz iść i go poszukać.

Już zamierzała rzucić się z powrotem do ogrodu, gdy nagle w przedporannej ciszy rozległo się radosne szczekanie. Przez furtkę wbiegł Pasztet. Triumfalnie niósł coś w pysku i rzucił się z tym na Alicję.

– Już dobrze, dobrze. – Jego pani poczochnęła go za uszami. – Pokaż, co tam masz?

Wyrwała mu zdobycz z pyska i obejrzała ją przy świetle. – To but. Skąd go masz, Pasztet? Szymon, może to but tego włamywacza i trzeba to oddać na policję?

– Albo stary trep, który to psisko wygrzebało w śmietniku sąsiadów. Akurat dzisiaj widziałem, że wystawili pojemniki – zripostował Szymon. – Naprawdę, chodźmy już spać.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że dzwoniła Ala – przypomniała sobie Łucja przy śniadaniu.

– Wczoraj dzwoniła? – Grzegorz przyglądał się pod światło kromce chleba, którą wziął ze stojącego na stole koszyczka. – Co to za dziwny chleb?

– Z polskiej piekarni. Tej na rogu. Nie smakuje ci? – odpowiedziała żona. – W nocy dzwoniła, bo jej się pomyliło, w którą stronę jest ta cała parszywa różnica czasu.

– Wszystkim się myli. Dziwny ten polski chleb. Może następnym razem poprosz właściciela, żeby zaśpiewał Mazurek Dąbrowskiego, wszystkie zwrotki z Basią i tarabanami włącznie. Jak nie umie, to znaczy, że żaden z niego Polak – zawyrokował Grzegorz. – I niech nie oszukuje, że umie piec polski chleb.

Łucja wzruszyła ramionami i popukała się w czoło.

– Skarbie! Przecież większość Polaków nie zna nawet jednej zwrotki naszego hymnu, o Basi nie wspominając – stwierdziła. – A co to są właściwie te tarabany?

– Takie wielkie bębny chyba – odpowiedział. – A jeśli chodzi o Mazurek Dąbrowskiego, to każdy Polak, który przyjeżdża do Ameryki za chlebem, go zna.

– I Alicję? – zapytała Łucja. – Alicję też zna?

– Dlaczego Alicję? – zdziwił się jej mąż. – Basię.

– Tak, Basię. Pomyliłam się, bo Alicja dzwoniła dzisiaj w nocy. Mówiłam ci chyba? – upewniła się.

– Wspominałaś. I co tam słyhać w naszym domu? Stoi jeszcze? – chciał wiedzieć Grzegorz.

– Chyba stoi, bo nic nie wspominała o żadnej katastrofie budowlanej – uspokoiła go żona. – O pożarze też nie.

– Czyli wszystko w porządku! – Spojrzał na zegarek i zerwał się od stołu. – Spóźnię się jak nic. Co mówisz, kochanie?

– Mówię, że nie bardzo w porządku – powtórzyła Łucja. – Alicja mówiła, że zjawiała się nasza pani do sprzątania, pani Ada.

– Ala – poprawił ją Grzegorz.

– Przecież wiem. – Łucja machnęła niecierpliwie ręką. – Właśnie ci mówiłam, że Ala mówiła, że zjawiała się u niej, to znaczy u nas, pani Ada.

– Pani Ala – poprawił ją po raz kolejny mąż, równocześnie szukając czegoś zawzięcie w kuchennych szafkach. – Pani, która u nas sprząta, ma na imię Ala.

– Może, wszystko mi się już myli. Ala mówiła, że pani Ada. Nie, Ala mówiła, że pani Ala. A w ogóle, to czego ty tak szukasz? – zapytała.

– Kluczyków do samochodu – wysapał Grzegorz. – Nie widziałaś gdzieś?

– Owszem. – Łucja pokiwała z politowaniem głową. – W Polsce. Zostawiłeś je tam razem z samochodem. Tutaj nie mamy jeszcze samochodu. Zresztą i tak wszyscy tutaj jeżdżą na rowerach. Gdybyś wsiadł do samochodu, to patrzyliby na ciebie jak na jakieś dziwadło. I to nieekologiczne dziwadło.

– Popatrz, żono kochana! – zdziwił się Grzegorz. – Co kraj to obyczaj. Jak jeździłem u nas na rowerze zimą, to wszyscy uważali mnie za świra. A tu na odwrót.

Wyszedł, a Łucja wybiegła za nim.

– Poczekaj, nie powiedziałam ci! – krzyknęła.

– Że mnie kochasz? – roześmiał się. – Wiem!

– Nie! – Machnęła ręką. – To znaczy, kocham cię, oczywiście. Ale Alicja dzwoniła, żeby powiedzieć, że pani Ada...

– Pani Ala – poprawił ją odruchowo mąż.

– Nie przerywaj mi, bo nigdy nie skończę – zniecierpliwiła się Łucja. – Nasza pani sprzątająca przyjechała z walizką i powiedziała, że zostanie do naszego powrotu.

Grzegorz spojrział na nią zaskoczony.

– Może coś źle zrozumiałaś? – powiedział z powątpiewaniem. – Po co miałyby się wprowadzać do nas? Przecież mieszka w Zabrzeźnie.

– Pewnie masz rację – zgodziła się z nim. – Połączenie było fatalne, co chwilę coś wyło i trzeszczało. Mogłam coś źle zrozumieć. Zaspana byłam.

– Sama widzisz, że nie ma się czym przejmować! – Mąż podjechał do niej i cmoknął ją w policzek. – Zadzwoń do niej, to się wszystkiego dokładnie dowiesz. Pa! Wracam po południu.

Łucja przez chwilę patrzyła za nim, a potem wróciła do domu. Przez chwilę zastanawiała się, czy zadzwonić do przyjaciółki. Wreszcie podjęła decyzję. Ale nie pogadała sobie z Alicją, bo przyjaciółka nie odebrała. Rzuciła telefon na kanapę i zabrała się do czytania artykułu o najbardziej zuchwałych kradzieżach dzieł sztuki. Na przykład taką „Mona Lisę”...

ROZDZIAŁ III

WSZYSCY SIĘ NAWZAJEM PRZESŁUCHUJĄ, ALE NIKT NICZEGO SIĘ NIE DOWIADUJE

Alicję obudził dzwonek do drzwi. Usiadła na łóżku i spojrzała na budzik.

– Kurza stopa! – jęknęła. – Dwunasta w południe. To pewnie przez te ekscesy nad ranem zasnęłam. Zaraz, czy ja gdzieś dzisiaj miałam być? Nie, na szczęście chyba nie...

Łóżko po stronie Szymona było puste. Na poduszce leżała kartka z namalowanym jej szminką serduszkiem.

Skarbie! Muszę już iść do pracy, a ty tak słodko śpisz, że szkoda mi cię budzić, więc całuję cię przez sen. Wiem, że dopiero wieczorem masz imprezę rozwodową, więc nie wstawaj za wcześnie. Śpij sobie do południa i śnij o mnie.

Dzwonek rozległ się jeszcze raz. Długi i natarczywy, jakby ktoś przytrzymał rękę na przycisku. Zaraz też rozległo się szczekanie Paszteta i pełne pretensji miauknięcie Rudego Sto Dwa. Maryśka swoim zwyczajem nie odezwała się. Pod tym względem przypominała Wieśka.

– Już schodzę, już schodzę! – krzyknęła Alicja. Szybko zawinęła się w szlafrok Szymona i pognęła na dół po schodach, co chwilę przydeptyując sobie za długi pasek, który na dodatek krzywo zawiązała. Właściwie to nigdy nie potrafiła go prosto zawiązać. Ani wtedy, gdy dawniej zakładała szlafrok Pawła, ani teraz, gdy zdarzało jej się chodzić w tym należącym do Szymona.

– Może to coś oznacza? – zaczęła się zastanawiać. – Jakież moje upośledzenie w kontaktach z facetami? Albo zwyczajnego pecha? Rudy Sto Dwa, przestań mi się plątać pod nogami, bo najpierw cię na śmierć zdeptę, a potem sama spadnę ze schodów.

W drodze do drzwi wyprzedziła ją pani Ada, która wyszła z kuchni. Otworzyła drzwi, a Alicja ponad jej ramieniem zobaczyła dwóch policjantów.

Coś się stało Szymonowi – pomyślała i poczuła, że robi jej się słabo, więc profilaktycznie oparła się o ścianę.

– My do właścicieli domu – powiedział jeden z policjantów, ten ze służbową czapką przekręconą na lewą stronę.

Alicja odetchnęła z ulgą, że to jednak nie chodzi o Szymona.

– Właściciele nie ma – powiedziała pani Ada. – Będą za trzy miesiące. Wtedy niech pan przyjdzie.

I już zamierzała zamknąć przedstawicielom władzy drzwi przed nosem, ale Alicja powiedziała:

– Właściciele są moimi przyjaciółmi. Mam z nimi kontakt, gdyby była taka konieczność. Tak jak mówiła pani Ada, wrócą dopiero za kilka miesięcy. Wyjechali służbowo.

Policjanci spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

– Nie – powiedział w końcu drugi policjant, w czapce przekręconej na prawą stronę. – Jeśli ich tu nie było ubiegłej nocy, to nic nie mogą wiedzieć w tej sprawie.

– Ubiegłej nocy? – Alicja miała wrażenie, że Pasztet, który do tej pory obwąchiwał skórzane buty przedstawicieli władzy, teraz zastrzygł uszami i zaczął uważnie przysłuchiwać się rozmowie. – A co się stało ubiegłej nocy?

Policjant w czapce na lewą stronę sięgnął do kieszeni, wyjął notatnik i przekartkował go.

– Ktoś z sąsiadów zgłosił zakłócenie ciszy nocnej tu, u pani, to znaczy u pani znajomych – powiedział. – Ale jak przyjechał patrol, to już nikogo nie złapali. Przejrzeliśmy zapis z monitoringu.

Czy Alicji tylko się wydawało, czy naprawdę pani Ada wzdrygnęła się na tę wzmiankę o monitoringu?

– I co zarejestrowały kamery? – zainteresowała się przyjaciółka chwilowo nieobecnej pani domu.

– Zarejestrowały mężczyznę, który najpierw przeszedł przez płot, a potem zaglądał w okna i usiłował dostać się do środka. Potem coś go przepłoszyło i uciekł. Biegł za nim jakiś pies.

– Nie jakiś, tylko mój pies – doprecyzowała Alicja.

– Pani znajomych – sprostował policjant. – Mówiła pani, że dom należy do znajomych.

– Dom do znajomych, ale pies do mnie – wyjaśniła.

– A kot? – zainteresował się drugi z policjantów i przyjrzał się uważnie Rudemu Sto Dwa.

– Też mój – odpowiedziała. – To znaczy jeden, bo drugi to znajomych.

– Ale tu jest tylko jeden pies, to znaczy kot – powiedział policjant i przyjrzał się kobiecie, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie jest pijana. Niby upijanie się nie było zakazane, ale uczyli ich w szkole policyjnej, że nie należy mieć zaufania do osób, które od rana są w stanie wskazującym na spożycie.

– Bo drugi jest w domu – odpowiedziała.

– To pani ma dwa psy? – zdziwił się drugi z policjantów. – Przecież mówiła pani, że tylko jednego.

– Proszę pana, ja miałam ciężką noc, dopiero wstałam i nie jestem pewna, czy w ogóle mam jakiegoś psa albo kota – powiedziała zdesperowana.

Ledwo to powiedziała, zza rogu wymaszerowało gęsiego całe towarzystwo. Przodem kroczyła Maryśka, za nią Rudy Sto Dwa, z którego już zdążyła zrobić swojego wiernego sługę i podnózek (dosłownie, bo kiedy leżeli, opierała na nim łapy), Pasztet i... pies sąsiadów. Alicja przypomniała sobie, że Łucja wspominała jej o czworonogu, który od czasu do czasu robi podkop i przelazi na ich stronę. Policjanci spojrzeli ze zdumieniem na zwierzaki, a potem na nią, ale z jakichś sobie tylko znanych powodów postanowili nie drążyć dłużej tematu.

– A mogłaby pani przyjść do nas i obejrzeć to nagranie? – zapytał ten, który do tej pory się nie odzywał. – Może pani rozpozna tego włamywacza? Mało prawdopodobne, ale może warto spróbować? Nie mamy innego punktu zaczepienia.

– Dobrze, to ja jutro przyjdę – powiedziała Alicja.

Policjanci pożegnali się i odeszli, a pani Ada zamknęła za nimi drzwi.

– Z policją to lepiej nie rozmawiać – fuknęła. – Człowiek jedno powie, a oni drugie zanotują. Sama się pani przekona. Porządni ludzie nie powinni mieć do czynienia z policją. Na przykład pani Łucja i pan Grzegorz.

Alicja już chciała powiedzieć, że jej przyjaciółka mandatami za przekroczenie prędkości mogłaby wytapetować salon, a jej roztargniony mąż wyniósł kiedyś zakupy ze sklepu bez płacenia i zatrzymali go ochroniarze. Na szczęście w ostatniej chwili ugryzła się w język. Po co miała psuć opinię najlepszym przyjaciółom. Gospościa poszła do kuchni, a ona do sypialni, żeby wreszcie się przebrać, bo południe już dawno minęło.

– Tak mi się trochę dziwnie zrobiło, jak mnie zapytali o Paszteta i Rudego Sto Dwa – opowiadała przy obiedzie Szymonowi.

– Ale dlaczego? – nie rozumiał mężczyzna jej życia.

– Przecież pamiętasz, że ja tego psa i kota ukradłam – przypomniała mu. – Może oni mnie mają już w swojej policyjnej bazie danych?

– Po pierwsze, wcale nie ukradłam – sprostował. – Przyplątały się do ciebie, a właściciele ich nie szukali, więc zostały. A po drugie, nie słyszałem o policyjnej bazie danych porwaczy psów i kotów, więc możesz spać spokojnie.

– Jest taka baza – dobiegł z kuchni głos pani Ady.

– W Polsce? – przestraszyła się Alicja i zrobiła paznokciem dziurę w rajstopach. – Kurza stopa! Gospościa stanęła w drzwiach.

– Nie, nie w Polsce – odpowiedziała. – Nie pamiętam dokładnie gdzie.

Alicja zniosła dzielnie pełen potępienia wzrok pani Ady, a potem popędziła do sypialni, przebrać się przed wieczorną imprezą rozwodową, którą wydawała dla jednej dziennikarki z lokalnej telewizji.

– Co to ma być? – Tania oskarżycielskim gestem pomachała Pawłowi przed nosem kopertą.

– Nie wiem – odpowiedział i wrócił do oglądania meczu. – Chyba list jakiś, bo w kopercie.

Ta pozornie logiczna odpowiedź dziwnym trafem sprawiła, że Tanię jakby piorun trzasnął.

– List?! – wrzasnęła głośniejsz niż kibice na trybunach stadionu i stanęła pomiędzy nim a telewizorem. – Ty tak po prostu mówisz mi, że to list jest?

Paweł już wiedział, że meczu to raczej sobie nie poogląda. Dyskretnie włączył nagrywanie.

– Ale o co chodzi, skarbie? – zapytał. Obliczył, że jeśli uda mu się szybko uspokoić miotające Tiną furie, to może nawet zdąży na drugą połowę. – Dlaczego ten list tak cię zdenerwował?

Nie, to stanowczo nie był jego dobry dzień. Ostatnie zdanie zamiast sprawić, że jego żona przestanie miotać się po pokoju i umożliwi mu oddawanie się ulubionej rozrywce, wyzwoliło tylko nowy atak furii. Tatiana zmięła kopertę i rzuciła nią w męża.

– Ty się mnie pytasz? – krzyczała. – Ty się mnie pytasz? Chyba wiesz, co to za pismo?

Tego właśnie Paweł nie wiedział. Podniósł z podłogi zwitek papieru i rozprostował go.

Zaklął w duchu, a głośno zapytał:

– Kochanie, skąd to wzięłaś?

– Z kieszeni twojej bluzy – odparła żona.

O kurczę! Zupełnie wyleciało mu z głowy, że ona przeszukuje wszystkie jego ubrania. Gdyby o tym pamiętał, to ten papier z sądu zostawiłby w schowku w samochodzie.

Nie, schowek też przeszukuje – westchnął, po czym spojrzął na zegarek i stwierdził, że musi uporać się z problemem jak najszybciej, bo za plecami Tyny właśnie zaczynała się druga połowa meczu.

– Kochanie, to naprawdę nic takiego. Nie ma się czym przejmować.

Nie, znowu niedobrze!

– Nic takiego? – Tina rozejrzała się wokoło. – Nie ma się czym przejmować?

Paweł wiedział już, że szuka czegoś, czym zaraz rzuci. Na wszelki wypadek zgarnął piloty do telewizora. Żona chwyciła jego telefon i cisnęła nim o ścianę.

– Kochanie, obudzisz dziecko – usiłował użyć argumentu, który zawsze w takich sytuacjach działał.

Niestety, tym razem wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko niemu.

– Jest u moich rodziców – odpowiedziała Tina. – Poprosiłam ich, żeby przyjechali zaraz po tym, jak znalazłam ten list. Żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

Czyli z meczu już definitywnie nici. Jak dobrze, że włączył to nagrywanie.

– Ale tu nie ma o czym rozmawiać, skarbie – powiedział i przesunął się tak, żeby widzieć ekran telewizora. – To jakaś pomyłka i trzeba to wyjaśnić. To nas zupełnie nie dotyczy.

– Nie dotyczy? – Tina zrobiła krok w bok i zasłoniła mu boisko akurat w chwili, gdy jeden z zawodników drużyny, której kibicował, szykował się do wykonania rzutu karnego. – Jak możesz tak mówić? Przecież to oznacza... To oznacza, że nie ja jestem twoją żoną, tylko ta cała Alicja! A ja jestem... Ja jestem... Ja jestem twoją konkubina!

Trudno było odmówić logiki jej wywodowi.

– Tak, kochanie, masz rację – powiedział i przeniósł się na drugi koniec kanapy. – Ale to przecież nie ma najmniejszego znaczenia. Konkubina czy żona, co za różnica?

– Jak możesz mówić, że to nie ma znaczenia? – Tina krzyknęła tak głośno, że zadrżał żyrandol pod sufitem. Takie okropieństwo z kryształowymi wisiorkami, które dostali w prezencie ślubnym od jednej ciotki Tyny.

– A ma? – zdziwił się.

– Oczywiście! – Tina spojrzała na niego z oburzeniem.

– Ależ kochanie! – westchnął, bo padła kolejna bramka i mecz układał się coraz bardziej niekorzystnie dla drużyny, której kibicował.

Przechylił się i przyciągnął do siebie opierającą się żonę.

– Może pójdziemy do sypialni? – mruknął i pogładził ją po udzie. – Skorzystajmy z okazji, że dziecka nie ma.

– Jak możesz? – Tina strąciła jego rękę i usiłowała się wyrwać, ale mocno ją przytrzymał.

– Zresztą nie musimy wcale iść do sypialni... Tu też jest bardzo wygodnie. A pamiętasz, jak robiliśmy to na stole w kuchni? Może powinniśmy to powtórzyć? – Znowu spróbował ją objąć.

Tina podskoczyła jak dźgnięta szpilką i wyrwała mu się.

– Nie ma mowy – powiedział. – Bez ślubu? Jak ty to sobie wyobrażasz?

Paweł otworzył usta ze zdumienia.

– Jakoś wcześniej nie przeszkadzało ci, że nie mamy ślubu – przypomniał jej czasy, gdy był żonaty z Alicją, a w cieniu małżeństwa kwitł jego namiętny romans z Tiną.

– To było coś zupełnie innego – oświadczyła pani Watrakowa numer dwa. – Nie porównuj małżeństwa do romansu.

Tutaj miała rację. Paweł z przykrością musiał przyznać, że po ślubie namiętność Tiny mocno osłabła. Nie było nawet porównania z okresem, gdy musieli się ukrywać i szukać sposobów i wymówek, żeby spędzić trochę czasu razem. Zostawali po godzinach w biurze, urywali się w czasie pracy na jakies fikcyjne spotkania z klientami. Gdy wszystko wyszło na jaw, Alicja wyprowadziła się, a Tina wprowadziła na jej miejsce. Ich związek wszedł w kolejną burzliwą fazę. A potem wzięli ślub i... Sam nie wiedział, co się stało, ale nie było już tak jak wcześniej. Nie potrafił zrozumieć dlaczego. Spojrzał na Tinę. Jej usta poruszały się. Chyba musiał się wyłączyć, bo nie miał pojęcia, o czym mówiła.

– Ty mnie kompletnie nie słuchasz – powiedziała z pretensją w głosie.

– Ależ słucham, słucham, skarbie. – Uśmiechnął się. – Ale czy nie moglibyśmy odłożyć tej rozmowy do jutra? Naprawdę szkoda marnować taki wieczór. Twój rodzice zabrali dziecko, ja nie mam żadnego spotkania. Chodź tu do mnie.

Żona spojrzała na niego z oburzeniem i cofnęła się o krok, a potem na wszelki wypadek jeszcze o jeden.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytała.

Akurat wyobrażać sobie nic nie musiał, bo dobrze pamiętał, jak to kiedyś było. Niestety, w ostatnich miesiącach na tych wspomnieniach często musiał poprzestać.

– Co by ludzie powiedzieli? – zapytała Tina.

I tu go już kompletnie zaskoczyła.

– Jacy ludzie, skarbie? – zapytał ze zdziwieniem.

– Na przykład nasi sąsiedzi – doprecyzowała.

I znowu go zaskoczyła. Jemu nigdy by do głowy nie przyszło, że przemili państwo Korolkiewiczowie, którzy mieszkali w sąsiednim domu, mogliby mieć do niego pretensje, że z kimś uprawia seks pod własnym dachem! Po wyprowadzce Alicji nie odnosili się do niego jakoś inaczej – bardziej chłodno czy oficjalnie, chociaż jego pierwszą żonę bardzo lubili, a drugą to już niekoniecznie. Trudno zresztą było im się dziwić, bo już kilka dni po tym, jak się wprowadziła, usiłowała zatłuc pantoflem na szpilce jedną z ukochanych ozdobnych kur pana Korolkiewicza, która przelazła pod ogrodzeniem na ich podwórko i wskoczyła jej na leżak. A ona panicznie bała się ptasiej grypy. A potem chlusnęła resztkami kawy z kubka wprost na świeżo wyprane obrusy pani Korolkiewiczowej, które suszyły się u sąsiadów za płotem.

– Poczekaj tutaj – powiedziała nagle Tina i popędziła na górę.

Paweł odetchnął z ulgą. Najwidoczniej przeszła jej złość i mógł jednak liczyć na namiętny wieczór. Wyłączył telewizor i ułożył się wygodnie na kanapie. Ale Tiny nie było tak długo, że w końcu zaczął się niecierpliwie.

Co ona tam robi? – zastanawiał się.

Tymczasem z ich małżeńskiej sypialni zaczęły dochodzić jakieś szurania, trzaski...

Pewnie szuka jakiejś seksownej koszulki – pomyślał i aż westchnął na samą myśl o tym, co go za chwilę czeka. – Nareszcie będzie jak dawniej. Nigdy nie zapomnę, jak się zamykaliśmy w magazynku...

Nagle na górze trzasnęły drzwi i po chwili na schodach pojawiła się Tina. Paweł przechylił się, żeby sobie na nią popatrzeć, zanim tu do niego zejdzie. Ale zamiast żony zobaczył jakiś tobół, który toczył się po schodach.

– To dla ciebie – wysapała. – Pościel.

Paweł spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Ale po co mi to? – zapytał. – Przecież nie będę tu spał.

– Będiesz. – Żona kiwnęła głową.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiał. – Przecież mamy takie wygodne łóżko. Moglibyśmy...

– Nie moglibyśmy – ucięła. – Bez ślubu nie ma mowy. Babcia by mi tego nie wybaczyła.

– Jaka babcia? – zdziwił się.

– Moja, oczywiście. – Tina wzruszyła ramionami. – Jak miałam piętnaście lat, to obiecałam jej, że zostanę dziewicą do dnia ślubu. Nie mogę jej rozczarować.

Spojrzał na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy przypadkiem sobie z niego nie kpi. Ale nie! Była poważna.

– Ale jak babcia mogła wierzyć, że biorąc ze mną ślub, byłaś dziewicą, jeśli trzy miesiące później urodziło nam się dziecko? Chyba twoja babcia wie, ile trwa ciąża u ludzi? – powiedział sarkastycznie.

– Nie obrażaj mojej babci – powiedziała chłodno Tina, po czym zabrała ze stosu pościeli ukochany jasek męża. – Rodzice przekonali ją, że małe jest wcześniakiem.

– I uwierzyła? – Paweł spojrział na nią podejrzliwie. – Przecież nasze dziecko ważyło prawie pięć kilogramów.

– Pewnie, że uwierzyła. – Wzruszyła ramionami. – Sama powiedziała, że u niej na wsi to często takie duże wcześniaki się rodziły. Szczególnie po wojnie. Mężczyzna wracał i krótko po tym rodziło mu się dziecko. Zawsze takie duże.

– Ale u nas nie było ostatnio żadnej wojny – powiedział słabym głosem. – Dla mnie to jakieś chore jest. Kochanie, chodźmy już spać. Jutro porozmawiamy o twojej babci.

– Masz rację – powiedziała Tina. – Jestem zmęczona.

Odetchnął w duchu. Poczuł, że odzyskuje grunt pod nogami. Teraz pójda do łóżka, a jutro jakoś wszystko się poukłada. Ale cieszył się za wcześnie. Gdy chciał objąć żonę, ta odsunęła się od niego.

– Ty śpisz tutaj – powiedziała.

– Jak to tutaj? – Nie rozumiał. – Na kanapie? Ale dlaczego na kanapie? Jest potwornie niewygodna.

– Nie możemy przecież sypiać razem – powtórzyła z uporem. – Nie jesteśmy małżeństwem.

– A jak się wszystko wyjaśni... – zaczął z nadzieją w głosie.

– Jak się wszystko wyjaśni, to weźmiemy jeszcze raz ślub i wtedy tak – powiedziała żona i z jego ukochanym jaśkiem pod pachą ruszyła po schodach do sypialni, gdzie mieli wygodne łóżko. A on będzie musiał sypiać na tej okropnej kanapie, którą Alicja nie wiadomo dlaczego uparła się kupić.

– Zostaw mi chociaż poduszkę – krzyknął w stronę żony, która zniknęła już na podeście piętra.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem jasek poszybował w jego stronę. Potraktował to jako dobry omen. Przez chwilę czekał, że może Tina zdecyduje się jednak zejść do niego, ale ona zamknęła się w sypialni. Usłyszał, jak przekręciła klucz w zamku. Westchnął i spróbował ułożyć się na kanapie. A potem włączył telewizor, żeby obejrzeć mecz, który sobie nagrał.

Zerkając jednym okiem na ekran, popędził do kuchni i wyciągnął z lodówki piwo, a z szafki wielką paczkę chipsów.

– Nie jest tak źle – pomyślał. – Właściwie to, pomijając tę parszywą kanapę, jest całkiem spoko.

Paweł Gawęł czuł, że pod wpływem wzroku komendanta wojewódzkiego kurczy się coraz

bardziej i bardziej. W pewnym momencie miał nawet wrażenie, że nie sięga już nogami do podłogi. Na szczęście okazało się, że to tylko stopy mu zdrętwiały, bo założył nowe buty. Stare, dziwnym trafem, żona przez pomyłkę wyrzuciła do śmietnika.

A takie były wygodne – pomyślał z żalem komendant posterunku w Zabrzeźnie.

– Prawdopodobnie domyśla się pan, po co pana wezwałem – zaczął rozmowę komendant wojewódzki Waldemar Pralinka (biada tym z jego podwładnych, którzy dali się zwieść temu słodkiemu nazwisku).

Tak, Paweł Gawel niestety się domyślał.

– To już kilka tygodni, od kiedy z muzeum skradziono obraz. A postępów w śledztwie brak. Chyba że się mylę... – Przełożony zawiesił znacząco głos. – Codziennie dzwoni do mnie malarz, który podarował obraz muzeum. Co ja mam mu powiedzieć?

– Na razie nie znaleźliśmy tego... – Zamilkł i szukał określenia ma skradzione malowidło, które jakoś kompletnie nie pasowało mu do określenia „obraz”.

– Tego dzieła sztuki – dokończył komendant Pralinka i sięgnął po kartkę papieru, która leżała przed nim na biurku. – I to, jak wynika z danych muzeum, najcenniejszego, jakie było w zbiorach w Zabrzeźnie.

To akurat Paweł Gawel doskonale wiedział, bo znał te zbiory. Jeszcze jako szeregowy policjant sprawdzał często system alarmowy w muzeum. I jakoś nie mógł wtedy uwierzyć, że ktokolwiek mógłby próbować włamać się tam, żeby ukraść dziurawy garnek, młotek i kilka wyszczerbionych talerzy. I to tak, żeby nie zostawić żadnych śladów. A ten obraz wtedy w ogóle nie rzucił mu się w oczy. Ale był w stanie uwierzyć, że w porównaniu z resztą zbiorów stanowił jakąś wartość – nawet jeśli to była tylko wartość drewnianej dębowej ramy. Najgorzej, że nikt nie miał pomysłu, jak złodziej wszedł do muzeum i wyniósł obraz. Nie było śladów włamania.

– Jeszcze tylko kradzieży stulecia brakowało w Zabrzeźnie – pomyślał.

ROZDZIAŁ IV

W KTÓRYM GŁÓWNA BOHATERKA W CIĄGU KILKU GODZIN ROBI ZAWROTNĄ KARIERĘ – OD GWIAZDY TELEWIZYJNEJ DO KOBIETY UPADŁEJ

Alicja wyjechała na ulicę, a Szymon zamknął za nią bramę. Pomachała mu, posłała buziaka i ruszyła w drogę. Zerknęła na zegarek.

– Mam jeszcze czas – uspokoiła się i w tym samym momencie wprost pod koła weszła jej jakaś staruszka.

Na szczęście jakimś cudem udało jej się zahamować. Wskoczyła z przerażeniem z samochodu. Na szczęście kobieta już się podnosiła z jezdni.

– Ja bardzo panią przepraszam – jęknęła, otrzepując ubranie kobiety. – Nie chciałam. Nie wiem, jak to się stało. Może ja wezwę policję i pogotowie? Prześwietlenie trzeba pewnie zrobić...

– Obejdzie się – fuknęła kobieta, otrzepała ubranie i ruszyła dalej szybkim krokiem.

Alicja przez chwilę jej się przyglądała. Gdy nieznajoma, której o mało nie przejechała, zniknęła w bocznej uliczce, wzruszyła ramionami i wsiadła do samochodu. Jechała tak powoli, że o mało nie spóźniła się do roboty. Zaparkowała pod zakładem pogrzebowym, gdzie wynajmowała salę na swoje przyjęcia rozwodowe. Tę miejscówkę załatwiła jej znajoma, Zuza Roszkowska. Specyficzne otoczenie na szczęście zupełnie gościom nie przeszkadzało.

– Nareszcie jesteś! – krzyknęła na jej widok Baśka. – Już myślałam, że zapomniałaś o dzisiejszym przyjęciu. Nawet dzwoniłam do ciebie do domu, ale odebrał jakiś obcy facet, który powiedział, że nie wie, gdzie jesteś i nic go to nie obchodzi. To jakaś nowa zdobycz? Szymon poszedł w odstawkę? Nic nie wspominałaś. Sorry, ale ten nowy to jakiś dziwny jest. Nie żebym cię krytykowała, ale...

– Luzik. – Alicja machnęła uspokajająco ręką. – Nie mam nikogo nowego. A tak w ogóle, to gdzie ty dzwoniłaś?

– Do ciebie! – powiedziała Baśka i nagle pacnęła się otwartą dłonią w czoło. – Ale ze mnie jełopa! Przecież mówiłaś parę razy, że przeprowadzacie się z Szymonem do willi Łucji i Grzegorza. Szczęściarze. Powinnaś sobie jeszcze służbę zatrudnić. Wiesz, gosposię, kucharkę, szofera, ogrodnika, pokojówkę. Nie, pokojówkę lepiej nie. W tandetnych romansidłach panowie domu zawsze zdradzają żony z pokojówkami. A za kucharkę mogę się u ciebie nająć. Mam referencje. Moja prababcia była przed wojną kucharką u jednego takiego hrabiego. Ale za komuny go rozparcelowali.

– Na kucharkę, kochana, mnie nie stać. – Wspólniczka ostudziła jej zapał. – A gosposia sama się do mnie wprowadziła i powiedziała, że zostanie do powrotu właścicieli.

– Jak to? – nie rozumiała Baśka.

Alicja opowiedziała o pojawieniu się pani Ady.

– Dziwne. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– Bardzo dziwne – zgodziła się z nią Alicja. – Ale co mam zrobić? Wyrzucić ją? Jeszcze by się obraziła, a tego Łucja by mi nie wybaczyła.

– Zaraz, zaraz... Wróć! Jeśli wy się wyprowadziliście, to kim jest ten gbur, co odebrał

w mieszkaniu Łucji i zanim cisnął słuchawką, to wykrzykiwał, że nie jest biurem adresowym i nie będzie bez przerwy udzielał informacji na temat miejsca twojego pobytu?

– To Mirek, kuzyn Grzegorza – wyjaśniła Alicja. – Tak powiedział, że bez przerwy? Ciekawe, kto się jeszcze o mnie dopytywał...

– A tego to ja już nie wiem, kochana. – Baśka rozłożyła bezradnie ręce. – Ale moje doświadczenie życiowe podpowiada mi, że jak ktoś cię szuka, to w końcu znajdzie.

Nie wiadomo dlaczego, ale dla Alicji jej słowa zabrzmiały złowrogo. Bardzo szybko miało się okazać, że przecucie jej nie myliło. Ale teraz nie miała czasu, żeby o tym rozmyślać, bo najpierw Baśka zagnała ją do ubijania śmietany do ptysiów, a zaraz potem zaczęli się schodzić goście.

– Kogo to my dzisiaj mamy? – zapytała Baśka. – Mówiłaś mi, ale zapomniałam.

– O, moja droga! – Alicja udała oburzenie. – Jak mogłaś zapomnieć, że dzisiaj organizujemy przyjęcie rozwodowe dla gwiazdy naszej lokalnej telewizji?

– Dla tej wysokiej rudej? – dopytywała się Baśka.

– Ruda to ona była, jak prowadziła w zeszłym roku program „Wiadomości Zabrzeżna”. Teraz ją przenieśli do teleturnieju „Z Zabrzeżna w szeroki świat” i dla odmiany jest brunetką.

– Już zaczynam sobie przypominać. Jej mąż też pracuje w tej telewizji – powiedziała Baśka i zamieszła energicznie w garze z sosem serowym do tortilli. – To taki kudłaty blondas. Lubię kudłatych blondasów.

– Niestety, on się tu raczej nie zjawi – rozwiła jej nadzieje współpracownika. – Właśnie się rozwiedli. Czytałam o tym w internecie.

Impreza trwała w najlepsze, gdy nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie klienci zakładu pogrzebowego – westchnęła Alicja.

Przypomniała sobie, jak to podczas pierwszego przyjęcia, które organizowała, nagle wparowało do środka kilku facetów... z trumną. Co prawda okazali się bardzo mili i nawet zostali do końca, ale po tym wypadku ze staruszką, co wlaźła jej pod koła, wołała żadnej trumny nie oglądać. Na szczęście (przynajmniej tak pomyślała w pierwszej chwili, gdy szarpnęła drzwi) po drugiej stronie nie było trumny. Za to oślepiło ją ostre światło, a potem tłum ludzi zepchnął ją pod ścianę i pogalopował do głównej sali, gdzie trwało przyjęcie. Na przodzie pędził kudłaty blondas z telewizji, a za nim ludzie z kamerami. Gdy Alicja nieco ochłonęła, ruszyła za nimi. Z kuchni wyjrzała Baśka i aż jęknęła na widok swojego idola, któremu jakaś paniienka właśnie pudrowała kształtny nos.

– A mówiłaś, że nie przyjdzie. – Szturchnęła koleżankę.

– Bo nie miałam pojęcia – odpowiedziała Alicja. – Zresztą nadal nie mam pojęcia, co on tu robi. Nasze klientki raczej nie zapraszają byłych mężów, żeby z nimi świętować rozwód.

Chciała coś jeszcze dodać, ale Baśka chwyciła ją za rękę i wciągnęła do głównej sali. Całe zgromadzone towarzystwo obserwowało w napięciu, jak kudłaty blondyn rzuca się na kolana przed byłą żoną.

– Wróć do mnie, najdroższa! – krzyknął i zastygł na kilka sekund z uniesionymi rękami, a potem odwrócił się szybko w stronę kamerzysty i zapytał: – Mamy to?

Kamerzysta skinął głową.

– Teraz kwiaty – powiedział blondyn, a jego słowa wywołały popłoch wśród młodych kobiet, które mu towarzyszyły.

Po krótkich i nerwowych poszukiwaniach kwiaty się znalazły.

– Co wy mi dajecie? – warknął kudłaty blondas.

Alicja stłumiła śmiech, bo paniienki wyciągnęły zza szafy woskowe kwiaty będące własnością zakładu pogrzebowego, które ona osobiście przed każdym przyjęciem za tą szafą upychała.

Baśka, która stała najbliżej drzwi, jako pierwsza dostrzegła wiecheć, który paniienki zostawiły na stoliku w holu. Złapała go i popędziła z nim do kudłatego blondyna. Ten wziął od niej badyle, a potem spojrzął na nią i powiedział z niechęcią:

– Ty jesteś nowa, co? To się dowiedz od koleżanek, jak się u nas pracuje, bo wylecisz z hukiem.

I zrób coś ze sobą, bo wyglądasz okropnie. Jak jakaś kuchta!

Oszołomiona współniczka Alicji chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo zagłuszył ją ryk osób zgromadzonych w reprezentacyjnej sali zakładu pogrzebowego.

– Przebacz mu! Przebacz mu! – darli się wszyscy.

Alicja patrzyła na to wszystko z szeroko otwartymi ustami i zastanawiała się, czy to się dzieje naprawdę.

A może to sen? – przyszło jej nagle do głowy. – Przecież mnie często śnią się jakieś głupoty. Właściwie to rzadko śni mi się coś normalnego. Może by się uszczypnąć?

Ale zanim zrealizowała ten pomysł, ktoś pchnął ją z tyłu w plecy, wleciała na jakąś kobietę stojącą przed nią, potrąciła szklanke, którą tamta trzymała, i dobrze schłodzona wódka z lodem wylądowała jej na bluzce. Gdyby spała, to od tego obudziłaby się na pewno. Tymczasem wszystko było po staremu. Może z tą różnicą, że teraz tłum klaskał, a kudłaty blondyn namiętnie tulił farbowaną brunetkę.

– Przepraszam panią bardzo – Alicja zwróciła się do kobiety, której wytrąciła drinka z ręki.

– Nie, nic się nie stało – odpowiedziała tamta. – Niesamowite, prawda?

W pierwszej chwili Alicja miała wrażenie, że kobieta mówi o tym, że wylała jej wódkę, ale po chwili dotarło do niej, że chodzi o to przedstawienie, które rozgrywa się na jej oczach.

– Chyba tak – stwierdziła. – Tylko że tego nie było w planach przyjęcia.

– Jak to nie było? – oburzyła się jej rozmówczyni. – Przecież wszystko idzie zgodnie ze scenariuszem. Co nie, Iza? – Szturchnęła stojącą obok kobietę.

– Ale o co chodzi? – zapytała ta i przyjrzała się Alicji z zainteresowaniem, na dłuższą chwilę zatrzymując wzrok na jej nosie.

Alicja odruchowo potarła obserwowaną część ciała.

Może została mi tam bita śmietana? – pomyślała w panice.

– Właśnie o to chodzi, że trzymamy się dokładnie scenariusza – wyjaśniła kobieta, z którą się zderzyła.

– Dokładnie – potwierdziła druga. – Nawet gdzieś go tu mam.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła notatnik w czarnej skórzanej oprawie. Przez chwilę wertowała go, wreszcie trafiła na właściwą stronę, postukała palcem i powiedziała:

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Teraz powinien być tort. Zamówiłaś tort?

– A jak myślisz? – odpowiedziała jej koleżanka z oburzeniem. – Ja nie chcę się pożegnać z robotą, jak ta jełopa od kwiatków.

– Myślisz, że naprawdę ją wyleje? – zdziwiła się ta druga.

– Bankowo – zapewniła ją koleżanka. – Nie za takie rzeczy ludzie od nas wylatywali. Gdzie jest ten tort? Trzeba poszukać kogoś z obsługi, bo zaraz będzie granda.

Zaczęły się rozglądać, a Alicja razem z nimi, gdy nagle dotarło do niej, że to ona przecież jest tą obsługą. Rzuciła się do kuchni.

– Gdzie jest tort? – krzyknęła. – Musimy zaraz podać tort.

– Widziałaś go? – zapytała Baśka, otwierając lodówkę.

– Kogo? – Alicja sięgnęła po paterę.

– Kudłatego blondyna – sprecyzowała przyjaciółka. – To jakiś palant jest. I wcale nie taki przystojny jak w telewizji. Ty to wszystko zaplanowałaś?

– Zwariowałaś?

– Ja nie, ale myślałam, że może ty – roześmiała się Baśka.

Do kuchni zajrzała jedna z kobiet, z którymi wcześniej rozmawiała Alicja.

– Przepraszam, ale potrzebujemy tortu – powiedziała i znowu zatrzymała wzrok na jej nosie.

Zabrała paterę i wyszła.

– Słuchaj, czy ja mam coś na nosie? – zapytała Alicja, usiłując się przejrzeć w wypolerowanej łyżce do zupy.

– Nic nie masz, stara wariatko. Lepiej idź i zobacz, co oni tam robią, bo z tymi z telewizji nigdy

nic nie wiadomo. Jeszcze trumny rozkradną i będziemy świecić oczami przed właścicielami.

Alicja na wszelki wypadek jeszcze raz przejrzała się w lūżce, a potem podreptała do głównej sali. Przestali już filmować i teraz jedli i gadali. Wypatrzyła pod oknem główną rozwódkę wieczoru i podeszła do niej.

– Ja bardzo chciałam przeprosić... – zaczęła.

– A za co? – nie zrozumiała farbowana.

– Za to, że trochę inaczej to wszystko wyglądało, jak pani przesyłałam dokładny plan imprezy, listę gości – tłumaczyła. – Naprawdę nie miałam pojęcia. Co prawda nie mam przy sobie tego scenariusza, bo właśnie się przeprowadzam i gdzieś mi przepadł, ale wszystko pamiętam. No i mam go w komputerze.

– Proszę się nie przejmować. – Klientka klepnęła ją w ramię. – Wszystko odbywa się zgodnie ze scenariuszem, który przygotowaliśmy u nas w telewizji.

– Jak to? – Alicja wytrzeszczyła oczy. – Więc to wszystko tutaj...

– Oczywiście! – roześmiała się farbowana. – Taki element promocji nowego reality show.

– I rozwód też? – zapytała Alicja. – To znaczy nie był prawdziwy? Przepraszam, nie chciałam być niedyskretna.

– To żadna niedyskrecja – zapewniła ją klientka. – Rozwód oczywiście był jak najbardziej prawdziwy. Gdybyśmy się naprawdę nie rozwiedli, to ktoś mógłby zwietrzyć za wcześnie, że to tylko część kampanii reklamowej. Przepraszam, ale muszę porozmawiać z mężem. To znaczy z byłym mężem – roześmiała się. – Potem chciałabym, żeby pani udzieliła wywiadu. To będzie doskonała reklama dla pani firmy. Zaraz poszukam makijażystki... Proszę tu poczekać.

Gdy tylko odwróciła się od niej, Alicja natychmiast czmychnęła do kuchni. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami.

– Schowaj mnie gdzieś tutaj – powiedziała do Baśki.

Wspólniczka spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Zamordowałaś kogoś? – zapytała.

– Jeszcze nie – wyszeptwała Alicja, przysmykając drzwi. – Po prostu farbowana brunetka i kudłaty blondyn chcą kręcić ze mną wywiad.

– Super! Zrobimy sobie reklamę na całe Zabrzeżno i okolice – ucieszyła się Baśka. Ludzie będą się specjalnie rozwodzić, żeby nas wynająć. Masz natychmiast iść i udzielić takiego wywiadu, że od jutra pod tymi drzwiami będzie stała kolejka chętnych.

– To są drzwi zakładu pogrzebowego – przypomniała jej przyjaciółka. – Jego klienci głównie leżą, i to w trumnach.

– Nieważne – ucięła Baśka. – Będziemy miały darmową reklamę i to jest najważniejsze.

– Po moim trupie – odpowiedziała Alicja, co w zakładzie pogrzebowym zabrzmiało bardzo adekwatnie.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi, o które ciągle się opierała.

– Przyszli po mnie – jęknęła. – Mówię ci, schowaj mnie i powiedz, że musiałam pilnie wyjść, bo dom mi się pali.

– Nie wyglupiaj się – fuknęła Baśka. – Gdzie ja niby miałabym cię schować? W lodówce czy w piecyku obok kaczek z jabłkami?

Do drzwi znowu zapukano. Wspólniczka odsunęła Alicję stanowczym ruchem i otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stały dwie kobiety, z którymi Alicja rozmawiała wcześniej.

– Szukamy pani – powiedziała jedna z nich. – Szefowa chce, żebyśmy panią przygotowały do wywiadu. Czy tu gdzieś jest dobre światło? – Rozejrzała się krytycznie wokoło.

– Tu będzie najlepiej – krzyknęła jej koleżanka i otworzyła boczne drzwi.

Pod Alicją ugięły się nogi. Od właścicieli zakładu pogrzebowego wiedziała, że jest to pomieszczenie, w którym przygotowuje się szanownych zmarłych do ostatniej podróży – maluje, pudruje, czesze, goli. Zanim jednak zdołała zaprotestować, została zaciągnięta do pokoju. Gdy zamknęły się za nią drzwi, miała wrażenie, że to zatrzasnęło się wieko trumny.

Siedząc na krześle, starała się za bardzo nie rozglądać wokoło, żeby później to pomieszczenie nie nawiedzało jej w sennych koszmarach.

– Teraz chyba jest dobrze. Nos już nie jest taki koszmarnie długi – powiedziała jedna z dziewczyn i zwróciła się do drugiej: – A jak ty myślisz?

Zapytana cofnęła się o krok i krytycznym wzrokiem przyjrzała Alicji.

– Co ty? – Skrzywiła się. – Taka zielona jakaś jest.

– Niby masz rację – zgodziła się z nią koleżanka. – Ale nie zielona, raczej blada taka.

– Trzeba ją podkolorować – zdecydowała ta pierwsza. – Inaczej w kamerze wyjdzie nam jak trup. Alicja osunęła się na krzesło.

– Proszę się tak nie wiercić i wyprostować – zażądała ta, która ją malowała. – Inaczej zrobię pani brwi na nosie.

Nie, Alicja z całą pewnością nie chciała mieć brwi na nosie, więc posłusznie usiadła prosto i na wszelki wypadek zamknęła oczy, żeby nie widzieć swojego odbicia w lustrze. Chora wyobraźnia podpowiadała jej, że zamiast własnej twarzy mogłaby tam zobaczyć oblicze jakiegoś szacownego nieboszczyka, którego zacni bracia Kowalowie, właściciele zakładu, wyprawili kiedyś w ostatnią podróż.

Samego wywiadu w ogóle nie pamiętała.

– Słuchaj, czy ja strasznie bredziłam? – zapytała Baškę, gdy wreszcie przestano jej świecić w oczy i podtykać mikrofon pod nos.

– Absolutnie nie – uspokoiła ją przyjaciółka. – Tylko zupełnie nie rozumiem, dlaczego w pewnym momencie zaczęłaś im opowiadać, że zamierzasz kandydować do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, bo właśnie odkryłaś u mężczyzn gen niewierności. Teraz będzie można każdemu facetowi kawałek DNA z tym parszywym genem wyciąć i już się nie będzie puszczał na prawo i lewo.

– O matulu! – jęknęła Alicja. – Ja naprawdę wygadywałam takie głupoty? Chyba będę musiała wyemigrować do Australii.

– Nie musisz. Mówiłaś całkiem z sensem i zrobiłaś nam niezłą reklamę – roześmiała się Baška. – A z tym genem niewierności to podobno prawda. Mój szwagier lekarz mi ostatnio coś takiego opowiadał. Chcesz może herbatkę?

– Chcę czegoś mocniejszego – jęknęła Alicja. – Chociaż nie, nie mogę. Muszę jakoś zakończyć tę zwariowaną imprezę, a potem wrócić do domu. Upiję się później. Teraz daj mi tej swojej herbatki i chyba trzeba im coś zanieść do jedzenia, bo nas jeszcze w tej swojej telewizji obgadają, że głodzimy naszych klientów.

Gdy nad ranem goście opuszczali zakład pogrzebowy, na szczęście nie wyglądali na zagłodzonych.

– Bardzo dziękuję! – Farbowana brunetka uściśnęła dłoń Alicji. – Świetna impreza! Naprawdę doskonała. Polecę pani firmę wszystkim moim przyjaciółkom.

– To one wszystkie też się rozwodzą? – zapytała ze zdziwieniem szefowa firmy „Wesoła rozwódka”.

– Wcześniej czy później na pewno. – Prezenterka pokiwała głową. – Taka specyfika środowiska. Pani ma bardzo telewizyjną urodę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Alicja, która do tej pory raczej myślała o swoim wyglądzie, że bardziej niż do telewizji nadawałby się do radia.

– Tak. – Rozmówczyni z przekonaniem pokiwała głową. – Do widzenia. Jutro zlecę w księgowości przelew na resztę umówionej kwoty. Teraz muszę już lecieć.

I pobiegła w stronę sportowego wozu, z którego niecierpliwie kiwał na nią kudłaty blondyn.

– I odjechali w promieniach zachodzącego słońca – mruknęła pod nosem Alicja i natychmiast się zreflektowała. – Co ja bredzę? Słońce to właśnie wschodzi.

Ziewnęła szeroko, poczekała, aż reszta gości też odjedzie, weszła do zakładu pogrzebowego

i zamknęła drzwi na klucz. Nie chciała, żeby tak jak miesiąc wcześniej wlaźł jej tu pijaczek z pobliskiego baru Zacisze. Położył się na środku podłogi i najzwyczajniej w świecie zasnął. O mało nie dostała zawału, jak natknęła się na niego w ciemnym korytarzu. Była pewna, że to zwłoki.

– Pojechali? – zapytała Baśka.

– Pojechali. – Kiwnęła głową i ziewnęła jak hipopotam. – Nareszcie. Muszę się napić kawy.

– Stoi tam, w dzbanku. – Wspólniczka machnęła głową w kierunku blatu. – Sprzątamy i do domciu, na podusie i pod kołderkę.

Po jakiejś godzinie Alicja odwiozła Baškę do domu, a potem ruszyła do siebie. Przy drodze na Malinówkę, gdzie kiedyś mieszkała z Pawłem, o mało nie skręciła.

Czy ja się kiedyś pozbędę tego odruchu? – pomyślała.

Kawa Baški była taka mocna, że kompletnie odechciało jej się spać. Dostała takiego energetycznego kopa, że musiała koniecznie coś zrobić. Wiedziała, że nawet jeśli teraz się położy, to nie zaśnie. Miałoby to swój urok, gdyby w domu był Szymon, ale on akurat tego dnia miał już od szóstej rano dyżur w lecznicy.

W domu jest tylko pani Ada – pomyślała. – Pewnie mnie zagoni do sprzątania.

Nie, przy całej energii, która ją roznosiła, sprzątanie nie było tą formą aktywności fizycznej, przy pomocy której miałyby ochotę ją rozładować.

Uśmiechnęła się do siebie i gwałtownie zahamowała, bo przed przejściem dla pieszych stała kobieta z wózkiem dla bliźniaków.

Przepuściła ją i jeszcze przez chwilę śledziła wzrokiem w tylnym lusterku. Oni z Pawłem też starali się o dziecko, ale jakoś im nie wyszło.

– Za to z Tanią udało mu się bardzo szybko – przypomniała sobie i ze złością nacisnęła pedał gazu.

Ścierka stanęła dęba, przeskoczyła dwa metry i zatrzymała się tuż za przejściem dla pieszych. Silnik zgasł i nie dawał się uruchomić.

– Po prostu super! – jęknęła i wysiadła.

– Tu nie wolno się zatrzymywać – usłyszała nagle za swoimi plecami. – Proszę zjechać ze skrzyżowania.

Już miała się odwrócić i powiedzieć temu mądralińskiemu, żeby sam spróbował odjechać. Ona najlepiej wiedziała, że jak Ścierka się zaprze, to nie ruszy, choćby nie wiem co. Ale słowa zamarły jej na ustach. To był on! Policjant z Mazur, którego poznała jeszcze przed ślubem z Pawłem. Ten sam, który proponował jej rejs dookoła świata własnoręcznie wykonaną łodzią. Nic się nie zmienił. Za to ona chyba tak, bo nie wyglądało na to, żeby ją poznał. Trudno. Ona też nie musi się przyznawać.

– Niestety! – Rozłożyła ręce. – Nie potrafię uruchomić silnika.

– Zaraz zajrzę – powiedział mężczyzna. – Proszę podnieść maskę.

Przez chwilę grzebał w bebechach Ścierki, aż w końcu wyprostował się i powiedział:

– Teraz może pani spróbować.

Przekręciła kluczyk i, o cudzie, samochód zawarczał potulnie.

– Dziękuję bardzo – powiedziała i odjechała.

Było jej przykro, że mężczyzna jej nie poznał. W końcu spędzili wtedy na Mazurach parę upojnych wieczorów. Nie, nie zdradziła Pawła, który był wtedy jej narzeczonym, i nawet tego potem żałowała. Aż do dzisiaj.

– Gdybym to wtedy zrobiła, to dzisiaj czułabym się jeszcze gorzej – mruknęła pod nosem. – Jak jakaś ścierka.

Samochód na dźwięk swojego imienia, którego właścicielka używała tylko wtedy, gdy była wściekła albo mocno rozżalona, podskoczył ostrzegawczo na wyboju.

– Dobra, dobra – uspokoiła maszynę. – Co się czepiasz? Miałam powiedzieć, że czułabym się jak czarownica?

Już miała skręcić w uliczkę prowadzącą do domu Łucji i Grzegorza, gdy nagle zabrzączał jej telefon. Na szczęście, odkąd dostała pięć mandatów pod rząd za gadanie w czasie jazdy, Szymon kupił

jej zestaw głośnomówiący.

– Cześć, skarbie! – rozległ się w samochodzie głos ukochanego mężczyzny. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

Czarownica zamruczała z zadowoleniem. Alicja zawsze podejrzewała, że skrycie podkochuje się w Szymonie. Co o tyle ją dziwiło, że nie był przecież mechanikiem samochodowym, tylko weterynarzem. Z kolei Rudy Sto Dwa nie pozwalał mu się do siebie zbliżyć i Alicja musiała go wozić do lecznicy na drugim końcu miasta, bo tam przyjmował jedyny lekarz, którego upiorne kocisko akceptowało. Za każdym razem odgrażała się, że mu odliczy z karmy, ale kocur nie traktował tych gróźb poważanie.

– On się nie ma czego bać – śmiał się Szymon, gdy słyszał, jak Alicja odgraża się Rudemu Sto Dwa. – Wie, że jakby co, to Pasztet podzieli się z nim swoją michą.

– Hej! – rozległ się znowu głos Szymona, a Czarownica zadrżała z podniecenia albo dlatego, że przejeżdżali akurat po szutrówce. – Jesteś tam?

– Jestem, jestem – uspokoiła go. – Zamyśliłam się.

– Nie rób tego – krzyknął, udając przerażenie. – Ostatnio jak się zamyśliłaś, to pomoc drogowa musiała nas z rowu wyciągać.

– Bla, bla, bla... – Alicja się skrzywiła, a Czarownica strzeliła ostrzegawczo z rury wydechowej. – Każdemu mogło się zdarzyć.

– Mnie się nie zdarzyło – przypomniał jej.

– Bo ty jesteś absolutnie idealny. – Pokiwała głową. – Dzwonisz „tak se” czy może się za mną stęskniłeś?

– Stęskniłem się okrutnie – powiedział namiętnym szeptem, a Alicja miała wrażenie, że jej samochód zaczął się unosić nad asfaltem. – Sypialnia bez ciebie taka pusta.

– Trzeba było zaprosić panią Adę – parsknęła.

– Nawet nie żartuj w ten sposób – powiedział przerażonym tonem. – Jeśli chodzi o panią Adę, to pewnie wyśle cię na jogging, bo ze mną jej się nie udało. Zełgałem, że mam odciski po ostatnim.

– To ja też nie będę biegać – zbuntowała się Alicja. – Nalatałam się przez całą noc i mam dosyć.

– Obawiam się, że to jej nie przekona – westchnął ze współczuciem mężczyzna jej życia. – Mam dla ciebie doskonałą propozycję. Jedź do komisariatu policji.

– Mam donieść na panią Adę, że zmusza nas do biegania rano? – zdziwiła się. – I za to zakują ją w kajdany i zamkną w kazamatach? Chyba przesadzasz. Jogging ciągle jest legalny i niektórzy uważają, że bardzo zdrowy. Na przykład mój były mąż. Zresztą, Łucja by mi nie darowała, gdybym wsadziła do pierdła jej ukochaną panią do sprzątanania.

– Toteż ja ci tego wcale nie proponuję – uspokoił ją Szymon. – Wczoraj dzwoniłi z policji i prosili, żebyś rano się u nich zjawiła. Chcą ci pokazać tę taśmę z monitoringu.

– To jadę! – krzyknęła Alicja i zawróciła pod domem, udając, że nie widzi, jak z ganku macha do niej pani Ada.

Miała tylko nadzieję, że Czarownica nie zrobi jej głupiego kawału i nie zatrzyma się nagle na środku drogi, bo wtedy gospościa gotowa ją dopaść.

Ale dlaczego ja się jej właściwie boję? – zastanawiała się, skręcając z bocznej uliczki na główną drogę osiedlową, która, jak pamiętała, prowadziła do komisariatu policji.

Po chwili zaparkowała pod dwupiętrowym budynkiem i weszła do środka. Miała tylko nadzieję, że nie spotka po raz drugi tego samego dnia znajomego policjanta z Mazur. Miała jakiś podświadomy żal, że jej nie poznał. A mieli razem opłynąć świat dookoła.

– Szuka pani kogoś? – zapytał ją ten sam facet w mundurze, który poprzedniego dnia odwiedził ją w domu Łucji po tej nieudanej próbie włamania.

– Ja miałam się zgłosić, żeby monitoring obejrzeć – powiedziała.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby wparowała tutaj i zażądała schabowego z frytkami i surówką z kiszanej kapusty.

Kurza stopa! Co się z tymi facetami dzisiaj dzieje? – pomyślała, a potem głośno, wyraźnie

i powoli powiedziała:

– To ja jestem z tego domu, do którego było włamanie.

– Aha! – Mężczyzna nareszcie zajarzył, a potem spojrzął na nią ze zdziwieniem: – To pani?

Przyszło jej do głowy, że miasto, w którym pracują tak nieogarnięci stróże prawa, to prawdziwy raj dla przestępców. I że jak się ta wieść rozniesie, to będą tu walić z całego kraju, a pewnie i paru zagranicznych się trafi.

– Tak, to ja – potwierdziła poirytowana, bo znowu zachciało jej się spać. Widocznie kawa Baški przestała już działać.

Policjant poprowadził ją przez wąski korytarz. Po obydwu stronach były zamknięte drzwi. Jedne z nich były wielkie i oszklone. Spojrzała na nie i zobaczyła, że z tamtej strony przygląda jej się natarczywie jakaś niemiłosiernie wymalowana kobieta. Farba aż z niej kapiała.

Może jakaś lekkich obyczajów? – pomyślała, starając się nie przyglądać nieznamomej zbyt natarczywie.

Miała wrażenie, że pokój, do którego prowadzi ją mało rozgarnięty policjant, znajduje się w sąsiednim województwie, a może nawet za granicą. Szli tak długo, że w końcu rozboleły ją nogi. Na koniec okazało się, że wrócili w to samo miejsce, z którego wyszli.

Ja chyba do tej pory miałam stanowczo zbyt wysokie mniemanie o inteligencji policjantów – pomyślała sarkastycznie Alicja.

Posadził ją przed komputerem i pokazał jej film. Przez pierwsze pięć minut nic się nie działo i niewiele brakowało, a zasnęłaby. Już miała zamknąć oczy, gdy nagle okno na parterze uchyliło się i pokazała się w nim jakaś kudłata łapa. Alicja wzdrygnęła się lekko. Tuż za łapą pojawił się Rudy Sto Dwa.

– Jak on otworzył to okienko? – Ze zdumienia aż uniosła brwi, a senność zupełnie jej minęła. – Przecież tam jest blokada. Nawet ja mam problem i zawsze wołam Szymona.

Rudy Sto Dwa zniknął za płotem, w ogródku sąsiadów Łucji. Przez chwilę nic się nie działo. Alicja znowu poczuła przyływ senności. Ale nagle aż podskoczyła na krześle, bo na progu pojawiła się jakaś rozmemłana baba w za dużych spodniach od pizamy, które co chwilę podciągała.

Skąd tu ta wywłoka? – Skrzywiła się z niesmakiem, gdy nagle olśniło ją, że to przecież ona sama.

Miała tylko nadzieję, że nie zacznie się zaraz drapać po tyłku. Na szczęście nie. Ufff! A potem było to, co już sama zapamiętała. Wyskakujący zza jej pleców Pasztet, jego niesamowity skok przez ogrodzenie za złodziejem, Szymon i pani Ada skradająca się zza węgła. Koniec nagrania. Spojrzała wyczekująco na policjanta.

– Poznaje pani kogoś? – zapytał.

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami – Mojego kota, psa, gosposię, przyjaciela i samą siebie.

– Ale nam chodzi o włamywacza – doprecyzował policjant i jeszcze raz puścił jej ten fragment nagrania, na którym postać w płaszczu wspina się na ogrodzenie i znika po drugiej stronie. – Poznaje pani tego kogoś?

– Nie, raczej nie – odpowiedziała. – Zresztą tu mało widać.

– Mamy jeszcze nagranie z innej kamery – powiedział policjant i włączył następny film.

Ktoś biegł ulicą, a za nim pędził Pasztet. Nagle człowiek lekko zwolnił, zdjął but i cisnął nim w psa. Alicja aż krzyknęła ze strachu, ale na szczęście Pasztet uchylił się i but przeleciał obok niego. Pies zanurkował za nim w krzaki, a włamywacz popędził dalej.

– Nie wiem... – zawahała się. – Jest w nim coś znajomego, ale nie potrafię sobie przypomnieć co. Jakbym tego kogoś już kiedyś widziała. Ale gdzie i kto to może być? Nie, nie mam w tej chwili pojęcia.

– Może to jakiś pani znajomy? – próbował pomóc policjant. – Albo znajomy właścicielki domu?

Jakaś myśl przemknęła jej przez głowę, ale uciekła, zanim zdążyła ją złapać. Co to mogło być i z czym jej się kojarzyło? Ta kurtka, a może buty?

– Nie wiem – odpowiedziała bezradnie. – Ale po co ktoś z moich znajomych miałby się włamywać do domu Łucji, to znaczy mojej przyjaciółki?

– To proste – próbował dalej policjant. – Może ten ktoś wiedział, że wyjechała z mężem, i myślał, że dom jest pusty? Może wiedział, że ma tam coś cennego.

– Jeśli znał Łucję, to raczej odwrotnie – sprostowała Alicja. – Wiedział doskonale, że tam nic cennego nie ma. Telewizor mają przedpotopowy. I tak go prawie nie oglądają. Grzegorz mówi, że czekają, aż stanie się zabytkiem, i wtedy go opchną w antykwariacie za ciężką kasę. Ale trochę to jeszcze potrwa. Teraz to włamywacz mógłby co najwyżej z litości odtaszczyć go do punktu przyjmującego elektrośmieci. Biżuterii Łucja nie znosi i nie ma, poza pierścionkiem i obrączką. Ale te wyjechały do Ameryki razem z nią. Obrazów żadnych...

Nagle zamilkła, bo przyszło jej do głowy monidło, które ktoś jej przysłał przez pomyłkę tuż przed przeprowadzką.

Kurza stopa! – myślała gorączkowo. – Gdzie to jest?

Ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, gdzie paskudne malowidło się podziało. Postanowiła na wszelki wypadek nie mówić policjantowi o obrazie. Jeszcze, znając jej szczęście, mogłoby się okazać, że to bezcenne dzieło sztuki, a ona je zgubiła. Jakiś nieznany Rembrandt albo van Gogh. W końcu jak kiedyś wyrzuciła stare dzinsy Pawła, to miał do niej straszne pretensje, bo w kieszeni zostawił dwieście złotych. Ale ona nie miała zwyczaju grzebać mu po kieszeniach.

– Może Tania jest inna – mruknęła pod nosem.

– Jaka Tania? – zdziwił się policjant.

– Przepraszam – powiedziała. – To nie było do pana. Nie, u Łucji nie ma żadnych obrazów. Ona lubi puste ściany. Robi wyjątek tylko dla jednej starej ciotki, która kiedyś podarowała jej zegar z kukułką. Jak ciotka przyjeżdża, to Łucja go wiesza. Czy ja już mogę iść? Pracowałam całą noc i jestem zmęczona.

Mężczyzna obrzucił ją jakimś takim dziwnym spojrzeniem, a potem poprowadził do wyjścia. Tym razem szli drugą stroną korytarza, a ile razy Alicja robiła krok w bok, tyle razy jej opiekun delikatnym gestem sprowadzał ją znów pod ścianę. Znów obeszli całą komendę dookoła i dobrnęli w to samo miejsce, z którego startowali. Zaczynała się czuć jak chomik na kołowrotku. Na szczęście byli dosłownie dwa kroki od wejścia. Nagle w kieszeni policjanta zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz...

– Proszę chwilę poczekać – powiedział. – Niech się pani nigdzie nie rusza. Ja zaraz wracam. To potrwa dosłownie chwilę.

Posłusznie czekała pięć minut. Ale mężczyzna ciągle nie wracał, a ona zaczynała już zasypiać na stojąco. Zmusiła się do tego, żeby postać kolejne pięć minut. Ponieważ policjanta ciągle nie było, stwierdziła:

– Mam to gdzieś! – I zrobiła krok w stronę drzwi wejściowych, które widziała przed sobą.

To, co się działo później, pamiętała bardzo mętnie. Usłyszała jakiś hurkot, poczuła ból głowy, zrobiło jej się słabo, nad głową zaczęły krążyć gwiazdy.

– Przecież mówiłem, żeby się pani stąd nie ruszała – usłyszała głos policjanta. – Czy pani żyje?

– Nie – odpowiedziała słabo Alicja.

– Nie? – przeraził się mężczyzna.

– Chciałam powiedzieć, że nie jestem pewna – jęknęła i spróbowała usiąść.

Policjant pomógł jej i z asystą kolegów, którzy całą chmarą wylegli na korytarz, doprowadził do pomieszczenia, które przypominało areszt. Nawet nie przypuszczała, że w ich malutkim Zabrzeźnie jest aż tylu stróżów prawa i porządku. Dopiero po chwili zorientowała się, że dwoi jej się w oczach. Policjanci faktyczni i urojeni (nie była pewna, którzy są którzy) położyli ją na łóżku. Po chwili zjawił się lekarz.

– Co się pani stało? – zapytał, wyciągając stetoskop.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Chciałam wyjść i coś mi chyba spadło na głowę.

Lekarz spojrzał pytająco na policjanta, który pokazywał jej film.

– O matko! – jęknął mężczyzna. – Płyta gipsowo-kartonowa z podwieszanego sufitu się znowu oberwała. Cały budynek się sypie, ale nikt tego nie remontuje, bo ciągle mówią, że nas zamkną.

Najgorzej to jak się idzie środkiem korytarza. My tu wszyscy wiemy i chodzimy pod ścianami. Przecież mówiłem, żeby się pani nie ruszała z miejsca! Panie doktorze, czy to coś poważnego?

Lekarz spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– Na szczęście pani ma serce jak dzwon i nic się nie stało – powiedział. – Na wszelki wypadek jednak proszę zgłosić się do swojego lekarza rodzinnego i zrobić podstawowe badania. A wy zróbcie coś z tym spadającym sufitem, bo jak następnym razem jakiś staruszek ze słabym sercem przyjdzie zgłosić kradzież kury z rosółu, to będę mógł tylko stwierdzić zgon.

– Kury? – zdziwiła się Alicja i ziewnęła.

– Nie, dlaczego kury? – powiedział lekarz i jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie. – To znaczy kury też, ale przede wszystkim staruszka. Ale pani koniecznie musi zrobić te badania. To było dosyć silne uderzenie, a z głową nie ma żartów. Lepiej się pani czuje?

– Doskonale – wykrztusiła. – To ja już sobie pójdę.

– Odwieziemy panią do domu – zadeklarował policjant.

– Nie, dziękuję – powiedziała i usiadła na łóżku. – Mam tu swój samochód.

Lekarz pokręcił przecząco głową.

– Mowy nie ma, żeby pani teraz prowadziła – powiedział stanowczo. – Jeszcze zasłabnie pani za kierownicą i spowoduje wypadek.

Chcąc nie chcąc, Alicja musiała zgodzić się, żeby odwieziono ją radiowozem. Gdy dojechali na miejsce, wysiadła i podziękowała policjantom. Ruszyła do drzwi, podczas gdy samochód ciągle stał pod bramą.

– Pani do kogo? – pani Ada omiotła ją wzrokiem i zagroziła drogę do środka.

Spojrzała na nią zaskoczona.

– Pani Ado! Przecież to ja – powiedziała.

– Jaka ja? – warknęła gospoia. – Ja pani nie znam. Proszę stąd iść, bo wezwę policję.

Alicja już chciała krzyknąć, że właśnie policja ją tu przywiozła, ale nie zdążyła, bo drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Po chwili zobaczyła, jak pani Ada zerka przez jedno z okien, czy natrętna kobieta sobie poszła.

– Super! – westchnęła. – Teraz jeszcze okaże się, że będę musiała spać na dworcu.

Z radiowozu wysiadł policjant, który w komendzie pokazywał jej filmik z włamania.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nasza gospoia... To znaczy gospoia przyjaciółki, od której wynajmuję dom – sprecyzowała.

– Ona twierdzi, że mnie nie zna i nie chce wpuścić do środka. Nie mam pojęcia, co robić.

– Może pomyliła pani domy? – zasugerował policjant. – W końcu po takim uderzeniu organizm różnie reaguje. Zawieziemy panią z powrotem na komendę.

Już chciała zaprotestować, że chyba sama najlepiej wie, gdzie mieszka, ale nagle ogarnęły ją wątpliwości. Posłusznie podreptała za mężczyzną. Już miała wsiąść do policyjnego samochodu, gdy nagle pod bramę podjechał Szymon. Wyrwała się eskortie i podbiegła do niego.

– Co się stało? – krzyknął. – Znowu było włamanie? Dlaczego tak dziwnie wyglądasz? Co tu się w ogóle dzieje?

Alicja jęknęła i chwyciła się za głowę.

– Nie mów tyle na raz i nie zadawaj tylu pytań – poprosiła. – Mam wrażenie, że od tego zaraz mózg mi eksploduje.

– Dobrze, spokojnie. – Szymon ją objął. – Może lepiej wejdźmy do domu.

– Nie możemy – jęknęła rozdzierająco. – Pani Ada nie chce mnie wpuścić do środka. Udaje, że mnie nie zna.

– Faktycznie. – Pokiwał głową. – Wyglądasz trochę nietypowo.

– Ale ty mnie poznałeś – powiedziała. – W jaki sposób?

– Po ubraniu – wyjaśnił mężczyzna jej życia. – Zaraz na pewno wszystko się wyjaśni. Czy ja ją mogę zabrać?

To ostatnie pytanie skierowane było do policjanta, który stał obok radiowozu.

– Oczywiście, oczywiście – skwapliwie zgodził się mężczyzna. – Tylko najlepiej, żeby żonę obejrzał jakiś lekarz. Miała mały wypadek.

Po tych słowach wszedł do samochodu i odjechał.

– O jakiej żonie on mówił? – zapytała Alicja. – Czy ty masz jakąś żonę?

– Nie, skarbie – odpowiedział Szymon. – On miał na myśli ciebie.

Zamrugnęła rzęsami, usiłując skupić się na tym, co do niej mówi.

– Ale przecież ja nie jestem twoją żoną – stwierdziła. – Prawda?

– Nie jesteś – potwierdził i zapukał do drzwi. – Proponowałem ci to ze sto razy, ale za każdym razem odmawiasz.

Pani Ada otworzyła tak szybko, że chyba musiała czatować po drugiej stronie drzwi i podglądać przez dziurkę od klucza.

– A, to pan – wyraziła umiarkowany entuzjazm na widok Szymona. Przeniosła wzrok na Alicję i zmniejszyła szparę w drzwiach. – A ta pani to...

– Nie poznaje pani? Przecież to pani Alicja.

– Jakaś taka niepodobna do siebie. – Kobieta wydeła usta. – Pewny pan jest, że to ona? Bo jak nie, to ja obcej kobity do domu nie wpuszczę.

– Pewny, pewny – powiedział już trochę zniecierpliwionym tonem Szymon. – Niech nas pani wpuści. Trzeba ją natychmiast położyć, bo źle się czuje. Miała jakiś wypadek.

Zaprowadził ją do sypialni, ułożył na łóżku i przykrył kocem.

– Pośpij trochę. Ja muszę wracać do pracy – powiedział i zasunął rolety w oknie.

– Właśnie! – Usiadła na łóżku. – Już wiem, o co chciałam cię zapytać. Co ty tu robisz o tej porze?

– Byłem u jednego z pacjentów i chciałem wpaść do domu. Miałem nadzieję, że dasz mi coś do jedzenia – wyjaśnił. – Tu niedaleko mieszkają właściciele rottweilera nie dość, że z chorobą lokomocyjną, to jeszcze z lekką psychozą. Nie daje się wyprowadzić poza własny ogródek. Dlatego przyjeżdżam do niego. Dobrze, że to akurat dzisiaj wypadło, bo inaczej pani Ada by cię nie wpuściła. Śpij już. Wrócę po południu, to pogadamy. I zawiozę cię do lekarza.

Ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj – zatrzymała go. – Dlaczego ona mnie nie poznała?

– Jak by ci to powiedzieć... – Szymon oparł się o futrynę i uśmiechnął lekko. – Po prostu wyglądasz tak jakoś inaczej.

Alicja zerwała się z łóżka i popędziła do łazienki. Spojrzała w lustro i zrobiło jej się słabo. Nie wiedziała, czy z powodu uderzenia w głowę (lekarz w komendzie radził jej, żeby przez jakiś czas nie zrywała się gwałtownie z łóżka), czy na widok własnej twarzy.

– Własnej? – jęknęła z rozpaczą i oparła się o umywalkę. – Przecież to nie mogę być ja.

Spojrzała jeszcze raz. Pod grubym makijażem z trudem dostrzegła resztki znanych rysów twarzy. Nawet włosy miała spryskane czymś, co zmieniło ich kolor. Już wiedziała, kim była kobieta, która patrzyła na nią na komendzie. To była ona sama. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego nie poznali jej Baśka, policjant z Mazur i dlaczego pani Ada zatrasnęła jej drzwi przed nosem.

– Co ty tam robisz? – Szymon zabębnił palcami w drzwi. – Wszystko w porządku?

– Tak! – krzyknęła. – Zaraz wyjdę.

Zmycie tapety zajęło jej trochę czasu. Prawdą okazało się to, co gdzieś wyczytała, że kosmetyki, których używa się w filmie i telewizji, są bardzo trwałe. W pewnej chwili była już bliska załamania, bo wszystko rozmazywało jej się na twarzy. Na szczęście po długiej walce wreszcie spojrzała na nią jej własna twarz. Błada, z podkrążonymi oczami, ale własna.

– Już nigdy nie będę psioczyć, że mi się nie podobasz – obiecała tej odzyskanej sobie i wyszła z łazienki.

– Już się zastanawiałem, czy nie wyważyć drzwi – roześmiał się Szymon. – Teraz mi możesz powiedzieć, co to było?

Ale kobieta jego życia już spała. Przykrył ją jeszcze raz kocem, zamknął drzwi i zszedł na dół.

– Ja wychodzę – powiedział do pani Ady, która wycierała z kurzu Wieśka.

Jakoś dziwnie wycierała. Ściereczkę do kurzu trzymała w prawej ręce, a lewą próbowała podnieść i przesunąć krasnała w stronę drzwi na taras. Na jego widok przerwała.

– A ta pani, co z panem przyszła? – zapytała.

– Śpi – odpowiedział. – Proszę jej nie budzić, bo miała ciężką noc.

– Ja tam się nie chcę wtrącać... – gosposia spojrzała na niego znacząco – ale pani Alicji się to nie spodoba.

Już chciał powiedzieć, że przecież to właśnie jest Alicja, ale gdy spojrzał na zaciętą minę pani Ady, machnął ręką i wyszedł.

Gdy po trzech godzinach ofiara płyty gipsowo-kartonowej zeszła na dół, pani Ada właśnie wypychała Wieśka na taras.

– Tak go przewietrzyć chciałam – powiedziała na jej widok.

– Aha – mruknęła Alicja bez specjalnego zainteresowania. – Czy jest może zaparzona kawa?

– Zaraz przyniosę – powiedziała gosposia i wyszła do kuchni.

Po chwili wróciła i postawiła przed nią dzbanek.

– Ja tam się nie chcę wtrącać w sprawy państwa... – zaczęła, po czym na dłuższą chwilę zawiesiła głos, pewnie po to, aby ciąg dalszy zabrzmiał bardziej dramatycznie – ale nie powinna pani się zgadzać, żeby pan Szymon przyprawiał tu jakieś dziwne kobiety.

Zakrztusiła się kawą i o mało nie wypluła jej na stół. Szymon przyprawiał jakieś obce kobiety?

– I to jeszcze taka wymalowana! – W głosie gosposi pobrzmiwała wyraźna satysfakcja, że swoim oświadczeniem zrobiła takie piorunujące wrażenie. – Naprawdę! Tak się wypacykowała, jakby w jakimś klubie nocnym pracowała. Tfu! Skaranie boskie. Ja tam nie wiem, skąd ją pan Szymon wziął. Może to jakaś jego siostra albo kuzynka. Ja tam nie wiem i się nie wtrącam. Ale nie powinien się tak z nią afiszować. Co sąsiedzi powiedzą? Co sobie pani Łucja pomyśli? Powinna pani coś z tym zrobić, i to jak najszybciej. Ja jej nie chciałam wpuścić, ale pan Szymon się uparł. Nawet próbował mnie przekonać, że to pani. Ale ja bym pani nie poznała? To jakaś wywłoka, za przeproszeniem, była.

Im dłużej pani Ada mówiła, tym więcej kawy Alicja w siebie wlewała i powoli wracała jej pamięć.

– Proszę to koniecznie załatwić, bo ja w takim domu nie zostanę – zakończyła swoją tyradę gosposia.

To zabrzmiało tak kusząco, że choć w pierwszej chwili miała ochotę wszystko wyjaśnić i sprostować, teraz z tego zrezygnowała. Uznała, że ta wywłoka, którą Szymon sprowadził, może jej się jeszcze kiedyś przydać.

– Ja z nim porozmawiam – powiedziała. – Ale sama pani wie, jak to jest z mężczyznami.

– Wiem. – Gosposia kiwnęła głową. – Jeden pan Grzegorz jest porządny, a reszta to latawce. Ale pani coś z tym zrobi, bo inaczej ja do pani Łucji zadzwonię.

– No dobrze, dobrze. Ale teraz może wstawmy z powrotem Wieśka, bo deszcz zaczyna padać.

ROZDZIAŁ V

NICZYM W DRAMACIE SZEKSPIRA, NAD LUDZKĄ CZASZKĄ ZAPADAJĄ KLUCZOWE DECYZJE CO DO PRZYSZŁOŚCI ALICJI

– Wiesz, miałam bardzo dziwny telefon – powiedziała Łucja do Grzegorza, gdy ten wrócił z pracy, a potem podetknęła mu pod nos jakiś przedmiot owinięty folią spożywczą. – Co to może być? Bo ja nie mam pojęcia, a zastanawiam się nad tym już dobre dwie godziny. Nawet w encyklopedii sprawdzałam, ale nic nie znalazłam.

– Dlaczego dziwny? – Grzegorz rzucił sweter na krzesło i spojrzał przez ramię. – Moim zdaniem to jest wysuszona czaszka ludzka. Indianie często tak preparowali wrogów. To praktyczne rozwiązanie. Więcej wrogów mieściło się w szafie.

– Ale dlaczego w próżniowym plastikowym opakowaniu? – zdziwiła się jego żona. – Dziwny, bo z Polski.

– Oni tu wszystko pakują próżniowo w plastik. – Grzegorz machnął ręką. – Dlaczego dziwny, bo z Polski? Przecież mamy w Polsce rodzinę i przyjaciół, więc od czasu do czasu ktoś stamtąd do nas dzwoni. Wczoraj na przykład moja mamusia. Pytała, czy mi kupić ten serek z papryką, bo znalazła w sklepie. Do ciebie też dzwoniła?

– Chyba masz rację, że to kawałek człowieka. – Łucja z obrzydzeniem odłożyła paczkę na stół i z bezpiecznej odległości usiłowała rozszyfrować, co napisano na opakowaniu mikroskopijnymi literkami. – Tu jest napisane „trup”. Nie wiedziałam, że tutaj w sklepach sprzedają ludzinę. Nie mamusia, tylko sąsiadka. Ta, co się tak przyjaźni z panią Alą, która u nas sprząta.

– Panią Adą – sprostował Grzegorz. Ostrożnie wziął do ręki opakowanie z podejrzaną zawartością i zaczął się wczytywać w opis rzekomego trupa.

– Przecież mówię. – Łucja machnęła ręką. – Sąsiadka zadzwoniła, żeby się poskarżyć, że ten facet Alicji, z którym się do nas wprowadziła, sobie jakieś podejrzanе baby sprowadza, jak jej nie ma. Wiesz, że ona często do białego rana siedzi w zakładzie pogrzebowym?

– Alicja w zakładzie pogrzebowym? – zdziwił się Grzegorz. – Co Alicja robi w zakładzie pogrzebowym? Czy ja ci już mówiłem, że masz dziwne przyjaciółki? Jedna wróżka, druga pije...

– Nie pije, tylko chce zostać barmanką – sprostowała.

– Wszystko jedno – orzekł jej mąż. – A teraz Alicja włóczy się nocą po zakładach pogrzebowych. Nie ma trupa.

– W zakładzie pogrzebowym nie ma trupa? – zapytał Łucja.

– Nie w zakładzie pogrzebowym, tylko w tym opakowaniu. – Pomachał żonie przed nosem plastikowym zawiniątkiem. – Tu nie jest napisane „trup”, tylko „turnip”. Rzepa po prostu. Po co kupiłaś rzepę, skarbie? Nigdy jej nie jedliśmy.

– Nie kupiłam, dali nam w gratisie, jak zamówiłam warzywa w sklepie ze zdrową żywnością – wyjaśniła. – Myślisz, że powinnam porozmawiać z Alicją?

– Nie wiem. – Rozłożył bezradnie ręce. – Sama musisz zdecydować.

– Niby nie chciałabym się wtrącać, ale już raz się nacięła. Zadzwonię do niej po obiedzie. Będziesz jadł surówkę z trupa?

– Z twoich rąk wszystko, o bogini! – Grzegorz się uklonił. – A swoją drogą, jeśli to, co mówiła ta przyjaciółka pani Ady...

– Pani Ali – poprawiła go odruchowo żona.

– Przecież mówię, że pani Ady. – Kiwnął głową. – Jeśli to prawda, to twoja przyjaciółka albo ma wyjątkowego pecha, albo w jakiś sposób przyciąga takie odpady atomowe.

Łucja zabrała się do odwijania rzepy z folii, na wszelki wypadek bardzo ostrożnie, dwoma palcami. A nuż Grzegorz jednak coś źle przeczytał?

– Jak tylko wrócimy do domu, to natychmiast ją wyswatam z jakimś miłym facetem – powiedziała, po czym sięgnęła po wielki nóż i machnęła nim kilka razy jak maczetą. – I bardzo cię proszę, żebyś tym razem mnie nie zniechęcał i nie przekonywał, że to bez sensu.

Grzegorz, patrząc, jak jego żona rozprawia się w bogu ducha winnym warzywem z rodziny kapustnych, nie miał odwagi zaprotestować.

Alicja nie miała najmniejszego pojęcia, że na drugim końcu świata zapadły tak ważne decyzje co do jej przyszłości. Potwornie niewyspana i ciągle oszołomiona po tym, jak w komendzie policji oberwała w głowę, szykowała się do pracy. Oprócz organizowania imprez dla rozwódek, miała etat w restauracji hotelowej.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że koszmarnie wyglądam? – powiedziała, wchodząc do kuchni.

– Kiedy? – zapytała roztargnionym głosem przyjaciółka, zajęta akurat grzebaniem w kuchennej szafce.

– Dzisiaj w nocy! – jęknęła Alicja. – Po tym, jak mnie wymalowały te dwie z telewizji.

– Myślałam, że sama wiesz. – Przyjaciółka wyciągnęła z szuflady łyżkę, przyjrzała jej się, wrzuciła z powrotem i wyciągnęła widelec.

– Nie miałam bladego pojęcia – jęknęła Alicja. – A w ogóle, to jak ty mnie poznałaś? Prawdę mówiąc, jak ja spojrzałam w lustro, to myślałam, że to jakaś obca baba na mnie z niego patrzy.

– Po butach – powiedziała Baśka i wyciągnęła z szuflady nóż. – Poznałam cię po butach. Dobrze, że już jesteś, bo mamy dzisiaj huk roboty. Słuchaj, czy ty nie wiesz, czego ja szukam w tej szufladzie?

– Garnka? – zapytała ironicznie współpracownica.

– Masz rację! – krzyknęła szefowa, trzasnęła z hukiem szufladą i zabrała się za przeszukiwanie szafek.

Alicja podeszła do drzwi i zerknęła do sali restauracyjnej. Wszystkie stoliki były zajęte.

– Co się stało? – zdziwiła się. – Skąd tylu ludzi? Odkąd tu pracuję, nie widziałam w naszym hotelu takiego spędu.

Baśka stanęła za jej plecami.

– Burmistrz zorganizował jakąś konferencję prasową – wyjaśniła. – Nazjeżdżało się dziennikarzy z całego województwa, jak nie z całej Polski.

– Przenoszą do nas stolicę? – zapytała zdumiona Alicja. – A może burmistrz do reszty zwariował i postanowił ogłosić się królem i stworzyć Królestwo Zabrzeziańskie? A myślałam, że już nic głupszego nie wykombinuje, odkąd chciał u nas metro wybudować.

– Metro fajna rzecz – stwierdziła Baśka. – Nie wiem, dlaczego się czepiasz. Byłam w Warszawie, to jechałam.

– Nie, nie czepiam się. Szkoda tylko, że jak zamówił plan tego metra, to wyszło, że najlepiej będzie na początek zrównać całe Zabrzeżno z ziemią, a później odbudować, jak już będzie metro – przypomniała przyjaciółka. – Co tym razem będzie budował albo burzył ten cymbał wyjątkowy?

– Nic – uspokoiła ją przyjaciółka. – I nie wyrażaj się o przedstawicielu władzy lokalnej, bo wylądujesz w komendzie policji.

– Już tam byłam dzisiaj rano. – Alicja aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie.

– I co? – zainteresowała się Baśka.

– Sufit spadł mi na głowę – zdradziła przyjaciółka.

– Matko jedyna! W domu tej twojej przyjaciółki?

– Nie, w komendzie policji. – Alicja wzruszyła ramionami. – Poszłam tam, bo mi chcieli pokazać nagranie z tego napadu, co był u nas. Ale nie powiedziałaś, po co ten spęd.

– Muzeum nam okradli – poinformowała ją Baśka.

– Muzeum Zabrzeżna? – zdziwiła się Alicja. – Jacyś wariaci? Przecież tam nic cennego nie było. Poza drzwiami antywłamaniowymi za jakieś straszne pieniądze. Burmistrz je zamówił w firmie swojego szwagra. Drzwi ukradli?

– Nie. I bardzo się mylisz, że tam nic cennego nie było. Okazało się, że mieliśmy jakiś unikatowy obraz. I ukradli go.

– Co ty opowiadasz? – zdziwiła się przyjaciółka. – Teraz go ukradli?

– Nie, już parę tygodni temu – odpowiedziała Baśka. – Ale teraz dopiero to wyciekło do prasy. Podobno artysta, który go namalował, o tym doniósł, bo go zdenerwowała opieszałość naszej policji. Tam masz gazetę, to sobie możesz poczytać. A potem bierz się za sałatkę. Zaraz przyjdzie Bartek, to ci pomoże.

Alicja sięgnęła po gazetę, spojrzała na pierwszą stronę i poczuła, że robi jej się słabo. Z fotografii spoglądała na nią puszysta blondyna z firanką na głowie. Ta sama, którą przy okazji przeprowadzki gdzieś zapodziała.

– Coś ty taka blada? – zapytała przyjaciółka.

– To jeszcze po tym oberwaniu sufitu – odpowiedziała Alicja i zrobiło jej się jeszcze gorzej na samą myśl, co jej zrobią, jak u niej znajdą ten skradziony obraz. To znaczy, jeśli znajdą go wcześniej niż ona sama.

– Nie opowiadaj dyrdymałów, tylko się przyznaj, co ty masz wspólnego z tą kradzieżą? – dopytywała się Baśka. – Tylko mi nie mów, że ty to ukradłaś.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie ukradłam, tylko zgubiłam. Ukradł ktoś inny.

– Jednak bredzisz po tym, jak oberwałaś w łeb. Jak mogłaś zgubić, jak wcześniej nie ukradłaś?

– Mogłam. Ktoś inny ukradł i przysłał do mnie. A ja zgubiłam i teraz mnie zamkną. Zgniję w kryminale – jęknęła Alicja i opowiedziała przyjaciółce całą historię.

– Bzdura jakaś – fuknęła Baśka. – Na pewno obraz się znajdzie i oddasz go. Nie, lepiej nie oddawaj, bo jeszcze pomyślą, że wcześniej ukradłaś. Lepiej będzie, jak gdzieś podrzucimy. A teraz siekaj pory, bo inaczej kierownik sali nas ubije.

– A jak wcześniej niż my, ten obraz znajdzie u mnie policja? – snuła katastroficzne wizje Alicja.

– Nasza policja? Nie, to niemożliwe – pocieszyła ją szefowa. – Gdzie ten Bartek? Trzeba rybę szykować. O, już jesteś!

– Cześć! – odpowiedział Bartek i spojrzał z zainteresowaniem na Alicję. – Co jej się stało? Jakoś tak dziwnie wygląda.

– Nic jej nie będzie. – Baśka machnęła ręką. – Przebierz się szybko i wyciągaj rybę z piekarnika. Już powinna być gotowa.

– Czytałyście o tej kradzieży w muzeum? – zapytał Bartek, wyciągając wielką blachę z pieca. – Podobno ma być u nas jakaś konferencja prasowa. Ta nowa z recepcji mi powiedziała.

Alicja jęknęła. Kolega spojrzał na nią z zainteresowaniem i kontynuował wątek.

– Myślicie, że szybko złapią tych, co ukradli obraz? – dociekał dalej. – Ciekawe, ile można dostać za takie dzieło sztuki na czarnym rynku...

Alicja wydała zduszony jęk i ukryła twarz w dłoniach.

– Ja bym jednak wezwał lekarza – powiedział Bartek. – Jesteś pewna, że nic jej nie jest?

– Pewna – odpowiedziała krótko szefowa. – Zresztą, sama ci może powiedzieć. Ala, dobrze się czujesz?

– Doskonale – jęknęła zapytana.

– Sam widzisz – stwierdziła Baśka. – Ona sama najlepiej chyba wie, jak się czuje. Bierzcie się do roboty, bo może nie będziemy mieć do czynienia z policją, ale z szefem na pewno. I nie wiem, co gorsze.

Bartek chciał coś jeszcze powiedzieć, ale jedno spojrzenie na szefową wystarczyło, żeby stracił

zapał do dalszego omawiania sprawy sensacyjnej kradzieży. Trochę żałował, bo miał na ten temat swoją własną teorię. Od lat zaczytywał się w kryminałach i oglądał namiętnie filmy i seriale kryminalne. Po przeczytaniu w gazecie notatki o obrazie skradzionym z muzeum postanowił znaleźć rabusia. Z lektury i filmów wiedział, że na początek powinien obejrzeć miejsce przestępstwa. Niestety, od kradzieży minęło już tyle czasu, że na znalezienie jakichkolwiek śladów liczyć już nie mógł.

Trudno – pomyślał i postanowił przejść do następnego punktu, czyli wytypowania podejrzanych.

Niestety, tu akurat nikt nie przychodził mu do głowy, a lektura gazet też mu w niczym nie pomogła, bo policja, jak twierdzili dziennikarze, nikogo nie podejrzewała. Musiał sobie poradzić sam i wytypować osobę, która ostatnimi czasy zachowywała się dziwnie. Rozejrzał się po kuchni. Baśka tak zawzięcie mieszała sałatkę, jakby miała nadzieję znaleźć w niej diamenty, a Alicja szłochoła przy dekorowaniu tartaletek. Dobrze, że były mocno wytrawne, więc łyzy nie mogły im zaszkodzić.

Właściwie to one obydwie zawsze zachowywały się dziwnie – pomyślał Bartek i postanowił obydwie koleżanki wciągnąć na swoją listę podejrzanych w sprawie zaginięcia „Panny z Monidła”.

– Co ty robisz? – krzyknęła nagle Baśka. – Po jaką cholerę posiekałeś tę rybę?

Zdziwiony Bartek spojrzał na talerz, który miał przed sobą. Faktycznie! W ręce miał nóż, a przed sobą podziabanego pieczonego łososia.

– Wyście wszyscy dzisiaj powariowali – podsumowała szefowa. – Zostaw w spokoju rybę i idź parzyć kawę. Tam nie ma co siekać.

Bartek posłusznie podreptał do blatu, na którym stał ekspres. Przez chwilę całkiem poważnie zastanawiał się, czy i siebie nie powinien wciągnąć na listę podejrzanych. Na szczęście przypomniał sobie, że w dniu, w którym włamano się do muzeum, był u mamusi na rosółku i schabowych. Odetchnął z ulgą i zabrał się do parzenia kawy.

Nieludzko skonana Alicja wróciła do domu i rzuciła się na łóżko. Miała wrażenie, że zasnęła, jeszcze zanim dotknęła głową poduszki. Gdy się obudziła, była tak wypoczęta, że zaczęła się zastanawiać, ile dni spędziła w łóżku. Zawinęła się w szlafrok i zeszła na dół. W salonie nikogo nie było. Zajrzała do kuchni. Szymon zaglądał do piekarnika. Miał na sobie koszulę w czerwono-granatową kratkę. Bardzo ją lubiła, bo była przyjemna w dotyku i kojarzyła jej z kilkoma bardzo, ale to bardzo miłymi chwilami, które razem spędzili. Uśmiechnęła się, podeszła na palcach i zarzuciła mężczyźnie ręce na szyję. Odwrócił się i spojrzał na nią ze zdumieniem

– Przepraszam pana bardzo – wyjąkała, cofając się o krok i otulając szczelniej szlafrokiem. – Kim pan jest?

– Szymon Paluszkiewicz – odpowiedział mężczyzna.

I wtedy przyszła jej do głowy straszna myśl, że po uderzeniu w głowę zapadła w śpiączkę i przespała jakieś trzydzieści lat. Jej podejrzenia potwierdził pies, który wszedł przez otwarte drzwi na taras. Stary, powłóczyący nogami, lekko wyłysiały kundel. Tak właśnie wyobrażałaby sobie Paszteta za trzydzieści lat, gdyby psy tak długo żyły.

– O matko – jęknęła w duchu. – Ja się też postarzałam?

Odwróciła się na pięcie i popędziła do łazienki. Lustro. Spodziewała się ujrzeć pomarszczoną twarz, obwisłe policzki, siwe i przeredzone włosy. Co prawda zawsze zamierzała zestarzeć się z godnością jak ukochana babcia Agata, ale przecież nie tak szybko. Pełna najgorszych przeczuć popatrzyła w lustro i... odetchnęła z ulgą. Na szczęście nic się nie zmieniło.

– Jeśli ja się nie zmieniałam, to wygląd Szymona mi właściwie nie przeszkadza – mruknęła. – Dojrzały mężczyzna nie jest zły. W końcu jednego niedojrzałego już miałam i skończyło się rozwodem.

Jeszcze raz spojrzała w lustro, pokiwała z satysfakcją głową, poprawiła szlafrok, wyszła z łazienki i stanęła jak wryta na środku salonu. W fotelu siedział Szymon, ale znowu trzydzieści lat młodszy, a obok niego płątał się Pasztet, którego już odżałowała i pochowała.

– Miło, że nareszcie wstałaś, śpiochu – uśmiechnął się do niej ukochany. – Już myślałem, że się nigdy nie obudzisz, moja śpiąca królowo. Napijesz się kawy?

Usiadła na kanapie.

- Ile ja spałam? – zapytała, choć nie do końca była przekonana, czy chce usłyszeć odpowiedź.
- Trzydzieści lat – odpowiedział z uśmiechem.
- O matko! – jęknęła. – Tak też pomyślałam, jak cię zobaczyłam.

W tej samej chwili z kuchni wyszedł mężczyzna w koszuli w czerwono-granatową kratę. Alicja wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, nie rozumiejąc, co takiego rozgrywa się przed jej oczami.

– Przedstawiam ci mojego ojca – powiedział Szymon. – Był akurat w Zabrzeżnie przejazdem i wpadł do nas. Nie chciałem cię budzić.

No tak. Ukochany mówił jej, że drugie imię, którym się posługuje, ma właśnie po ojcu. I jeszcze że wszyscy mówią o uderzającym podobieństwie seniora i juniora.

- My się już właściwie znamy – powiedział z uśmiechem starszy pan.
- Właściwie tak – potwierdziła Alicja.

Czyli poznanie potencjalnego teścia miała już za sobą. I raczej bardzo wątpiła, czy odniesie się entuzjastycznie do potencjalnej synowej.

I trudno byłoby mu się dziwić – pomyślała z goryczą. – Kto by chciał na żonę dla ukochanego syna kobietę, która wpada w negliżu do kuchni i rzuca się na szyję spotkanemu tam facetowi, którego widzi pierwszy raz w życiu? Masakra! Że też coś takiego nie mogło mi się przytrafić z ojcem Pawła. Przynajmniej bym za niego nie wyszła.

- To ja się pójde przebrać – powiedziała i podreptała po schodach do sypialni.

Gdy po kwadransie wracała, zatrzymała się na schodach, żeby poprawić spódnice. Z salonu dobiegł ją fragment rozmowy:

– Nic z tego nie będzie – usłyszała głos Szymona starszego. – Według mnie powinieneś dać sobie z tym spokój.

– Nie mogę – odpowiedział Szymon młodszy. – Obiecałem. A zawsze mówiłeś, że słowa trzeba dotrzymywać.

– No, bez przesady. Mówiłem też zawsze, że są wyjątki. Dobrze, zrobisz, jak zechcesz. Ale według mnie z tego ciasta nie będzie. A już na pewno nie takie, jakie piecze twoja matka.

– Każdy ma inny gust – doleciała do jej uszu riposta Szymona, która ją podniosła na duchu. Niestety ciąg dalszy sprawił, że duch zjechał jej w okolice kolan. – Ja na przykład bardzo lubię zakalce, co się kleją do zębów.

Zakalec! Mężczyzna jej życia nazwał ją zakalcem. Chciała zawrócić, pójść do Łucjowej sypialni i zamknąć się tam na resztę dnia, a może i życia. Ale gdy zrobiła krok w tył, trafiła nogą na coś miękkiego. To był ogon Rudego Sto Dwa, który zamiauczał przeraźliwie i jak ognista strzała pomknął na dół, podcinając jej nogi. Zjechała do salonu i wylądowała u stóp niedoszłego teścia.

– Dobrze, że już jesteś – powiedział Szymon, tłumiąc śmiech. – Tata właśnie wychodzi i chciał się z tobą pożegnać.

Chciał jej pomóc wstać z podłogi, ale odrzuciła jego pomoc i sama się pozbierała.

Zakalec – pomyślała i spojrzała z wyrzutem na ukochanego mężczyznę, a potem uśmiechnęła się czarująco do starszego pana.

– Było mi bardzo miło pana poznać. Szymon jest bardzo do pana podobny. To mnie zmyliło tam w kuchni. Bardzo przepraszam.

– Ale nie ma pani za co przepraszać – roześmiał się ojciec mężczyzny jej życia. – Mnie również było miło panią poznać.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Alicja – zaproponowała z promiennym uśmiechem, a w duchu pomyślała: – Akurat! Było ci miło! Kłamiesz jak najęty. Zakalec!

Wypili razem kawę, a potem Szymon młodszy odwiózł Szymona starszego na dworzec. Alicja już zamierzała rozłożyć się z książką na kanapie, gdy do domu wróciła pani Ada.

– Muszę posprzątać w salonie – powiedziała krótko i dobitnie. – Straszny tu bałagan.

Zaskoczona Alicja rozejrzała się wokoło. Wszystko lśniło czystością. Wszystkie przedmioty stały grzecznie na swoich miejscach. Nawet Gipsowy, który w kawalerce pokrywał się regularnie kurzem, tutaj dumnie prezentował lśniącą czerwoną czapeczkę. Już chciała zaprotestować, ale przypomniała

sobie, o co prosiła ją Łucja. Miała nie drażnić bezcennej pani Ady, bo ta może się obrazić i sobie pójść. Stłumiła westchnienie, zwlekła się z kanapy i ruszyła do wyjścia.

– Mogłaby pani wziąć psa na spacer – rzuciła za nią pani Ada. – Ja z nim co prawda pobiegałam rano, ale przyda mu się dodatkowa porcja ruchu.

Pasztet, gdy tylko usłyszał o spacerze, zerwał się i popędził jak strzała w stronę wyjścia. Dobrze, że akurat Szymon wracał i otworzył, bo inaczej zabiłby się o furtkę.

– Czy to państwa pies? – rozległo się nagle za płotem.

Jakiś mężczyzna trzymał Paszteta za obrozę.

– Nie wolno wypuszczać psów bez smyczy – kontynuował.

– Przepraszam bardzo. – Alicja uśmiechnęła się do niego przepraszająco. – Uciekł nam, jak otwieraliśmy furtkę. Już zakładam mu smycz.

Zapięła Paszteta i ruszyli we trójkę z Szymonem w stronę skwerku z piekarnią. Alicja milczała, ciągle przepełniona żalem do Szymona. Mężczyzna jej życia zerkał co jakiś czas na nią, zagadywał, ale nie doczekał się żadnej reakcji.

– Czy coś się stało? – zapytał wreszcie zaniepokojony.

Na te słowa Alicja nagle podskoczyła jak dźgnięta szpilką i ukryła się za wielkim kontenerem na gruz, który ktoś wystawił na czas remontu. Szymon spojrzął za nią ze zdziwieniem, a potem rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co ją tak przestraszyło. Uliczka była pusta, jeśli nie liczyć jakiegoś faceta, który przeszedł obok niego, nie zatrzymując się. Gdy zniknął za rogiem, Alicja wyjrzała zza kontenera.

– Nie ma go już? – zapytała i natychmiast schowała się znowu, bo mężczyzna zawrócił.

Podszedł do Szymona i zapytał:

– Przepraszam, czy wie pan, jak dojść na ulicę Parkową?

– Chyba najszybciej będzie prosto i w prawo – odpowiedział uprzejmie Szymon. – Musi pan przejść jakieś dwieście, góra trzysta metrów.

Mężczyzna pogłaskał Paszteta po głowie, a potem ruszył we wskazanym kierunku. Szymon przez chwilę patrzył za nim, a później obszedł kontener. Alicji tam nie było. Rozejrzał się wokoło. Nagle ktoś stuknął go w ramię. Odwrócił się. Stała tuż za nim.

– Dlaczego się schowałeś? – zapytał ze zdziwieniem.

– Ja się schowałam? – Wzruszyła ramionami. – Co ci przychodzi do głowy? Po prostu... Po prostu musiałam sobie pończochę poprawić.

Spojrzał na jej nogi i otworzył usta ze zdumienia. Alicja miała na nogach dzinsy.

– Nosisz pończochy pod dzinsami? – zapytał.

– Nie, dlaczego? – zapytała zaskoczona.

– Bo mówiłaś, że przed chwilą chciałaś poprawić pończochy, a masz dzinsy – wyjaśnił.

Też spojrzała na nogi.

– Oj, bo ty nic nie rozumiesz. – Machnęła ręką.

– To mi wyjaśnij – powiedział.

Zatrzymała się i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, jakby coś rozważała w myślach. Jeszcze kilka godzin temu by mu powiedziała. Powiedziałyby, że mężczyzna, który przed chwilą tędy przechodził, jest policjantem. Policjantem, którego kiedyś poznała na Mazurach. A teraz przypadkowo on znalazł się w Zabrzeźnie. Nie chciała się z nim spotkać, bo po pierwsze, mógłby skojarzyć ją z tym wymalowanym kockodanem, którego zrobiły z niej te głupie baby z telewizji, a po drugie, miał w oczach coś takiego, że nie potrafiłaby nic przed nim ukryć. To był jeden z powodów, dla których wtedy uciekła. I teraz też musiała go unikać za wszelką cenę. Przynajmniej dopóki nie wyjaśni się koszmarna sprawa kradzieży obrazu z muzeum w Zabrzeźnie. To wszystko powiedziałyby Szymonowi bez żadnych oporów jeszcze kilka godzin temu. Ale teraz nie powie, bo nazwał ją zakalcem.

– I tak nie zrozumiesz – rzuciła i ruszyła do przodu, ciągnąc na smyczy Paszteta.

– Jeśli tak uważasz, skarbie – westchnął Szymon i postanowił nie drażyć na razie tematu.

Poszli do skwerku, usiedli przy jednym ze stolików pod piekarnią i wypili w milczeniu kawę. A potem, ciągle w milczeniu (jeśli nie liczyć poszczekiwania Paszteta), wrócili do domu. Pani Ada

powitała ich w drzwiach.

– Dobrze, że już państwo są – powiedziała. – Bo ja muszę wyjść. Nie wiem, o której wrócę. Kolację w kuchni zostawiłam. To do widzenia.

Po tych słowach wyszła. Alicja widziała przez okno, jak wsiada do jakiegoś samochodu i odjeżdża. Bardzo dziwną panią do sprzątanania miała jej przyjaciółka Łucja.

– Chyba coś zjemy – powiedział Szymon.

– Chyba tak – odpowiedziała machinalnie, ciągle patrząc przez okno.

– Skarbie! – rozległ się po chwili z kuchni głos Szymona. – Możesz tu na chwilę przyjść?

Pewnie znowu pani Ada zostawiła nam bałagan w kuchni i trzeba będzie posprzątać, żeby się nie obraziła – pomyślała, westchnęła głęboko i wreszcie oderwała się od okna.

Ku jej zaskoczeniu kuchnia lśniła czystością. O co w takim razie mogło chodzić Szymonowi, który nachylał się nad wielkim pięciolitrowym garem? Łucja przygotowywała w nim żarło na kilkunastoosobowe spotkania towarzyskie.

– Co tam masz? – zapytała z zaciekawieniem, zapominając na chwilę, że ma go nienawidzić do końca świata za porównanie do zakalca.

– Sama zobacz – powiedział i odsunął się, żeby mogła zerknąć do gara.

– O kurza stopa! – jęknęła na widok jadłowicie zielonych nitek. – I my to mamy zjeść? To chyba makaron ze szpinakiem. Od dzieciństwa nie znoszę szpinaku.

– Ja też – stwierdził Szymon. – Chyba zamówimy sobie pizzę.

– Pizza może być. – Kiwnęła głową. – Ale z tym tutaj też coś musimy zrobić, bo pani Ada albo się obrazi, że nie ruszyliśmy przygotowanego przez nią posiłku, albo będzie nam to odgrzewała przez najbliższy tydzień. Blee!

– Musimy to zakopać – powiedział stanowczo Szymon. – I to jak najszybciej. Zanim wróci pani Ada. Gdzie Grzegorz trzyma jakąś łopatę?

– Chyba w garażu – zasugerowała. – Zakopmy razem z garnkiem, to może pani Ada nie przypomni sobie, że to świństwo ugotowała, i nie zapyta, jak nam smakowało. Nie umiem kłamać. Powiem, że nie zjedliśmy, a wtedy ona się obrazi i sobie pójdzie. Łucja mi tego nie wybaczy!

– Myślisz, że jak nie będzie widziała garnka, to sobie nie przypomni, co ugotowała? – Szymon miał wątpliwości.

– Ja bym sobie nie przypomniwała – zapewniła go Alicja. – Kiedyś wystawiłam zimą na balkon garnek z gulaszem, żeby wystygł, zapomniałam o nim i tak stał do wiosny.

Po chwili przez ciemny już Łucjowy ogród ruszyła nieco dziwaczna procesja. Przodem szedł mężczyzna z łopatą, za nim kobieta dźwigająca potężny gar, pochod zamykali pies i kot. Ich poczynania śledził z okna na piętrze jeszcze jeden kocur wylegujący się na poduszce.

– Gdzie będzie najlepiej? – zapytał Szymon i rozejrzał się wokół.

– Może tam pod płotem? – Alicja zaproponowała najbardziej oddalony od domu kraniec ogrodu.

Machnęła w tamtym kierunku garnkiem i o mało nie wylądowała razem z jego zawartością w malinach. Gar przechylił się i trochę zawartości się wylało. Paszтет natychmiast łapczywie rzucił się na przekąskę, która w jego mniemaniu spadła mu z nieba.

– Nie jedz tego! – krzyknęła Alicja, ale było już za późno. – Mam nadzieję, że mu nie zaszkodzi. Na szczęście weterynarz jest w domu.

– Jaki weterynarz jest w domu? – zdziwił się Szymon.

– Przecież ty – odpowiedziała.

– Faktycznie – roześmiał się. – Nie skojarzyłem, bo teraz czuję się bardziej jak morderca.

– Jaki morderca? – zdziwiła się.

– No, morderca makaronu – wyjaśnił. – Przecież zamierzamy zakopać go żywcem.

Po chwili dołek był gotowy.

– Wystarczy? – zapytał Szymon.

Alicja zerknęła do gara.

– Wykop jeszcze trochę – powiedziała. – Lepiej, żeby Paszтет z Rudym Sto Dwa nie wygrzebali

tego świństwa. Jeszcze by pani Ada zobaczyła...

– ...i by się obraziła i sobie poszła, a Łucja by nam tego nie wybaczyła – dokończył za nią.

Po tych słowach Szymon westchnął i znowu zabrał się do kopania. Nagle gdzieś w oddali zamigotały światła samochodu.

– Schowaj się – syknęła Alicja i uskoczyła za najbliższe drzewo.

Szymon niestety nie zdążył się na czas wygramolić z dołu i światła samochodu omiotły go akurat w chwili, gdy wychodził, podpierając się łopatą.

– Mam nadzieję, że nas nie widzieli – powiedziała.

– Na pewno nie – uspokoił ją. – To dawaj ten makaron ze szpinakiem, bo niedługo pewnie wróci pani Ada.

Miał rację, bo ledwo weszli do domu i umyli ręce, pod domem zatrzymał się jakiś samochód i po chwili pojawiła się ich samozwańcza gosposia. Weszła do kuchni, słychać było, jak czegoś szuka. Po chwili wyrzała.

– A gdzie się podział garnek, który stał na kuchence? – zapytała, podchodząc bliżej i spoglądając Alicji przez ramię.

– Zjedliśmy to, co w nim było, a garnek pożyczaliśmy jednej znajomej, która akurat była u nas z mężem i potrzebowała dokładnie tego garnka. To znaczy takiego garnka – odpowiedziała zapytana.

Pani Ada jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– Zjedliście państwo? – powtórzyła, jakby chciała się upewnić.

– Tak – potwierdził Szymon, wchodząc do kuchni. – Pyszny makaron. Znajomym też bardzo smakował.

– Makaron? – padło kolejne pytanie.

– Zjedliśmy ten makaron – zapewnił Szymon.

– Makaron? – zapytała znowu pani Ada.

Alicja poczuła, że albo zaraz udusi ukochaną gosposię swojej przyjaciółki, albo zacznie wrzeszczeć i przeklinać.

– To nie był makaron – powiedziała grobowym głosem pani Ada. – Sweter taki stary sprułam i włóczkę namoczyłam, żeby ją wyprać i rozprostować. Jutro rano miałam rozwiesić w ogródku. A dla państwa zostawiłam sałatkę z kurczakiem w lodówce.

– Myśleliśmy, że makaron... – powiedział Szymon.

Alicja przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć o tym, że garnek z włóczką jest zakopany w ogródku, ale w końcu doszła do wniosku, że gosposia łatwiej im wybaczy pochłonięcie swetra w nagłym ataku głodu niż zakopanie go ciemną nocą w ogródku.

– Jeszcze by nam kazała go wykopać – powiedziała do Szymona, gdy ten już w sypialni wyraził wątpliwość, czy aby na pewno dobrze robią, ukrywając prawdę przed panią Adą.

– Jesteś nie tylko piękna, ale również mądra – szepnęła i objął ją.

Wywinęła się z jego objęć i stanęła po drugiej stronie łóżka niczym za barykadą.

– O co chodzi, skarbie? – zapytał ze zdziwieniem i przeszedł na jej stronę łóżka.

Szybko przelazła górą przez łóżko na drugą stronę.

– O to, że uważasz mnie za zakalec – powiedziała urażonym tonem i patrzyła czujnie, czy za bardzo się do niej nie zbliża.

– Zakalec? – W głosie Szymona zabrzmiało autentyczne zdziwienie. – Co ty wymyślasz?

– Niczego nie wymyślam. Nie podchodź bliżej, bo ci przyłożę poduszką – ostrzegła go. – Tak powiedziałaś dzisiaj do ojca. On mówił, że z naszego związku nic nie będzie. Bo ja nawet przyzwoitego ciasta nie potrafię upiec. A ty powiedziałaś, że lubisz takie zakalce.

Szymon najpierw zrobił zdziwioną minę, a potem ryknął śmiechem i upadł na łóżko.

– I co w tym śmiesznego? – zapytała Alicja i przysiadła po swojej stronie barykady, pilnując jednak, aby nie znaleźć się za blisko Szymona.

Tymczasem on usiadł, a potem błyskawicznie przerzucił nogi na jej stronę i odciął jej drogę ucieczki.

– To nie było o tobie, głuptasie – powiedział.

– O jakiejś innej kobiecie? – zapytała i poczuła się lżej, ale tylko odrobinę. – Pewnie o mnie też tak za jakiś czas powiesz. A tak w ogóle... To jak ona miała na imię?

– Nie wiem, nie mam pamięci do takich rzeczy – odpowiedział z bezradnym uśmiechem.

– Świetnie! Do takich rzeczy – powiedziała z naciskiem na słowo „rzeczy”. – Nazywałeś swoje kobiety „rzeczami”? A tak w ogóle, to ile tych rzeczy było i którą z kolei rzeczą ja jestem?

– Najważniejszą – zapewnił ją i przytulił. – Rozmawialiśmy z ojcem o piekarniku w kuchni. Pani Ada narzekała ostatnio, że kiepsko grzeje.

– Więc to nie było o mnie? – upewniła się.

– Nie o tobie – powiedział i pomógł jej zdjąć sweter.

– Ale na pewno? – zapytała jeszcze raz na wszelki wypadek.

– Na pewno, na pewno. A teraz zamilknij, kobieto mojego życia, i poddaj się nastrojowi tej chwili.

Poddała się bardzo chętnie. W środku nocy obudziło ją gwałtowne łomotanie do drzwi. Po drugiej stronie stała pani Ada. Wyglądała, jakby się w ogóle nie kładła.

– Proszę się ubrać. – Spojrzała krytycznym wzrokiem na Alicję. – Musimy jechać do szpitala.

– Źle się pani czuje? – zapytał Szymon, siadając na łóżku. – Może ja coś poradzę? Jestem w końcu lekarzem.

– Mnie nic nie jest – odpowiedziała gospoia.

– To pewnie Paszтет! – krzyknęła Alicja. – Połknął trochę tego makaronu, to znaczy włóczki.

– Nie – uspokoiła ją gospoia. – Pies jest zdrowy. Ale ludzie w mieście się zatruli. Właśnie podawali w radiu.

– Pani słucha radia w nocy? – zdziwiła się Alicja i ziewnęła potężnie.

– Przy radiu najlepiej mi się śpi – wyjaśniła pani Ada.

– Ale jak pani spała, to przecież nie mogła pani słyszeć, co mówili – zgłosiła zastrzeżenie przyjaciółka pani domu.

Pani Ada spojrzała na nią przeciągle.

– Ja wszystko widzę i słyszę, nawet jak śpię – powiedziała z naciskiem na „wszystko”. – A teraz trzeba jechać, bo to pewnie ci pani znajomi, co się moją włózką zatruli.

– Jacy znajomi? – zdziwiła się Alicja.

– Przecież mówiła pani, że byli tu państwa znajomi i zjedli mój sweter. Ten zielony, co go sprułam – powiedziała niecierpliwie gospoia.

– A! – przypomniała sobie Alicja. – Tych parę osób.

Zastanawiała się, czy to jest dobry moment na wyznanie, że nie było żadnych osób, nikt niczego nie jadł, a sweter wylądował w wykopanym naprędcie dole w kącie ogrodu. Ale zanim zdobyła się na odwagę, pani Ada już zeszła po schodach.

– Jedziemy czy mówimy prawdę? – zapytała Szymona.

– Ja się teraz nie odważę – oświadczył mężczyzna jej życia. – Lepiej zawieźmy ją do tego szpitala. Tam okaże się, że nie znamy tych ludzi, i będzie po kłopotcie.

– A jak się jednak okaże, że to nasi znajomi? – zgłosiła zastrzeżenia. – I że naprawdę zatruli się tym parszywym swetrem? Jeszcze nas policja aresztuje i resztę nocy spędzimy na więziennej pryczy.

– Skarbie – powiedział łagodnie Szymon. – Jak to mogą być nasi znajomi, jeśli nikt u nas dzisiaj nie był, a sweter zakopaliśmy? Nie grozi nam za to żadna więzienna pryczka. Ubieraj się.

Alicja dała się przekonać tej zdroworozsądkowej argumentacji. Po chwili zeszła na dół. Pani Ada już na nich czekała. Wsiadli do samochodu Szymona i ruszyli w stronę szpitala. Po jakimś kwadransie jazdy dotarli na miejsce.

– Trzeba zapytać na izbie przyjęć – pani Ada po wyjściu z samochodu przejęła dowodzenie. – Tam jest wejście.

Ruszyła przodem, a za nią Szymon. Pochód zamykała ociągająca się Alicja. Niby Szymon miał rację, że to masowe zatrucie nie mogło mieć z nimi nic wspólnego, ale znając jej pecha, to wszystko

mogło się zdarzyć. Pierwszą osobą, na którą natknęli się, jeszcze zanim weszli do środka, był Mirek, kuzyn Grzegorza. Alicji najpierw zrobiło się słabo, że go otruła, ale potem dotarło do niej, że po pierwsze, wygląda bardzo zdrowo, a po drugie, właśnie wychodzi ze szpitala, a nie jest do niego wnoszony.

– A wy co tu robicie? – zapytał ze zdziwieniem na ich widok. – Zatruliście się?

– A skąd ci to przyszło do głowy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Mam tu znajomą pielęgniarkę – wyjaśnił Mirek. – Musiałem ją szybko odwiedzić na dyżur, bo strasznie dużo ludzi zachorowało w mieście. Myślałem, że wy też.

– Może mamy tę samą znajomą pielęgniarkę? – zażartował Szymon.

– A, to fajnie. To jej powiedzcie, że będę jutro w domu o osiemnastej – powiedział Mirek.

– Komu mamy powiedzieć, że będziesz o osiemnastej? – zdziwiła się Alicja.

– Tej mojej znajomej pielęgniarence – wyjaśnił.

– Ale przecież my jej nie znamy. – Alicja spojrzała na niego jak na wariata.

– Jak to nie znacie? – zdziwił się. – Przecież on mówił, że właśnie do niej idziecie.

– Sorry, ale właśnie do niej idziemy i bardzo się spieszymy. – Alicja postanowiła zakończyć tę idiotyczną dyskusję i pociągnęła Szymona za rękę.

Po chwili zniknęli za szklanymi drzwiami izby przyjęć. Mirek patrzył za nimi przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Wreszcie podjął chyba jakąś decyzję i szybkim krokiem ruszył w stronę parkingu dla pacjentów, gdzie zostawił samochód. Jeszcze parę razy obejrzał się, czy znajomi Łucji i Grzegorza aby nie idą za nim, a potem odjechał z piskiem opon.

Tymczasem Alicja i Szymon weszli do szpitala i zaczęli się rozglądać za panią Adą. Ale zamiast niej zobaczyli...

– No nie! – jęknęła Alicja na widok Baśki i Bartka siedzących na ławce w izbie przyjęć.

Podeszła do nich.

– Zatrucie? – zapytała. – Nie miałam pojęcia...

– Nikt nie miał pojęcia – uspokoiła ją szefowa i przyjaciółka w jednej osobie. – Kto mógł przypuszczać, że ci dziennikarze zaraz po kolacji w naszym hotelu poleżą gdzieś na miasto i nażrą się jakiegoś świństwa.

Alicja natychmiast zwizualizowała sobie tłum ludzi, którzy w środku nocy zakradają się do ogródka Łucji, wykopują garnek, a potem siadają na trawie i zjadają stary sweter pani Ady.

– O matko i córko! – jęknęła. – Ja naprawdę nie chciałam. Gdybym wiedziała...

– Co ty tak jęczysz? – zainteresowała się Baśka. – Przecież ty im tych podejrzanych hamburgerów w mordowni przy Parkowej nie kazałaś jeść. Chyba że kazałaś?

– Hamburgerów w mordowni nie kazałam – odpowiedziała machinalnie i dopiero w tym momencie dotarło do niej, co powiedziała koleżanka z pracy. – To im hamburgery zaszkodziły?

– A co myślałaś? – odpowiedział Bartek.

– To co wy tutaj robicie? – zapytała ze zdziwieniem Alicja. – Chyba nie byliście z nimi w tej hamburgerowni? Nie, na pewno nie, bo wyglądacie raczej zdrowo.

Baśka wydała długie westchnienie.

– Jak lekarze zapytali, gdzie się te cepy dzisiaj stołowały... – zaczęła.

– To cepy powiedziały, że w naszym hotelu – dokończył za nią Bartek. – Wywlekli nas z łóżek i zawieźli najpierw po próbki do hotelu, a potem z próbkami tutaj. I tak siedzimy już dwie godziny. Dopiero przed chwilą powiedzieli nam łaskawie, że nasze żarcie było w porządku.

Alicja fuknęła zirytowana:

– Pewnie, że było w porządku! Nasze żarcie zawsze jest w porządku. Nie musieli go wcale badać. Wystarczyło, żeby mnie zapytali, to bym im od razu powiedziała. Właśnie... Jeśli was wyciągnęli z łóżek, to dlaczego mnie nikt nie zawiadomił? Tak na zdrowy rozum, to powinnam tu siedzieć z wami, a nie wylegiwać się w łóżku.

– Na zdrowy, to może i tak – zgodziła się z nią Baśka. – Ale ty raczej na zdrową dzisiaj nie wyglądałaś. Tak powiedziałam temu policjantowi i odmówiłam podania namiarów na ciebie.

– A jak wyglądał ten policjant? – zapytała Alicja.

– Taki niski, z brodą – włączył się do rozmowy Bartek.
– A, to dobrze – odetchnęła z ulgą.
– Dobrze, że niski i z brodą? – Baśka pokręciła z niedowierzaniem głową. – Ty się naprawdę kiepsko czujesz. Pogorszyło ci się, że w środku nocy przyjechałaś do szpitala?

– Nie – wyjaśniła koleżanka z pracy. – Nasza gosposia usłyszała w radiu o masowym zatruciu i wyciągnęła nas z łóżek.

– Ty masz gosposię? – zdziwił się Bartek.

– Nie czepiaj się. Moja przyjaciółka ma, a ja jej teraz pilnuję domu – powiedziała Alicja.

– Ale dlaczego gosposia kazała ci w środku nocy jechać do szpitala, żeby odwiedzać obcych ludzi? – Baśka nie rozumiała.

– To długa historia i chyba nie zdążę ci jej opowiedzieć, bo właśnie idzie Szymon.

– Okazało się, że nie mamy z tym zatruciem nic wspólnego – wyjaśnił. – Możemy wracać do domu. Podwieźć was?

To ostatnie pytanie było skierowane do Baśki i Bartka.

– Nie – odpowiedziała szefowa Alicji. – Mieszkam dosłownie dwa kroki stąd. Bartek też. Widzimy się jutro w pracy. Bartek, idź poszukać tego policjanta i powiedz mu, że się zmywamy. Nie mam ochoty, żeby za godzinę znowu wyciągał mnie z łóżka, bo jakiegoś kwitka mu nie podpisałam. W przeciwieństwie do mojej starszej siostry nie żywię gorących uczuć do każdego przedstawiciela władzy w tym mieście.

– Pójdę z tobą, bo gdzieś nam się pani Ada zapodziała – powiedział Szymon.

Po chwili Bartek wrócił ze stosownym świstkiem od policjanta.

– Powiedział, że będzie do ciebie dzwonił jutro – oznajmił, wręczając kartkę szefowej.

– Dlaczego do mnie? – zdziwiła się Baśka i spojrzała na wymiętolony karteluszek.

– Bo mu podałem twój numer telefonu – wyjaśnił. – Trochę to trwało, bo nie mogłem znaleźć w komórce, a na pamięć nie znam.

– A dlaczego nie podałeś swojego numeru? – zdziwiła się szefowa. – Przecież swój chyba znasz.

– A wiesz, że tak? – zdziwił się Bartek. – Ale jakoś do głowy mi nie przyszło.

– Domyślam się, że ci nie przyszło – mruknęła pod nosem Baśka, a głośno powiedziała: – Na razie, Ala. Widzimy się jutro. Nie, właściwie to już dzisiaj się widzimy. A niech to, znowu się nie wyśpię!

Baśka z Bartkiem wyszli. Alicja w pierwszej chwili postanowiła iść poszukać Szymona i pani Ady, ale potem rozmyśliła się i usiadła na ławce.

– Lepiej tu na nich poczekam, bo będziemy się po tym szpitalu do jutra ganiać – stwierdziła. Ławka nie była zbyt wygodna, więc przez dłuższą chwilę wierciła się, zanim udało jej się przyjąć w miarę wygodną pozycję. Z nudów zaczęła się przyglądać ludziom. Nagle jedne z drzwi otworzyły się i wszedł przez nie... Wiesiek. Alicja przetarła oczy ze zdumienia. Nie, jednak jej się zdawało. To był tylko jakiś facet łudzaco podobny do gipsowego krasnala, który stał teraz w salonie jej przyjaciółki Łucji. Miał tak samo nienaturalnie czerwone policzki i czerwoną czapkę. Usiadł obok niej i spojrzał wzrokiem zmęczonym i wyraźnie zmaconym alkoholem.

A jednak żywy człowiek – odetchnęła z ulgą. – Zawsze już lepszy pijak niż pomieszanie zmysłów.

– Pani czeka? – zapytał, nachylając się w jej stronę.

– Tak, czekam – odpowiedziała i postarała się jak najdyskretniej odsunąć od mężczyzny.

– A długo pani tak czeka? – dociekał nieznajomy.

– Niedługo – odpowiedziała krótko, wychodząc z założenia, że im lakoniczniej będzie odpowiadać natrętowi, tym ten szybciej się zniechęci i zostawi ją w spokoju.

Jednak pomyliła się. Nieznajomy nie należał najwidoczniej do tych, których łatwo zniechęcić. Był wyraźnie w nastroju konwersacyjnym.

– Wie pani, mam takiego kolegę. Zenek ma na imię – dopowiedział i pokiwał smutno głową. – Może go pani zna?

– Nie – odpowiedziała, nie kryjąc irytacji.

Właściwie to miała ochotę wrzasnąć: „A idź pan do diabła!”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wiele razy czytała, że pijaków nie należy drażnić, bo wtedy robią się agresywni i nieobliczalni.

– Na pewno nie? – dopytywał się natrętnie sąsiad z ławki. – Taki wysoki, chudy, z wielkim nosem. Na Kasztanowej mieszka. Może jednak go pani zna?

– Nie, na pewno nie – odpowiedziała i ostatecznie straciła cierpliwość.

Chciała wstać, ale poczuła, że coś albo ktoś trzyma ją za nogę. Spojrzała z przerażeniem na mężczyznę, ale on ręce miał przy sobie. Zerknęła na swoje nogi i odkryła, że nogawka od spodni zaklinowała jej się między siedziskiem a oparciem ławki. Szarpnęła... Nic!

Spróbowała jeszcze raz, tym razem mocniej, ale jedynie materiał niebezpiecznie zatrzeszczał. Przystała siłować się ze spodniami. Dotarło do niej, że mężczyzna cały czas mówi.

– A może pani go znała, jak jeszcze mieszkał na Wiśniowej? To było zaraz po tym, jak złamał nogę. Nie, właściwie to rękę. A może rękę i nogę? Tak, rękę, nogę i nos. Spadł ze schodów, jak wychodził z baru Zacisze. Pani wie, gdzie jest bar Zacisze?

Tak, to akurat Alicja doskonale wiedziała. Obok tej mordowni znajdował się przecież zakład pogrzebowy braci Kowalów. Ten, w którym organizowała swoje przyjęcia rozwodowe.

– I właśnie w barze Zacisze mojemu przyjacielowi przytrafiła się ta koszmarna historia... – kontynuował mężczyzna.

Ale jaka to była historia, tego się już nie dowiedziała, bo na horyzoncie pojawił się Szymon. Tak się ucieszyła na jego widok, że zapomniała o tym, że spodnie jej się zaklinowały w oparciu ławki. Zerwała się gwałtownie i w tej samej chwili usłyszała trzask rozdieranej nogawki.

– Właśnie... – Sąsiad z ławki pokiwał głową. – To właśnie przytrafiło się temu mojemu koledze, o którym pani opowiadałam. Też usiadł tylko na chwilę. Zenek ma na imię. Mieszkał na Wiśniowej. Ale jakiś czas temu przeprowadził się na Kasztanową.

Alicja, nie zważając na to, że mężczyzna ciągle coś do niej mówi, chwyciła Szymona za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia.

Za drzwiami czekała już na nich pani Ada. Zapakowali się z powrotem do auta i ruszyli do domu.

– Co tu się dzieje? – zapytała Alicja, gdy wjechali w osiedlową uliczkę.

Była głęboka noc, a mimo to wszędzie wokoło pałętali się ludzie, a we wszystkich domach w sąsiedztwie paliły się światła.

– Może gdzieś wybuchł pożar? – zgadywała pani Ada. – Mam nadzieję, że nie u nas.

– Nie. – Szymon pokręcił głową. – Nic nie czuć, nie widać nigdzie płomieni ani nie słychać straży pożarnej. Nie, to na szczęście nie pożar.

– Uff! – Alicja odetchnęła z ulgą. – Łucja i Grzegorz by mi nie wybaczyli, gdybym spaliła ich ukochany dom.

Jednak gdy podjechali i zobaczyła policjantów kopiących zawzięcie w ogródku, pożałowała, że to jednak nie pożar. Oczywiście nie od razu jakiś wielki, bo przecież nie chciała puścić koleżance chałupy z dymem. Pożar by się ugasiło i byłoby po sprawie. A teraz wyjdzie na jaw sprawa garnka zakopanego w krzakach.

– Nie wolno – powiedział krótko policjant, gdy usiłowali sforsować bramę wjazdową.

– Jak to nie wolno? – zdziwił się Szymon. – Przecież my tu mieszkamy.

– A! To państwa dom? – zapytał policjant. – To wolno.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą Alicja i wysiadła z samochodu. – Ale my tu mieszkamy. To dom moich przyjaciół.

– To nie wolno – powiedział policjant po dłuższym namyśle. – Jak przyjadą właściciele domu, to wpuszczę. Takie mam polecenie.

Szymon wysiadł za Alicją i podszedł po przedstawiciela władzy.

– Proszę pana... – zaczął. – Właściciele wyjechali do Ameryki. Wrócą dopiero za kilka miesięcy. Nie możemy przecież do tej pory koczować pod gołym niebem albo spać w samochodzie. W domu są wszystkie nasze rzeczy i zwierzaki.

– To ja pójde zapytać – postanowił policjant i zniknął na dłuższą chwilę.

Pani Ada też wysiadła i z dezaprobatą spojrzała na Szymona i Alicję.

– Dopóki pani Łucja z panem Grzegorzem nie wyjechali, to takie rzeczy się nie zdarzały – powiedziała i pokiwała znacząco głową. – Żadna policja tu nie przyjeżdżała. Co sąsiedzi powiedzą?

Alicja już miała na końcu języka ripostę, że opiniami sąsiadów to się Łucja raczej nie przejmie, ale nagle skojarzyła, że przyjaciółka opowiadała jej o jakimś dziwnym systemie, który tutaj mieli na osiedlu. Nieformalne rządy sprawowało jakieś stowarzyszenie. I żeby kupić dom w tej okolicy, trzeba było mieć pozytywną opinię tego stowarzyszenia.

– A jakbyś jej nie dostała, to co? – zapytała ze zdziwieniem Alicja, gdy przyjaciółka jej o tym opowiedziała. – Przecież nie mogą ci zabronić wydać pieniędzy na co chcesz.

– Niby nie mogą, ale jakoś podobno do tej pory zawsze tak było, że jak się stowarzyszeniu nie spodobałaś, to dziwnym trafem albo sprzedający sam się wycofywał, albo kredytu w banku nie dostałaś – odpowiedziała Łucja. – Oni mają długie macki. Mam na myśli, że to stowarzyszenie ma macki.

– Ośmiornica to znaczy taka jakaś nasza polska – z rozbawieniem stwierdziła Alicja. – Strach tu mieszkać.

– Nie – roześmiała się przyjaciółka. – Jest bezpiecznie, czysto. Tylko trzeba pilnować, żeby w ogródku nie sadzić czegoś, czego stowarzyszenie nie zatwierdziło.

To kicha – pomyślała Alicja. – Zakopany w kącie ogrodu garnek ze starym swetrem na pewno nie spodoba się tej organizacji mafijnej, co tu rządzi.

Jej rozmyślenia przerwał powrót policjanta.

– I co? – zapytał Szymon z nadzieją w głosie. – Zapytał pan komendanta?

– Nie wolno – odpowiedział krótko policjant. – Jest zajęty.

– To może my jednak wjedziemy? – poprosiła błagalnym tonem Alicja. – Tak po cichutku, żeby nikt nie zauważył.

– Nie wolno – padło znowu z ust mundurowego.

Zaczęła się nawet zastanawiać, czy to na pewno żywy człowiek, czy może raczej robot. Nigdzie co prawda nie wystawały mu kabelki, ale w końcu mógł być bezprzewodowy jak odkurzacz.

Nagle w kącie ogrodu zrobiło się zamieszanie. Alicja i Szymon zostawili samochód i popędzili wzdłuż ogrodzenia. Po chwili znaleźli się na wysokości dołu, który policja wykopała i z którego teraz mundurowi z powagą wydobywali garnek ubrudzony ziemią.

– Panie komendancie – odezwał się jeden z policjantów, a Alicja na dźwięk jego głosu cofnęła się do cienia i naciągnęła na twarz kaptur bluzy. – Może lepiej tego nie ruszać, tylko od razu wezwać saperów? Nie wiadomo, co tam jest w środku.

– Może bomba? – podpowiedział policjant, który wcześniej pilnował bramy.

– Bomba w kształcie garnka? – stwierdził z powątpiewaniem komendant Paweł Gaweł. – Nie słyszałem, ale tak może być. Może faktycznie lepiej wezwać specjalistów. Odstawcie z powrotem ten garnek.

– Lepiej nie – odezwał się znowu policjant sprzed bramy. – Tam może być zamontowany taki czujnik. Jak podnieśli garnek, to on się uruchomił, i teraz, jak znowu postawią, to bomba detonuje. Widziałem to na jednym filmie. I najlepiej, żeby się nie ruszali, bo ruch też może uruchomić zapalnik.

Policjanci zastygli z garnkiem uniesionym kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

– Komendancie, niech pan wzywa tych saperów jak najszybciej, bo długo tak nie wytrzymamy – jęknął jeden z nich i zachwiał się. – Strasznie ciężki ten garnek.

Przez tłum zgromadzony po obydwu stronach ogrodzenia przebiegł okrzyk przerażenia i wszyscy cofnęli się o kilka metrów. Na szczęście mężczyzna szybko odzyskał równowagę i znowu zastygł nieruchomo. Paweł Gaweł odszedł kilka kroków w głąb ogrodu i z kimś rozmawiał przez telefon.

– Powiedzieli, że mogą zaraz wyjechać – oznajmił po powrocie.

Policjanci z garnkiem ostrożnie odetchnęli z ulgą.

– I będą tu za jakieś pięć godzin – dokończył Paweł Gaweł. – Jadą z Zakopanego. Ktoś w kolejce na Kasprowy zostawił plecak. Na szczęście nie z bombą, ale z ciepłą bielizną.

– Nie damy rady tak stać przez pięć godzin – jęknął jeden z trzymaczy.

– Nie musicie – uspokoił go komendant. – Będziemy się co jakiś czas zmieniać. Oczywiście tak, żeby nie poruszyć garnkiem.

W tej samej chwili przez tłum przebiła się pani Ada.

– Proszę mi oddać mój garnek – zażądała stanowczo.

– Jak to pani garnek? – zdziwił się komendant Paweł Gaweł i bohaterstwo zasłonił własną pierśią garnek z podejrzaną zawartością, po której saperzy już jechali z Zakopanego.

– Mój – odpowiedział stanowczo pani Ada. – Zakopałam go tutaj dzisiaj po południu.

– To by się zgadzało – komendant zajrzał do notatnika. – Mieliśmy zgłoszenie, że jakaś kobieta coś zakopywała w ogródku tego domu. Ale świadek zeznał również, że był tu mężczyzna.

– Tak, ja pomagałem pani Adzie – bohaterstwo przyznał się Szymon i przelazł górą przez ogrodzenie. – Czy mogę zabrać ten garnek?

– A co jest w środku? – zapytał komendant. – Może jednak powinniśmy poczekać na saperów?

– Co jest w środku? – powtórzyła poirytowanym tonem jego pytanie gospośnia. – Włóczka jest w środku. Taka ze starego sprutego swetra. Wygotować chciałam, bo od tego się prostuje.

Nie wiadomo, ile jeszcze trwałyby pertraktacje i debaty nad zakopanym przez Alicję i Szymona rondlem, gdyby nagle z otwartego okna domu nie wyskoczył Pasztet. Tak się ucieszył na widok domowników, że przesadził w kilku susach przez ogród i wpadł wprost na policjantów, którzy bohaterstwo dzierżyli przedmiot sporu. Przewrócił ich, a garnek potoczył się kilka metrów dalej. Z sykiem wylała się z niego reszta płynu do prania, w którym pani Ada gotowała swoją włóczkę.

– To jakieś żrące może być! – krzyknął jeden z policjantów. – Proszę się natychmiast odsunąć.

To ostatnie polecenie było skierowane do coraz gęstszego tłumu, który otaczał dom Łucji i Grzegorza. Alicja na oko oceniała, że zjawilo się tu w środku nocy przynajmniej pół Zabrzeżna, jak nie całe. Ludzie w pierwszej chwili zaczęli krzyżeć ze strachu i faktycznie odstąpili parę kroków w tył, ale zaraz znowu natarli na ogrodzenie. Ciekawość była najwidoczniej silniejsza od obawy skażenia chemicznego.

– Jakie żrące? Jakie żrące? – fuknęła pani Ada i podniosła garnek. – Płyn do prania wlałam, to się pieni.

– Faktycznie – policjant, który wcześniej pilnował bramy, pociągnął nosem. – Jakby migdałami pachniało.

– Jak migdałami, to cyjanek musi być! – krzyknął ktoś i tłum rozbiegł się w panice. Na ulicy zrobiło się pusto.

– Migdałami, bo to płyn do prania o zapachu migdałów – oświadczyła gospośnia. – Opakowanie mogę pokazać, jak panowie nie wierzą. W tamtym koszu na śmieci jest, bo dzisiaj akurat wyrzuciłam. Proszę sobie wygrzebać.

Policjanci nie mieli już chyba ochoty grzebać gdziekolwiek, więc z przyjemnością uwierzyli w jej wyjaśnienia i zwinęli posterunek w ogrodzie. Pozostała po nich tylko zdeptana trawa, na której leżały jakieś papierki po gumie do żucia i batonikach. Gapie jedli, żuli, a śmieci wyrzucali za ogrodzenie – na posesję Łucji i Grzegorza.

Albo wiatr to przywiał – pomyślała Alicja.

Odruchowo podniosła jeden z papierków i już chciała wyrzucić do kosza, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. To była kartka, na której ktoś narysował sobie mapkę dojazdu do domu, w którym teraz mieszkali z Szymonem, a kartka pochodziła z jej notatnika. Poznałaby go nawet na końcu świata, bo sama przywiozła go z wakacji w egzotycznym kraju, na które zabrał ją mężczyzna jej życia. Kupiła ostatni taki w małym sklepiku w zaułku, do którego podobno żaden turysta nie zapędził się od dwudziestu lat. Tak jej przynajmniej powiedział łamaną angielszczyzną sprzedawca. Ostatnio szukała tego notatnika, ale nie znalazła. Najwidoczniej zostawiła go w kawalercie. Trzymając papierek w dłoni, rozejrzała się wokoło, jakby szukając tego, kto go tu mógł wyrzucić.

Mirek, kuzyn Grzegorza, w ostatniej chwili schował się za drzewo.

Mam nadzieję, że mnie nie widziała – pomyślał i wycofał się tyłem. – Co za pech z tą kartką. Musiała mi wypaść z kieszeni, jak wyciągałem chustkę. Zawsze jak gdzieś łązę po zmroku, to dostaję kataru. A teraz na dodatek przemokły mi te idiotyczne żółte trampki, które musiałem założyć, bo pies porwał mi buta, jak byłem tu ostatnim razem.

Nie spuszczać wzroku z przyjaciółki żony swojego kuzyna, która nie wiadomo dlaczego ciągle stała w ogrodzie i wymachiwała kartką, zrobił jeszcze krok do tyłu i poczuł, że coś łapie go za rękaw. Otrząsnął się ze wstrętem, bo od dzieciństwa brzydził się wszelkimi czepliwymi krzaczorami. Konkretnie to brzydził się nimi, odkąd kuzyn Grzegorz podczas wakacji na wsi wrzucił go w krzaki jeżyn. To jeszcze byłoby nic, ale te krzaki potargały mu spodenki i majtki. Gdy splakany, zasmarkany, z dziurą w spodniach na pupie wracał do domu, nagle nie wiadomo skąd na drodze pojawiła się dziewczyna, w której podkochiwał się od początku lata. Zobaczyła go i wybuchła śmiechem. Śmiała się i śmiała. Miała na imię Melania. I tej Melanii kuzynowi Grzegorzowi nie zamierzał darować do końca życia.

– Puszczaj! – wrzasnął i nie odwracając się, szarpnął rękaw.

– Puszczę, ale jak mi pan powie, co pan tu robi w środku nocy – obiecał krzak ludzkim głosem. Odwrócił się. To był policjant! A to pech. Musiał zaraz szybko coś wymyślić.

– Ja się zakochałem – rzucił pierwsze, co mu przyszło do głowy. – W tej pani, która tam stoi.

Policjant spojrział we wskazanym kierunku i szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Alicja już najwidoczniej weszła do domu, bo nigdzie nie było jej widać. Za to pani Ada pracowicie zbierała z trawnika włóczkę, która wypłynęła z garnka. Wyglądała jak gigantyczny żuk grzebiący w ziemi.

– Aha... – Policjant pokiwał głową. – Ale niech pan już lepiej idzie, bo takie podglądanie to generalnie karalne jest i jak ktoś pana zobaczy, to może zadzwonić po nas.

Po tych słowach odszedł. Gdy zrobił kilka kroków, przyszło mu do głowy obejrzeć się za siebie. Zobaczył tego dziwnego mężczyznę, który oddalał się, sadząc wielkie susy między drzewami.

– Dziwak jakiś. – Wzruszył ramionami. – Zaraz, czy mnie się zdawało, czy on faktycznie miał na sobie różową damską kurtkę i żółte trampki? Chyba ciasne, bo tak dziwnie utykał.

Spojrzął jeszcze raz, ale mężczyzna już zniknął. W ogródku, który przed chwilą obserwował, nikogo już nie było. Wzruszył ramionami i ruszył do radiowozu.

– Dlaczego pani powiedziała tym policjantom, że sama zakopała w ogródku garnek z włóczką?

– zapytała Alicja panią Adę, która weszła do domu. – Przecież to my, to znaczy ja i Szymon.

Gospościa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A co by pani Łucja powiedziała, jakby się dowiedziała?

ROZDZIAŁ VI

W KTÓRYM JEDNA KRÓTKA AWARIA PRĄDU U FRYZJERA MA SKUTKI WIĘKSZE NIŻ BLACKOUT W NOWYM JORKU W 1977 ROKU

Paweł siedział przed telewizorem i oglądał film. Usłyszał, że w pokoju na górze otwierają się drzwi i po chwili do salonu zeszła Tina. Swoim zwyczajem stanęła między nim a telewizorem i powiedziała poważnym głosem:

– Musimy porozmawiać.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem i pomyślał z radością, że nareszcie będzie mógł się wynieść z tej niewygodnej kanapy w salonie i wrócić do małżeńskiej sypialni. I nie tylko wrócić, ale też...

– Bardzo się cieszę – odpowiedział i wyciągnął rękę, żeby przytulić żonę.

Ale Tina odsunęła się, jakby był jadowitą anakondą i usiłował ją ukąsić. Aha, więc jednak nie było szans na powrót do sypialni. W takim razie o co mogło jej chodzić? Zaraz miał się tego dowiedzieć.

– Rozmawiałam dzisiaj o naszej sytuacji z księdzem – zaczęła...

– Jak to z księdzem? – nie rozumiał. – Z jakim księdzem? I gdzie ty tego księdza spotkałaś? Przecież nie chodzisz do kościoła.

– Dzisiaj byłam – odpowiedziała. – Nie pamiętasz, że wychodziłam po południu?

Dobrze pamiętał, bo dziecko w tym czasie trzy razy zwymiotowało. Za każdym razem, gdy ulubiona drużyna ojca strzelała bramkę. Paweł zaczynał całkiem poważnie podejrzewać, że Tina przekazała mu w genach własną niechęć do futbolu.

– Ale przecież mówiłaś, że jedziesz do fryzjera – przypomniał jej.

– Najpierw byłam u fryzjera – wyjaśniła. – Ale okazało się, że w budynku, gdzie jest zakład fryzjerski, akurat wyłączyli prąd. Chciałam wrócić do domu, ale strasznie się rozpadało. Do samochodu miałam daleko, więc schowałam się w kościele.

– A nie mogłaś przeczekać u fryzjera? – zapytał.

– Przecież ci mówiłam, że nie było prądu – przypomniała mu. – Rozumiesz?

– Tak – przytaknął odruchowo. – A właściwie to nie, ale mów dalej, skarbie. Ja cię zawsze bardzo uważnie słucham.

Mówiąc to, przesunął się odrobinę w lewo, żeby widzieć ekran telewizora.

– I w tym kościele był ksiądz – kontynuowała Tina.

– Coś takiego! – krzyknął, bo właśnie zawodnik jego drużyny przestrzelił bramkę.

– Czemu się tak dziwisz? – zapytała podejrzliwie żona. – W kościele zawsze są jacyś księża.

– Nie zawsze – usiłował wybrnąć. – W cerkwi są popi na przykład. A w zborze pastorzy.

– Nie mamy cerkwi w Zabrzeżnie – zwróciła mu uwagę. – Zboru też nie. O czym to ja? Aha, że tam był ksiądz. Opowiedziałam mu o tym, że nie masz rozwodu z pierwszą żoną. I on stwierdził, że nie możemy razem mieszkać, jak nie mamy ważnego ślubu. Tak mi powiedział ten ksiądz.

Oderwał wzrok od telewizora i spojrzał na nią, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Wyglądało jednak na to, że ona tak poważnie.

– Skarbie! – zwrócił jej uwagę. – Przecież my zawsze mieszkaliśmy bez ślubu kościelnego.

A o taki właśnie ślub pewnie temu księdzu chodziło.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Mówił tylko, że bez ślubu to nie można. I ja się z nim zgadzam.

– Chcesz się wyprowadzić? – zapytał. – Wracasz do rodziców? A co z dzieckiem?

– Ja się nie wyprowadzam – odpowiedziała. – Zostaję tutaj. To ty się wyprowadzasz. Już ci spakowałam rzeczy.

Zanim zdążył zaprotestować, wyszła z salonu. Słyszał, jak otwiera drzwiczki pod schodami. Po chwili pojawiła się, ciągnąc za sobą trzy wielkie niebieskie worki na śmieci.

– Tu masz wszystko – wysapała. – Zimowych ci nie dawałam, bo chyba do zimy zdążysz się rozwieść z tą całą Alicją. A wtedy będziesz się mógł z powrotem wprowadzić.

Nie, ten pomysł mu się nie podobał i nie zamierzał tego ukrywać.

– Ale dlaczego ja się mam wyprowadzać? – krzyknął. – Przecież to jest mój dom!

– Bo ten ksiądz powiedział, że ja jako matka dziecka mam prawo tu zostać – wyjaśniła. – Każdy sąd mi to przyzna. Tak powiedział. I taka przeprowadzka mogłaby źle wpłynąć na dziecko. Dzieci potrzebują rutyny i dobrze znanego otoczenia.

– To też ksiądz ci powiedział? – zapytał podejrzliwie.

– Nie, to akurat mamusia – wyjaśniła.

– To z mamusią też o nas rozmawiałaś? – zdziwił się.

– Ja bardzo często rozmawiam z mamusią o nas. – Wzruszyła ramionami. – Mamusia powiedziała, że jak nie będziesz chciał się wyprowadzić, to ona zna jednego bardzo dobrego adwokata. Ale ty się wyprowadzisz. Prawda, że się wyprowadzisz, Pigmejku? I zabierz psy, bo one mnie nie lubią.

Właściwie to miał ochotę wrzasnąć, że ani myśli się wynosić z własnego domu. Ale potem wyobraził sobie, jak nachodzą go ksiądz, teściowa i adwokat, i już nie był taki pewny, czy chce tu zostać. A gdyby został, to prawdopodobnie musiałyby dalej sypiać na niewygodnej kanapie. Doszedł więc do wniosku, że może jednak lepiej będzie, jak się wprowadzi.

Zapakował rzeczy do bagażnika, wsiadł do samochodu i dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że właściwie to nie wie, dokąd ma jechać z dobytkiem spakowanym w gustowne niebieskie worki śmieciowe. Tak w ogóle to te worki z czymś mu się kojarzyły, ale nie potrafił sobie przypomnieć z czym. Zresztą, nie to było teraz jego największym problemem, a znalezienie jakiegoś lokum. Seks mógł uprawiać w samochodzie, ale spać to już nie.

Właściwie to mógł zostać jeszcze kilka dni i coś sobie wynająć – pomyślał. – Z drugiej strony, głupio wynajmować, jak się ma wielki dom. Za dwa, trzy tygodnie na pewno cała sprawa z rozwodem się wyjaśni i będę mógł wrócić. A jak się nie wyjaśni, to Tina się stęskni albo drewno do kominka jej się skończy i sama zadzwoni z przeprosinami za ten głupi pomysł.

Ale nawet przez te dwa, trzy tygodnie gdzieś musiał się przechować. Krzyśka i Łukasza, swoich przyjaciół jeszcze z czasów studenckich, nie chciał prosić o taką przysługę. Ich żony jakoś niespecjalnie go lubiły. Zwłaszcza po tej całej historii z romanssem z Tiną i rozwodem z Alicją. Jakby obawiały się, że sprowadzi ich mężów na złą drogę.

– Tak... – Kiwnął głową. – Krzysiek i Łukasz odpadają. Kto jeszcze? Rodzice?

Nie, to byłoby najgorsze rozwiązanie. Od rana do wieczora musiałyby albo grać w szachy z ojcem, albo wysłuchiwać od matki, że jego największym błędem było rozstanie z Alicją i związanie się z Tiną. Jakoś nie przepadała za swoją drugą synową.

– Alicja! – krzyknął tak głośno, że ozdobna kura pana Korolkiewicza, która akurat wydziobywała wyjątkowo dorodnego robaka spod przedniego koła, podskoczyła ze strachu i gdacząc przeraźliwie, pobiegła w stronę domu.

Ruszył z piskiem opon. To był doskonały pomysł. Przecież Alicja ciągle była jego żoną, więc jako jej mąż miał pełne prawo z nią zamieszkać. Zresztą, znając ją, wiedział, że nie odmówi mu teraz, gdy właściwie stał się bezdomny. To nie leżało w jej charakterze, a on wiedział, jak ją sprytnie podejść.

Może to i nie najgorzej, że Tina mnie wyrzuciła? – pomyślał, skręcając w stronę osiedla, gdzie teraz jego pierwsza żona mieszkała w domu swojej przyjaciółki. – Jak spędzimy z Alą kilka tygodni pod

jednym dachem, to może wszystko da się odkręcić? Niby jest tam ten jej facet, ale to się jakoś załatwi. W końcu jako mąż mam do niej większe prawa.

Bardzo zadowolony z siebie zostawił samochód na osiedlowym parkingu (pamiętał, że pod samym domem nie ma miejsca na zaparkowanie). Z dwoma niebieskimi śmieciowymi workami pod pachą i dwoma psami na smyczach ruszył w stronę domu Łucji. Na szczęście był tu już wcześniej, więc trafił bez trudu. Nacisnął guzik domofonu. Po chwili rozległ się cichy brzęczyk i furka się uchyliła. Wszedł po schodach. Zanim zdążył sięgnąć do dzwonka, drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta, którą po ciemku łatwo mógłby pomylić z szafą.

– Dzień dobry. Jestem Paweł Watrak, mąż Alicji – powiedział. – Czy mogę zobaczyć się z żoną?

Alicja ciągle jeszcze odczuwała skutki wypadku w komendzie policji, a tu jak na złość rozpełtało się jakieś piekło. W hotelu przewalały się tłumy dziennikarzy, których ściągnęła do Zabrzeżna kradzież obrazu. Po pracy z kolei musiała odbierać dziesiątki telefonów od pań, które chciały, żeby urządziła im przyjęcie rozwodowe.

– No to super! Czym ty się martwisz? – zapytała Baśka, gdy współniczka jej się poskarżyła.

– Tylko że one dzwonią, bo oglądały ten durny program z rozwodem farbowanej brunetki i kudłatego blondyna – wyjaśniła Alicja. – I teraz każda też chce wystąpić w telewizji. Jak ja mam im załatwić występ w telewizji? Masakra! Masz te kwity na pocztę? Zawiozę, jak będę wracać do domu.

– Mogę to sama załatwić – zadeklarowała Baśka.

– Ja zajmuję się w naszej firmie papierami, to i teraz mogę pojechać na pocztę. Co mi się może stać na pocztę?

– Nie wiem, nie wiem. – Szefowa i współniczka w jednym pokręciła głową. – Ciągle nie wyglądasz dobrze po tym spotkaniu z sufitem w komendzie.

– Nawet mi nie przypominaj. – Alicja się wzdrygnęła. – Ale ty nie wyglądasz dużo lepiej niż ja, a nic ci na głowę nie spadło. W każdym razie nic o tym nie wspominałaś.

– Nie spadło – przyznała Baśka. – Ale po tej koszarnej nocy spędzonej z Bartkiem dojść do siebie nie mogę.

Tu urwała, bo do kuchni zajrzała recepcjonistka.

– Szef dzwonił, żebyście mu dwie kawy przygotowały – powiedziała i na dłuższą chwilę zawiesiła wzrok na Baśce.

– A to do nas nie mógł zadzwonić? – zdziwiła się Alicja. – Numeru zapomniał?

Monika z wyraźnym trudem oderwała wzrok od Baśki i przeniosła go na Alicję.

– Podobno macie bez przerwy zajęte – stwierdziła nadąsanym tonem. – Zrobicie tę kawę?

– Zrobimy, zrobimy – zapewniła ją Alicja. – A telefon pewnie znowu się zablokował. Jak będziesz wracała do siebie, to wstąp do technicznego i powiedz Jarkowi, żeby nas odblokował.

Monika nagle rozjaśniła się jak żarówka o potężnej mocy i wybiegła z kuchni.

– Aleś jej dała zadanie – roześmiała się szefowa. – Cały hotel od kilku miesięcy huczy od plotek o jej rzekomym romansie z Jarkiem z działu technicznego. Choć, tak między nami, to ja myślę, że większość tych plotek to ona sama rozpuszcza.

– Teraz nie będzie rozpuszczać. – Alicja pokiwała głową.

– Myślisz? Niby dlaczego? – zdziwiła się Baśka. – Podobno strasznie zawzięta na tego Jarka.

– Może da mu spokój chociaż przez kilka dni, bo teraz, jak sędzę, będzie rozsiewała plotki o romansie twoim i Bartka – stwierdziła przyjaciółka.

Baśka spojrzała na nią zaskoczona.

– Moim i Bartka? O czym ty mówisz? To też skutek uderzenia w głowę? – zapytała.

– Nie, to skutek twojego gadania.

– Jakiego gadania? Co ty bredzisz?

– Ja bredzę? To ty bredziłaś o nocy spędzonej z Bartkiem. I jestem dziwnie pewna, że Monika dokładnie słyszała to zdanie, a resztę sobie dośpiewa. Ona zawsze podsłuchuje pod drzwiami, zanim do nas wejdzie. Parę razy ją przyłapałam.

- Myślisz, że słyszała? – Baśka spojrzała na nią z powątpiewaniem.
- Bankowo. – Alicja pokiwała z przekonaniem głową. – Ona ma takie uszy jak ten wilk.
- Jaki wilk? – zapytał Bartek, wchodząc do kuchni.
- Ten z bajki o Czerwonym Kapturku – wyjaśniła.

Bartek spojrzał na nią, a potem na Baškę, i postanowił zanotować sobie tę rozmowę w swoim zeszycie. Nie wiedział, o co chodzi z wilkiem, ale o coś przecież musiało chodzić.

- Mam dziwne przeczucie, że zaraz zaczną tu do nas zaglądać ludzie z różnych działów.

Ledwo to powiedziała, rozległo się pukanie i weszły dwie dziewczyny z administracji. Rozejrzały się, zachichotały, a potem zapytały:

- Nie ma tu przypadkiem Agaty z naszego działu?
- A widzicie ją tu gdzieś? – odpowiedziała Alicja pytaniem na pytanie.
- Nie, ale myślałyśmy... – odezwała się jedna z dziewczyn (chyba miała na imię Jolka).
- Jak chcecie, to możecie zajrzeć do zamrażarki – zaproponowała Baśka.
- A po co? – zainteresowała się druga z dziewczyn (chyba Kaśka).
- Bo może ją poćwiartowaliśmy i tam trzymamy? – wyjaśniła szefowa kuchni.
- Co ty? – zachichotała Jolka, która tak naprawdę miała na imię Ula.
- W życiu by nam to do głowy nie przyszło – dodała Kaśka, która tak naprawdę miała na imię

Weronika.

- Spadajcie stąd – powiedziała Baśka i pokazała im drzwi. – Przeszkadzacie nam w robocie.

Nie wiadomo dlaczego dziewczyny po jej słowach zanosły się perlistym śmiechem i wybiegły z kuchni, spoglądając znacząco na Bartka.

- Co im się stało? – zdziwił się.
- To wariatki. Nie zwracaj na nie uwagi – poradziła mu Alicja.

Zanim dzień roboczy się skończył, Bartek stwierdził, że zwariowała większość pracowników hotelu. Zaglądali tu pojedynczo i grupkami. Na koniec dnia przyszło nawet dwóch informatyków (do nich informacje ze świata realnego docierały zawsze z dużym opóźnieniem) i zapytali, czy nie mogliby pożyczyć żarówki.

- Pewnie – odpowiedziała. – Tam w tym dużym zielonym garnku.
- Tu nigdzie nie ma zielonego garnka – zwrócił jej uwagę jeden z informatyków.
- Żarówek też nie – warknęła Baśka. – Do widzenia.

Wreszcie dzień się skończył, a wraz z nim pochód gości, którzy najwidoczniej poinformowani już przez roznosicielkę hotelowych plotek o romansie kwitującym w kuchni, musieli przyjść, żeby osobiście zobaczyć bohaterów tej hotelowej *love story*.

Alicja była wykończona, ale dzielnie pojechała na pocztę i ustawiła się pod jednym z okienek. Z nudów liczyła stojących przed nią klientów. Raz wyszło jej, że jest dziesiąta w kolejce, a następnym razem, że jakaś sto dziewięćdziesiąta druga. Rząd petentów posuwał się w niespiesznym tempie, przy dźwiękach przybijania pieczętek, którymi urzędniczki waliły w koperty i przelewy bankowe. Alicja zawsze zastanawiała się, dlaczego tak mocno wałą. Kiedyś miała okazję trzymać w rękach taki stempel i przetestować go.

– Wcale nie trzeba używać takiej siły – powiedziała później Szymonowi. – Całkiem lekko się odbija.

- Właśnie dlatego – odpowiedział z przekonaniem mężczyzna jej życia.*
- Jak to właśnie dlatego? – nie zrozumiała.*

– Właśnie dlatego to one pracują na poczcie, a nie ty – wyjaśnił. – Bo one wiedzą, dlaczego tak trzeba walić tymi stemplami.

- A ty wiesz? – zainteresowała się.*

- Nie, ja przecież nie pracuję na poczcie – wyjaśnił. – Ale może to ma dodawać powagi urzędowi?*

Teraz, kiedy tak stała w kolejce do pocztowego okienka, ta powaga dosłownie rozsadzała jej

czaszkę. Gdzieś między jednym walnięciem stempla a drugim usłyszała trzaśnięcie drzwi za swoimi plecami i uprzejmy głos męski, który przeproszał tych, co blokowali dostęp do wnętrza, stojąc tuż przy wejściu. Alicja zdrętwiała. To był on! Policjant z Mazur. Stał za nią i w każdej chwili mógł ją poznać. A przecież nie mogła mu się pokazać na oczy, dopóki nie wyjaśni się sprawa z tym koszmarnym bohodem z muzeum, którego ciągle nie mogła znaleźć. Zaczynała już nawet podejrzewać Paszteta i Rudego Sto Dwa, że go zjedli. Albo Gipsowego, że go sprzedał, a pieniądze schował w tej swojej odkręcanej głowie. Na wszelki wypadek wtuliła twarz w kołnierz swetra i cofnęła się o krok. Niestety, zawadziła ręką o stojący na ladzie drucziany stelaż na pocztówki, który zleciał z hukiem. Rzuciła się zbierać te pocztówki. Nagle obok niej przykleknął mężczyzna, przed którym właśnie usiłowała się schować.

– Ja pomogę – powiedział i podał jej stosik zebranych z podłogi kartoników.

A potem patrzył ze zdumieniem, jak kobieta, której zaoferował pomoc, zrywa się w panice i biegnie w stronę drzwi. Aż przymknął oczy w oczekiwaniu, że zaraz z całej siły w nie uderzy, ale ktoś akurat wchodził z zewnątrz i otworzył. Kobieta skorzystała z okazji i wypadła z poczty, jakby ją ugryzł wściekły listonosz. Mężczyzna wrzucił ramionami i ustawił stojak z powrotem na ladzie.

Tymczasem Alicja biegła, nie odwracając się za siebie, przez dobre dwieście metrów. Gdy się wreszcie zatrzymała, była spory kawałek od poczty i od zaparkowanej pod urzędem Czarownicy. Teraz, chcąc nie chcąc, musiała wrócić. Zrobiła to, skradając się, w każdej chwili gotowa do ucieczki. Dopadła drzwi samochodu akurat w chwili, gdy policjant z Mazur otwierał drzwi poczty. Ruszyła z kopyta i niewiele brakowało, a przejechałaby go. Zatrzymała się dopiero na czerwonym świetle. Ponieważ w tym miejscu na zmianę na zielone trzeba było trochę poczekać, miała czas zastanowić się, co robić dalej. Kwity na szczęście miała ze sobą, więc pozostawało jej po prostu pojechać na inną pocztę. Miała tylko nadzieję, że na ten sam pomysł nie wpadnie jej prześladowca. Ale tym razem wszystko odbyło się szybko i bez niespodzianek. Mogła wrócić do domu.

– Najpierw wezmę długą kąpiel – snuła marzenia, jadąc w kierunku domu Łucji. – A potem kolacja i do łóżka. Mam nadzieję, że Szymon nie ma dzisiaj jakiegos dyżuru w tej swojej lecznicy albo nie będzie musiał jechać na prywatną wizytę do jakiegoś zwierzaka.

Przy wjeździe na osiedlowy parking zrobił się korek, bo stuknęło się jakichś dwóch gości, którzy teraz konfrontowali swoje punkty widzenia na zaistniałą sytuację. Dość gwałtownie konfrontowali, więc ludzie automatycznie zwalniali w tym miejscu, żeby się przyjrzeć i posłuchać. Niektórzy chyba mieli nadzieję na widowisko w typie mordobicia, bo ruszali dopiero, gdy ci za nimi zaczęli ostro dawać po klaksonach. Przejechała powoli obok parkingu i też odruchowo spojrzała na awanturujących się mężczyzn. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na drogę, ale coś kazało jej spojrzeć jeszcze raz na parking. Coś takiego! Stało tam auto niemal identyczne jak to, którym jeździł Paweł.

A mówił, że to jedyny taki samochód w całym Zabrzeżnie – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem. – Nie, że w całym województwie, mówił. A może nawet kraju. Zawsze był z niego koszmarny megaloman i mitoman.

Powstrzymała chęć, żeby zatrzymać się i obfotografować auto, a potem przesłać Pawłowi fotki na maila. Ale po pierwsze, ci za nią już trąbili, a po drugie, nie miała ochoty w jakikolwiek sposób, nawet wirtualny, komunikować się ze swoim mężem. Miała nadzieję, że zabrał się za prostowanie sprawy ich rozvodu.

– Może lepiej sama pojedę jutro do tego sądu – postanowiła. – Nie, jutro nie. Jutro jest sobota. W poniedziałek pojedę.

Podjechała pod dom Łucji i wprowadziła Czarownicę do garażu. Umówili się z Szymonem, że parkuje tam to z nich, które pierwsze przyjedzie do domu, a drugie zostawia samochód na podjeździe. Zza domu wyskoczył Pasztet. Poczochrała go za uszami, a wtedy niespodziewanie pojawiły się dwa inne psy. Wyglądały zupełnie jak Hula i Hop – dwa goldeny, które kupili z Pawłem i które zostały przecież w Malinówce.

To chyba ciągle to uderzenie – pomyślała. – Jakoś pamięć mi się zrestartowała czy co?

Wszędzie widziała jakieś rzeczy, które przypominały jej czasy, gdy jeszcze była żoną Pawła. Psy

zniknęły za rogiem budynku, a ona doszła do wniosku, że pewnie przylazły od sąsiadów. Na tym osiedlu każdy miał psa, a niektórzy, jak widać, nawet kilka. Otworzyła drzwi i weszła do domu, w progu o mało nie nadeptując na ogon Rudego Sto Dwa. Spojrzała na niego z sympatią tym większą, że on (podobnie jak Pasztet) nie miał nic wspólnego z tym etapem jej życia, o którym najchętniej zapomniałaby raz na zawsze. Ale najwidoczniej ten etap nie chciał być przez nią zapomniany, bo ledwo rozebrała się w holu i weszła do salonu, zobaczyła eksmęża, który siedział na kanapie i oglądał w najlepsze jakąś transmisję meczu. Dokładnie tak samo, jak robił to w Malinówce. Zamknęła oczy, ale gdy je otworzyła, ciągle tam był. To, że nie zareagował na jej widok, można było wytłumaczyć na dwa sposoby: albo zwariowała (jak zresztą on sam jej przepowiedział wielokrotnie w tych gorszych chwilach ich małżeństwa), albo, jak często podczas oglądania meczu, był tak pochłonięty akcją na boisku, że nie docierały do niego żadne bodźce zewnętrzne. Kiedyś postanowiła sprawdzić, jak bardzo stracił kontakt z rzeczywistością, i mocno go uszczypnęła. Nawet nie drgnął. Za to godzinę później w sypialni zastanawiał się, skąd ma taki dziwny czerwony punkcik na ręce.

– Pójdę się umyć, trochę zrelaksuję, to na pewno zniknie – stwierdziła Alicja i ruszyła do sypialni Łucji i Grzegorza, którą teraz zajmowała z Szymonem.

Nagle potknęła się o wielki śmieciowy worek w niebieskim kolorze. Taki sam jak te, w jakich swego czasu wywiozła swoje rzeczy z Malinówki. Nagle worek przewrócił się i wyspały się z niego jakieś swetry. Rzuciła na nie okiem i zdębiała, bo jako żywo wyglądały jak swetry jej eksmęża.

– To najwidoczniej omamów ciąg dalszy – stwierdziła. – Nie będę się tym przejmować.

Po kąpieli zeszła z powrotem do salonu. Odetchnęła z ulgą. Widmo Pawła gdzieś się rozwiało. Nie było też śmieciowego worka z jego swetrami.

– I wszystko w porządku – mruknęła pod nosem. – Po prostu jestem zmęczona. Na szczęście właśnie jest weekend. Nie mam dyżuru w hotelu ani żadnej imprezy rozwodowej. Wyśpię się.

Zadowolona, że ma przed sobą przyjemnie zapowiadający się weekend, weszła do kuchni. Pani Ada, która właśnie opróżniała zmywarkę, podniosła głowę i spojrzała na nią.

– Dzień dobry – powiedziała. – Dobrze, że pani już jest.

– Ja też się cieszę – odpowiedziała pogodnie Alicja i nalała sobie wody do szklanki.

– Dobrze, że pani już jest – powtórzyła pani Ada. – Bo przyszedł taki jeden.

– Jaki jeden? – zapytała, nie przeczuwając nadchodzącej wielkimi krokami katastrofy. – Listonosz? Trzeba było odebrać list.

– Nie listonosz – powiedziała gosposia. – Mąż przyszedł.

– Pani mąż? – zdziwiła się Alicja. – To miło. Chętnie go poznam. Może zrobimy coś dobrego na kolację. Zaraz wróci Szymon. Ładna pogoda, to właściwie można by nawet jakiegoś grilla zrobić w ogrodzie. Tylko nie wiem, czy mamy mięso.

– Pani mąż przyszedł – przerwała jej pani Ada. – Dzisiaj po południu przyszedł i jakieś bagaże przyniósł.

– Nie – odpowiedziała ze śmiechem Alicja. – To niemożliwe. Pani się tylko zdawało, że go pani widzi. Tak jak mnie, jak weszłam do domu. Zdarza się, jak ktoś jest przemęczony. Powinna się pani solidnie wyspać i wszystko przejdzie.

Pani Ada trzasnęła drzwiczkami od zmywarki, wyprostowała się i wrzuciła ramionami.

– Jak tam pani sobie chce – powiedziała. – W każdym razie on tak siedzi w salonie i telewizję sobie ogląda. Mecz chyba jakiś. Zaraz jak tylko wszedł i rzucił worki z rzeczami pod schody, to zapytał, gdzie jest pilot od telewizora, bo on jakąś transmisję musi obejrzeć. Co on, walizek nie ma, że nosi wszystko w workach na śmieci?

– Naprawdę proszę mi uwierzyć, że to wszystko tylko się pani zdawało – przekonywała ją Alicja.

– Mojego męża tu nie ma.

– I jeszcze pani powie, że nigdy nie było. – Gosposia łypnęła na nią.

– Nie było – odpowiedziała, ale zaraz sprostowała: – To znaczy był.

– Sama pani widzi! – powiedziała triumfalnie pani Ada.

– Był, ale jakiś czas temu, ale teraz na pewno go nie ma. Możemy zaraz pójść i sprawdzić –

zapropnowała przyjaciółka pani domu.

Gospośnia bez słowa ruszyła za nią do salonu. Alicja stanęła w drzwiach jak wryta, a pani Ada wpadła jej na plecy. Przed telewizorem rozpierał się w najlepsze jej były mąż.

– Cześć! – powiedział. – Tak przejeżdżałem obok i postanowiłem zajrzeć.

– Przejeżdżałeś z tragarzami? – zapytała Alicja. – To znaczy z bagażami?

I pokazała na niebieskie worki w kącie salonu.

Pani Ada taktownie wyszła do kuchni, ale Alicja wiedziała, że jak zwykle będzie podsłuchiwać pod drzwiami.

– Właściwie to mam do ciebie prośbę... – zaczął Paweł.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Nie zgadzam się. Nie ma nawet mowy!

Były mąż spojrział na nią ze zdumieniem. Takiej jej jeszcze nie widział.

– Przecież nawet nie wiesz jeszcze, o co chodzi, to dlaczego mówisz, że nie? – zapytał.

– Bo nie! – odpowiedziała i postarała się, żeby to zabrzmiało bardzo stanowczo. – Nie jestem już twoją żoną i nie mam ochoty spełniać żadnych twoich prośb.

– Właśnie o to chodzi – westchnął Paweł.

– Ale o co? – nie rozumiała i w tej samej chwili wściekła się na samą siebie, że daje się wciągać w te jego głupie gierki.

– Formalnie ciągle jesteśmy małżeństwem – kontynuował.

Czy tylko jej się zdawało, że tuż za niby zamkniętymi, a w rzeczywistości jedynie przymkniętymi drzwiami do kuchni coś spadło na podłogę?

– I Tina stwierdziła, że nie możemy mieszkać razem, bo nie mamy ślubu – dokończył jej eksmąż.

Zamrugnęła oczami, ale wbrew temu, co pisali w rozmaitych gazetowych artykułach, wcale jej się od tego nie rozjaśniło w głowie.

– Poczekaj, poczekaj... – Próbowała zrozumieć to, co przed chwilą usłyszała. – Tania uważa, że ja i ty nie możemy mieszkać razem? To akurat dla mnie nic nowego. Powiedziała mi to już wtedy, jak się zjawiała pierwszy raz u nas w Malinówce.

– Nie, nie. – Paweł pokręcił głową. – Ona uważa, że to my nie możemy mieszkać razem, bo nasz ślub jest nieważny.

– Już zwariowałam albo zaraz zwariuję – oświadczyła Alicja, kątem oka dostrzegając, że szpara w kuchennych drzwiach powiększyła się. – Nie, to ty zwariowałeś.

– Wcale nie! – odpowiedział urażony eksmałżonek. – Przecież wyjaśniłem ci wszystko bardzo jasno. Nasz, to znaczy twój i mój ślub jest ważny, a mój z Tiną nieważny. I Tina kazała mi się wyprowadzić z Malinówki.

Przez chwilę patrzyła na niego i usiłowała połapać się w tych wszystkich ślubach, z których jedne były nieważne, a drugie ważne.

– Dobra – odpowiedziała, gdy jako tako sobie poukładała w głowie. – Tina cię wyrzuciła. Bardzo ci współczuję, bo mnie kiedyś też.

– Sama odeszłaś – przypomniał jej Paweł.

– Chyba nie sądziłeś, że będziemy sobie szczęśliwie żyli w trójkę w Malinówce?! – krzyknęła.

Ale zaraz samą siebie skarciła w myślach, że wraca do spraw dawno zamkniętych i po raz kolejny daje się wmanewrować w głupią dyskusję – jedną z tych, w których specjalizował się jej były mąż.

– Słuchaj – powiedziała już nieco spokojniejszym tonem. – Rozumiem, że macie z Tanią jakieś kłopoty, ale mnie to zupełnie nie obchodzi. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Paweł jakby czekał, aż ona wypowie to zdanie. Odprężył się, wyprostował na kanapie i powiedział:

– Ależ masz! Przecież ciągle jesteśmy małżeństwem. Małżonkowie powinni się wspierać.

Nie, to nie mogło się dziać naprawdę! Facet, który ją zdradził i upokorzył, teraz siedział w jej salonie (to znaczy w salonie Łucji, ale co to za różnica) i mówił o wsparciu.

– Mogę cię poczęstować herbatą – oświadczyła. – Albo kawą.

– A ciasteczek nie masz? – zapytał. – Wiesz, tych, co je lubię. Tych, co je kupowałaś dla mnie

w tej cukierni na rynku. A potem jedliśmy je w sypialni.

– Nie mam. – Wzruszyła ramionami i przypomniała sobie, że ma nie dać się wciągać w głupie dyskusje i naciągać na wspomnianie dawnych czasów. – Nie byłam tam od naszego rozwodu. Zresztą rozmyślałam się. Herbatą też cię nie będę częstować. Idź sobie już!

Paweł spojrział na nią tym swoim spojrzeniem biednego, zranionego psa. Czy on nie wiedział, że to od dawna już nie robi na niej wrażenia? Jeśli nie wiedział, to teraz właśnie zrozumiał, bo spróbował w inny sposób:

– Ale ja nie mam gdzie iść – powiedział proszącym tonem.

– Idź do diabła – poradziła mu.

Przez chwilę jakby miał zamiar wstać, ale w końcu tylko usadowił się wygodnie na kanapie i oświadczył stanowczo:

– A jak się stąd nie ruszę?

– Co? – Przez chwilę miała nadzieję, że się przestyszała, ale niestety nie.

– Zgodnie z prawem jesteśmy małżeństwem i jakby co, to nawet o alimenty mogę cię pozwać.

O nie! Tego już było za wiele. Przez chwilę na poważnie rozważała ewentualność, czy go nie zakatrupić. Ale z braku odpowiedniego narzędzia musiała odłożyć tę przyjemność na później. Zamiast tego chwyciła pierwszy niebieski worek z jego rzeczami i cisnęła przez otwarte drzwi na taras. A potem drugi.

– I to byłoby na tyle – powiedziała i odetchnęła z ulgą. – Możesz zabrać swoje rzeczy. Postaram się jak najszybciej znowu zalegalizować nasz rozwód.

Paweł odwrócił się w stronę okna, żeby sprawdzić, gdzie wylądowały jego rzeczy, a potem spojrział na byłą żonę.

– Myślałem, że jesteś inna – powiedział.

– To się pomyliłeś – odpowiedziała krótko. – Jestem właśnie taka. Sorry, ale mam kupę roboty, muszę przygotować kosztorys i nie mam zamiaru marnować czasu na głupie dyskusje z tobą.

Paweł przez chwilę zastanawiał się, czy to już nie pora na poddanie się, ale przyszło mu do głowy, że w tej sytuacji będzie musiał jednak zamieszkać z rodzicami i grać z ojcem w szachy, więc postanowił jednak trochę powalczyć.

– Nie możesz mnie wyrzucić na mróz – stwierdził.

– Zwariowałaś. – Nie zapytała, tylko stwierdziła. – Przecież jesień jest, wczesna na dodatek i ciepła. Nie wyglupiaj się, Paweł. Idź już sobie.

Podniósł się z ociąganiem z kanapy.

– Będę chyba musiał dzisiaj spać na waszym osiedlowym parkingu – stwierdził. – Rodzice wyjechali, a ja zostawiłem klucze do ich mieszkania w domu w Malinówce.

Rodzice oczywiście nigdzie nie wyjechali, a jakby nawet, to klucze zawsze mieli sąsiedzi, ale miał nadzieję, że Alicja kupi to jego tłumaczenie i pozwoli mu zostać choćby na jedną noc. Z jednej nocy często robią się kolejne. Powinna jeszcze o tym pamiętać. Ale Alicja tłumaczenia nie kupiła.

– Widziałam dzisiaj twoją matkę w centrum Zabrzeżna, jak wracałam do domu – odpowiedziała.

– To po pierwsze. A po drugie... Klucze do ich mieszkania ma zawsze Kowalska z drugiego piętra. Idź do Kowalskiej. Ona za tobą przepada. Jakby co, to na pewno cię przenocuje. Może nawet zrobi ci jajecznicę na śniadanie.

Paweł aż się wzdrygnął na wspomnienie wielkiej jak mamut i całkiem jak mamut owłosionej przyjaciółki swojej matki. Zrezygnowany ruszył w stronę wyjścia. W tym momencie z kuchni wyszła pani Ada.

– Nie może pani wyrzucić męża – oświadczyła.

– Jak to nie mogę? – zdziwiła się Alicja. – Zresztą to mój były mąż.

– Wcale nie były – powiedział Paweł. – Sąd unieważnił nasz rozwód. Nie pamiętasz?

– Aż za dobrze – fuknęła. – Niech on sobie idzie.

– A jak opowie wszystkim sąsiadom? – powiedziała tonem pełnym grozy sąsiadka.

– Na pewno opowiem – zadeklarował Paweł. – Wszystkim opowiem.

– A to sobie opowiadaj – rozeźliła się Alicja. – Mnie to zupełnie nie przeszkadza.

– A jak to dotrze do stowarzyszenia? – zapytała gospośia.

Przyjaciółka pani domu spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– To pani też wie o stowarzyszeniu? – zapytała.

Pani Ada wzruszyła ramionami.

– Wszyscy wiedzą o stowarzyszeniu – odpowiedziała. – Oni są bardzo surowi i mogłoby się okazać, że pani Łucja i pan Grzegorz nie są mile widziani na tym osiedlu. Proszę o tym pomyśleć, zanim wyrzuci pani swojego męża.

– Byłego męża – sprostowała rozeźlona Alicja i już chciała odpowiedzieć, że przecież żadne stowarzyszenie nie ma prawa wtrącać się w prywatne życie ludzi, gdy nagle przypomniała sobie, że kiedyś rozmawiała o tym z Łucją i przyjaciółka mówiła mniej więcej to samo, co teraz jej gospośia. Zaczęło się od tego, że Łucja zwierzyła jej się ze swoich wątpliwości na temat posadzonych pod płotem różanych krzewów.

– Piękne są – stwierdziła.

– Mnie też się podobają. – Łucja wzruszyła ramionami. – Inaczej bym ich nie kupiła. Ale nie wiem, czy ludzie ze stowarzyszenia nie uznają, że w jakiś tam sposób nie pasują do wizerunku ulicy.

Pamiętała, że jadła wtedy babeczki i wielki kawał jednej z nich po tych słowach utknął jej w przełyku i nie chciał ruszyć dalej. Zaczęła rzeźić i wytrzeszczyła oczy. Nie wiedziała do końca, czy z powodu bulki w gardle, czy ze zdumienia. Przyjaciółka walnęła ją troskliwie w plecy, aż zadudniło, babeczka ruszyła, a ona wykrztusiła:

– Nie powiesz mi chyba, że ktoś, to znaczy jakieś stowarzyszenie, może ci mówić, co masz sadzić? Zresztą, co oni ci mogą zrobić, jak się nie dostosujesz? Spalą ci chałupę?

Łucja rozejrzała się wokół, jakby z obawy, że ktoś może je podsłuchać, a potem powiedziała szeptem:

– Spalić nie spalą, ale jakimś dziwnym trafem jedni tacy, co dom pomalowali na fioletowo, kilka miesięcy później się wyprowadzili. Podobno zaczęło u nich straszyc.

Po tych słowach przyjaciółki Alicja najpierw dostała napadu śmiechu, a gdy się uspokoiła, skonstatowała poważnym tonem:

– Nie dziwię się. Jak widzę czasami w mieście jakiś fioletowy dom, to też mam ochotę postraszyć jego właścicieli.

– Ty sobie jaja robisz, a ja naprawdę mam wątpliwości. Dobrze zrobiłam, że posadziłam te róże, czy nie? Mogę je jeszcze wykopać.

W tym momencie wszedł Grzegorz i rozmowa się urwała.

Alicja przypomniała ją sobie teraz, gdy siedziała naprzeciwko okna tarasowego – dokładnie tak, jak wtedy. Jej wzrok automatycznie powędrował w to miejsce, gdzie powinny rosnąć róże. Nie było ich! Po chwili sobie przypomniała, że teraz pną się w tej części ogrodu, której nie widać od ulicy. A więc Łucja jednak je przesadziła ze strachu przed tajemniczym stowarzyszeniem. A teraz pani Ada nie pozwala jej wyrzucić nachalnego eksmęża.

– To ja przygotuję pokój na parterze – odezwała się gospośia, najwidoczniej uznając całą sprawę za załatwioną. – A pan niech przyniesie z powrotem swoje rzeczy, bo już widzę, że zwierzaki się nimi zajęły i po całym ogrodzie rozwłóczą. Zaraz jakiś sąsiad zadzwoni na policję, że u nas na posesji wściekle psy kogoś zagryzły. I co sobie ludzie o pani Łucji i panu Grzegorzu pomyślą? Kilka tygodni, jak ich nie ma, i już pięć razy policja była.

Po tych słowach spojrzała z wyrzutem na Alicję.

– Tylko dwa razy policja była – sprostowała przyjaciółka Łucji słabym głosem.

– Może i dwa razy – odparowała gospośia. – Ale kto wie, ile razy jeszcze będzie.

W tej samej chwili, jakby na zamówienie, pod bramę podjechał policyjny radiowóz. Wsiadł z niego mężczyzna i zadzwonił do furtki.

– Kurza stopa! – jęknęła Alicja. – Czy ci ludzie nie mają co robić, tylko bez przerwy sąsiadom do ogródka zaglądnąć? Przecież Hula, Hop i Pasztet tak naprawdę jeszcze nie ruszyły tych ubrań Pawła. Pójdę i zapytam, o co im chodzi.

Wyszła z domu i ruszyła szybkim krokiem w stronę bramy. Doszła tam akurat w momencie, w którym policjant po raz kolejny naciskał guzik dzwonka.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała.

– Mamy wezwanie na ulicę Porannej Rosy, ale zgubiliśmy się w tych osiedlowych uliczkach – odpowiedział mężczyzna. – Może pani...

– Tak, oczywiście – powiedziała, po czym wyszła przed bramę i pokazała: – To będzie druga przecznica w tamtym kierunku.

Policjant podziękował, wsiadł do samochodu i odjechał. Alicja przez chwilę bezmyślnie spoglądała za nim, a potem nagle przypomniała sobie, co zostawiła w domu, i wróciła pędem, żeby zapobiec zainstalowaniu swojego eksmęża w domu najlepszej przyjaciółki. Gdy jednak weszła, okazało się, że właściwie to nie ma czemu zapobiegać. Worki z rzeczami Pawła wróciły z ogródka i teraz pani Ada niosła je do pokoju, który miał zająć niechciany gość. A Paweł siedział na kanapie i oglądał kolejny mecz. Machnęła ręką i pomaszerowała do sypialni. Chyba musiała zasnąć, bo gdy się ocknęła, za oknem było już ciemno. Poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Gdy wróciła, w łóżku leżał już Szymon. Swoim zwyczajem przykryty po czubek nosa.

– Chyba musiałam wieki całe siedzieć w tej łazience, że zdążył przyjść, przebrać się i położyć – pomyślała. – Tylko dlaczego nie zapukał do drzwi łazienki? Przecież wie, że uwielbiam wspólne kąpiele.

Nie zdawała sobie sprawy, że to ostatnie zdanie powiedziała na głos, ale musiało tak być, bo mężczyzna odwrócił się w jej stronę i powiedział namiętnym szeptem.

– Ja też. Przecież wiesz o tym.

– Aaa! – wrzasnęła jak oparzona i wyskoczyła z łóżka. – Co ty robisz, do cholery jasnej? Wynos się!

Paweł usiadł na łóżku i spojrzał na nią rozszalonym wzrokiem.

– Na dole jest zimno – powiedział. – A wiesz, że jak mi zimno, to nie mogę spać. Przyszedłem się ogrzać.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknęła jeszcze raz. – Jak dla mnie możesz nawet zamarznąć. Spadaj na dół, ale już, bo się nie będę przejmować tym, co powiedzą sąsiedzi Łucji i Grzegorza, i wywalę cię z domu w środku nocy. To dopiero będzie ci zimno.

– Nie zrobisz tego – powiedział proszącym tonem eksmaż. – Alutek!

I tu przesadził. Jak kiedyś uwielbiała, gdy nazywał ją Alutkiem, tak po rozwodzie znenawidziła to zdrobnienie. Furia zaślepiła jej oczy, na szczęście nie na tyle, żeby nie widziała spodni leżących na brzegu łóżka. Wzięła je, podbiegła do okna, otworzyła i cisnęła z całej siły.

– Zwariowałaś – skwitował jej wyczyn Paweł. – To były moje ulubione spodnie.

– Tym lepiej – fuknęła.

– Co tu się dzieje? – zapytał Szymon, stając w drzwiach i przesuwając wzrok ze zdumieniem od Alicji w kusej nocnej koszulce do Pawła, który w bokserkach leżał na łóżku.

– To nie jest tak, jak myślisz – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Ten bęcwał przyszedł tutaj, jak byłem w łazience, i położył się do łóżka. Myślałam, że to ty, i też się położyłam.

Szymon spojrzał przeciągle na Pawła.

– Kolego – powiedział, przeciągając celowo ostatnią sylabę. – Rozumiem, że z jakichś dla mnie niezrozumiałych powodów Alicja pozwoliła ci nocować w tym domu, ale nie sądzę, żeby zaproszenie rozszerzyła na swoje łóżko.

– Pewnie, że nie! – krzyknęła. – I wcale nie chciałam, żeby tu nocował! To pani Ada nie pozwoliła mi go wyrzucić!

Szymon spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Pani Ada? – zapytał. – Ale co ma do tego pani Ada?

– Uparła się, że musi zostać, bo inaczej to stowarzyszenie, co rządzi na osiedlu, będzie robiło

jakieś problemy Łucji i Grzegorzowi – wyjaśniła. – Ale ja się nigdy nie zgadzałam, żeby przyłaził do mojej sypialni.

– Bo w mojej jest zimno – powiedział urażonym tonem Paweł.

– To sobie marznij – wycedziła z satysfakcją. – Albo jedź do hotelu.

– W Zabrzeżnie nie ma hotelu – odparował eksmąż.

– Jak to nie ma? – krzyknęła. – To gdzie ja pracuję? W wytwórni konserw rybnych?

– Jak bym przyszedł do ciebie do hotelu, to też byś miała pretensje. Zresztą, wiesz przecież, że ja nie znoszę hoteli. Najbardziej lubię domową atmosferę.

– Zaraz, zaraz. – Szymon zamachał rękami. – Przestańcie już, bo się zaczynam gubić. O co chodzi z tym całym stowarzyszeniem?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Opowiadałam ci kiedyś. Stowarzyszenie zarządza osiedlem. I podobno ma jakiś niesamowity wpływ na jego mieszkańców. To tak w dużym skrócie.

– Aha. – Kiwnął głową. – Teraz już sobie przypominam. A co do ciebie, kolego...

Znowu przeciągnął ostatnią sylabę, a potem zawiesił głos i spojrzał znacząco na Pawła.

– Kolego, ponieważ z zupełnie niezrozumiałych powodów spędzimy pewnie jakiś czas pod jednym dachem, chciałbym, żebyśmy sobie pewne kwestie wyjaśnili. Alicja zaproponowała ci pokój na dole, więc z niego korzystaj. Teraz to moja kobieta. Jasne?

Paweł przez chwilę ruszał szczękami, jakby żuł gumę.

– Kolego – odpowiedział wreszcie, naśladowując manierę swojego przedmówcy. – Ja chciałbym ci przypomnieć, że to ciągle jest moja żona, bo orzeczenie o rozwodzie jest nieważne.

Paweł chciał coś odpowiedzieć, ale Alicja nie dopuściła go do głosu.

– Przestańcie – powiedziała podniesionym tonem. – Bo się czuję jak na jakimś arabskim suku. Mam wrażenie, że zaraz zaczniecie się o mnie targować. A w ogóle, to chcę już iść spać i niech on sobie idzie.

– Słyszałeś, kolego? – zapytał Szymon już swoim normalnym tonem. – Kobieta chce się położyć, więc bądź łaskaw...

– Dobra, dobra. – Paweł wzruszył ramionami i wyszedł.

– Możemy się kłąć – powiedział Szymon i na wszelki wypadek zamknął drzwi sypialni na klucz. Odwrócił się i uśmiechnął. Alicja już spała, posapując przez nos.

ROZDZIAŁ VII

BAŚKA WPADA NA TROP, ALICJA TYM TROPEM RUSZA I OBYDWIE SCHODZĄ NA MANOWCE

Alicja przemknęła jak burza obok recepcji i mocno spóźniona wpadła do kuchni.

– Nie uwierzysz, co mi się wczoraj przytrafiło! – krzyknęła do Baśki, która krzątała się już przy śniadaniu dla hotelowych gości.

– Nie wiem, czy ja uwierzę w to, co ty mi powiesz. Ale ty na pewno nie uwierzysz w to, co ja ci powiem.

Przyjaciółka zamrugła oczami.

– Możesz to powtórzyć? – poprosiła. – To dla mnie za trudne przed pierwszą kawą.

– Nieważne. – Baśka machnęła wielkim tasakiem do mięsa tuż przed nosem Alicji, przyprawiając ją o żywsze bicie serca. – Ważne, że ja widziałam ten twój obraz. Poszła mi stąd!

Po tych słowach znowu machnęła groźnie tasakiem. Alicja na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków.

– Dlaczego mam sobie pójść? – zaprotestowała bardzo delikatnie, bo dobrze знаła potęgę narzędzia, które obecnie trzymała w rękach jej szefowa. Można nim było pokroić nawet zamrożone na kość mięcho.

– Nie ty, tylko ta bździągwa z księgowości, co tu zaglądała przed chwilą – prychnęła Baśka. – Jak mi tu jeszcze raz przylezie, to jej odetnę ten długi ozór i przestanie roznosić po hotelu plotki, że niby mam romans z Bartkiem. Poszła won, wywłoka! – krzyknęła.

– Nie, to chyba już lekka przesada – zwróciła jej uwagę koleżanka i współpracowniczka. – Może faktycznie ta dziunia z księgowości nie jest jakaś bardzo sympatyczna, ale żeby zaraz wywłoka?

– Jaka dziunia? – zapytała ze zdumieniem Baśka. – Ja o musze mówię. Lata mi tu od rana. A jak lata, to znaczy, że zaraz będzie kontrola z sanepidu. Wypatrzą tę jedną muchę, co się zabłąkała nie wiadomo skąd, i znowu będzie afera. Czasami myślę, że muchy to nam konkurencja podrzuca.

– Może być. Pewnie z samolotów zrzucają, jak Amerykanie stonkę w PRL-u. – Alicja pokiwała głową. – Ale czy ja dobrze słyszałam, że widziałas gdzieś moją „Pannę z Monidła”? To znaczy nie moją, tylko tę, co ją ukradłam? Wiesz, o co mi chodzi.

– Z grubsza. – Przyjaciółka kiwnęła głową. – Grunt, że widziałam.

– Ale gdzie?! – krzyknęła Alicja. – Mów, kobieto, gdzie!

– Wczoraj akurat wracałam do domu, a tu jak nie lunie! Musiałam się gdzieś schować. Usiadłam na przystanku autobusowym przy Kasztanowej i z nudów zaczęłam się przyglądać domowi naprzeciwko. Nie było firanek i widziałam wszystko, co tam się działo.

– I co zobaczyłaś? – niecierpliwiła się Alicja.

– Babę zobaczyłam! – oznajmiła triumfalnie przyjaciółka.

– Myślałam, że obraz.

– Bo obraz też – wyjaśniła Baśka. – Ta baba ma go na ścianie. A my musimy go jej odebrać, żebyś ty mogła oddać.

- To będzie kolejny problem...
- Jak to problem? – nie zrozumiała przyjaciółka.
- Jak mam oddać? Przecież nie mogę tak po prostu zanieść tego obrazu policję i tak im go oddać
- tłumaczyła Alicja. – Zaraz mnie wpakują do pudła i może dostanę co najwyżej trochę krótszy wyrok za to, że oddałam. Jakoś mi się nie uśmiecha odsiadanie kary za to, co jakiś głupek mi przez pomyłkę przysłał.
- Podrzucimy tak, żeby nikt nie widział.
- Niemożliwe! Wszędzie są jakieś monitoringi, jak nie miejskie, to prywatne ludzie mają albo w samochodach takie kamerki montują, żeby w razie, jakby im ktoś samochód ukradł, to żeby się nagrało.
- Ale przecież jak im ukradnie, to razem z kamerą – zdziwiła się Baśka. – Złodziej sobie obejrzy, czy ładnie na nagraniu wyszedł. I jeszcze sobie kamerkę na pamiątkę weźmie. Kompletnie bez sensu. Ale masz rację, że monitoring mamy w tym naszym Zabrzeźnie wszędzie. Podrzucić nie możesz. Ale może wyślemy pocztą. Przeberzemy się, żeby nas nikt nie rozpoznał, i wpiszemy na przesyłce jakiś fikcyjny adres nadawcy.
- Szymon ostatnio czytał, że teraz policja to ma takie programy komputerowe, że nawet jak założysz sobie na głowę dzwon Zygmunta i z tym dzwonem pójdziesz na pocztę, to oni zdjęcie prześwietlą i zobaczą, że ty tam jesteś.
- Pod tym dzwonem? Ale dlaczego ja miałabym iść na pocztę z dzwonem na głowie?
- Ojej, to tylko taki przykład był – wyjaśniła przyjaciółka. – Nie musisz zakładać dzwonu, jak nie chcesz.
- Nie chcę. – Kiwnęła głową uspokojona Baśka. – Czy ty wiesz, ile waży taki dzwon?
- Nie wiem. A ty wiesz?
- Też nie, ale musi być pioruńsko ciężki. Coś mi świta z historii, że kupę armat przetopili, żeby go zrobić. Słuchaj, dlaczego my właściwie rozmawiamy o dzwonie Zygmunta?
- Wcale nie rozmawiamy o żadnym dzwonie. To tylko taki przykład miał być. Już ci powiedziałam, że wcale nie musisz zakładać go na głowę. Czapka może być.
- A kapelusz? – zainteresowała się Baśka. – Bo mogę od Zuzy pożyczyć.
- Kapelusz, nie kapelusz, a policja włączy ten swój program i mają nas jak na widelcu. Tak w każdym razie było napisane w tej gazecie. I jeszcze, że sobie mogą porównać z taką bazą zdjęć do dowodów czy paszportów i gotowe. – Alicja machnęła z rezygnacją ręką.
- A w tej gazecie było napisane, że to u nas w Zabrzeźnie taki program mają na policji? – zapytała z powątpiewaniem Baśka. – Przecież wszędzie się trąbi, że nasza policja taka niedoinwestowana.
- Nie, to było o amerykańskich policjantach – przypomniała sobie Alicja.
- To czym ty się przejmujesz? – Baśka machnęła lekceważąco ręką. – Przecież zanim to dotrze do naszego prowincjonalnego Zabrzeźna, to wieki miną. Zresztą, jak na razie to nie ma się co martwić o oddanie. Lepiej zastanówmy się, jak odzyskać twój obraz. A jak już go będziemy miały, to znajdzie się też sposób, żebyś go oddała. Najwyżej zostawimy w lesie. W lesie chyba nie ma monitoringu? W końcu ktoś go znajdzie. Teraz jesień jest, to ludzie na grzyby chodzą.
- A jak ktoś wcale nie odda policji, tylko sobie zabierze? – poddała w wątpliwość pomysł przyjaciółki Alicja. – Albo zniszczy, bo nie będzie miał pojęcia, że to takie wielkie dzieło sztuki?
- Naprawdę, już nie masz co wymyślać – fuknęła Baśka. – Lepiej zastanówmy się, jak to dzieło sztuki odkraść tej babie, co je ma. A tak swoją drogą, to ciekawe, skąd ona je ma. Znasz ją?
- Alicja spojrzała na nią zaskoczona.
- A skąd ja mogę wiedzieć? – zapytała. – Przecież to ty ją widziałas, a nie ja. Ja nie mam pojęcia, co to za baba.
- No wiem, wiem! Tylko tak sobie głośno myślę.
- Zajrzałam dzisiaj na forum internetowe Zabrzeźna i dziwne rzeczy tam się dzieją – powiedziała

Łucja, podając Grzegorzowi kieliszek z winem.

– W naszym malutkim, spokojnym miasteczku? – roześmiał się jej mąż. – To niemożliwe. Tam się przecież nigdy nic nie dzieje.

– A jednak! – Łucja pokiwała głową. – I to chyba nawet bardzo blisko naszego domu, bo ktoś podawał ulicę.

– Nie mów, że twoja przyjaciółka spaliła naszą chałupę i nie będziemy mieli dokąd wracać! – Grzegorz udał przerażenie.

– Mamy jeszcze kawalerkę – uspokoiła go.

– I zamieszkamy w niej razem z Alicją, jej facetem, psem i kotem. To będzie fascynujące doświadczenie. Aha! Zapomniałem jeszcze o moim kuzynie Mirku, który właśnie tam koczuje, i o gipsowym krasnalu imieniem Wiesiek.

– Nie wyglupiaj się – ofuknęła go. – Podobno policja w czyimś ogródku znalazła jakiś niewypał i ściągali saperów, żeby go wykopali. Przyznasz, że z tym Alicja raczej nie mogła mieć nic wspólnego.

– Nie jestem taki do końca pewny – mruknął, a potem uchylił się przed poduszką, którą rzuciła w niego żona.

– A ja tak – powiedziała Łucja i rzuciła kolejną poduszkę, tym razem strącając wazon z komody.

– Zresztą rozmawiałam z nią dzisiaj i nic nie wspominała.

– I to jest najlepszy dowód, że miała z tym coś wspólnego. – Grzegorz pokiwał głową. – Chyba powinnaś zacząć przyzwyczajając się do myśli o zamieszkaniu po powrocie w komunie. Nie rzucaj we mnie butami. To przynosi pecha!

Minął już tydzień, odkąd były mąż wprowadził się do jej domu, a właściwie do domu jej przyjaciół, i Alicja zaczynała mieć coraz bardziej dosyć tej sytuacji. To, że Paweł nadskakiwał pani Adzie, a ona była nim coraz bardziej zachwycona, jeszcze jakoś mogła znieść.

– A niech sobie nadskakuje. – Wzruszała ramionami, widząc, jak komplementuje jedzenie i biega z worami śmieci do kublów wystawionych przed domem.

Ale gdy zaczął się zaprzyjaźniać z Szymonem, lekko trafił ją szlag.

– Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi – stwierdził mężczyzna jej życia, gdy wieczorem zwróciła mu uwagę, że w ciągu dnia poświęcił więcej czasu jej eksmężowi niż jej. – Przecież my tylko oglądaliśmy razem mecz. To znaczy ja oglądałem, a on przyszedł później i się przyłączył. Miałem go pogonić?

– Tak – odpowiedziała stanowczo. – Albo mogłeś go poszczuć psem.

– To on też by mnie poszczuł – zwrócił jej uwagę. – Nie zapominaj, że on ma dwa psy, a ja tylko jednego.

– Mógłbyś poszczuć go kotem. Rudy Sto Dwa jest bardzo bojowy i chyba go nie lubi. Maryśka by mu pomogła – burknęła obrażonym tonem Alicja. – Jeszcze się zaprzyjaźnicie i będziecie razem chodzić na mecze Wichru Zabrzeżno. On się z każdym zaprzyjaźnia.

– Ale nie ze mną. Obiecuję ci, że nigdy nie pójde z nim na żaden mecz Wichru Zabrzeżno! – Szymon krzyknął w stronę uchylonych drzwi łazienki, za którymi Alicja warczała szcotecką do zębów, a potem bulgotała przy płukaniu. – A teraz kładź się wreszcie spać. Odkąd przeprowadziliśmy się do domu twoich przyjaciół, to jeszcze mi się nie udało wyspać.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich Alicja.

– Taaak – westchnął Szymon. – To znaczy, że dzisiaj też się nie wyśpię. Ale to chyba dobrze.

Wyciągnął ręce i chwycił ją w pól, a potem wciągnął na łóżko.

– I po co ja się ubierałam? – powiedziała, udając nadąsaną.

– Po to, żebym teraz mógł cię rozebrać. Uwielbiam to robić – mruknął, zdejmując z niej koszulkę.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi, a potem ktoś, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Alicja wrzasnęła i schowała się pod kołdrę.

– Alutek – jęknął Paweł. – Masz te swoje tabletki na bezsenność? Takie w zielonym opakowaniu? Bo ja nie mogę zasnąć.

– Nie mam tabletek w zielonym opakowaniu – rozległo się spod kołdry.
– A w jakim masz? – dopytywał się Paweł.
– W żadnym nie mam – odpowiedziała Alicja, nie wychodząc z ukrycia. – Ani w zielonym, ani w czerwonym, ani nawet w żółtym. Ja doskonale śpię. Teraz też śpię, a ty mnie budzisz. Idź sobie stąd.
– Pod kołdrą śpisz? – zdziwił się eksmąż. – Nigdy nie lubiłaś się przykrywać, bo mówiłaś, że kołdra cię dusi.

– Ale teraz mnie nie dusi. Mam inną kołdrę. – Była żona wystawiła na zewnątrz jedno oko.
– Trudno – westchnął Paweł. – To chyba ubiorę się i pojadę do nocnej apteki.
– Tak, tak. – Szymon nareszcie odzyskał głos po szoku, w jaki wprawiło go wtargnięcie byłego męża Alicji do sypialni w chwili, było nie było, raczej intymnej. – Idź, kolego, i bądź łaskaw nam nie przeszkadzać. Chcemy spać.

– Tak, bardzo chcemy spać – poparł go gorąco głos spod kołdry, a potem wysunęła się spod niej ręką i pogładziła go po plecach.

Paweł westchnął głęboko i wyszedł z ich sypialni. Alicja wysunęła się spod kołdry i w tej samej chwili z wrzaskiem z powrotem pod nią zanurkowała, bo eksmąż znowu wsadził głowę do pokoju.

– Alutek! A nie wymasowałabyś mnie? – zapytał. – Zawsze po tych twoich masażach świetnie mi się spało. To jak? Nie wymasowałabyś mnie?

Zamiast odpowiedzi w jego stronę poleciał drewniak, który był domowym obuwiem Alicji. Paweł zdążył zamknąć drzwi i pocisk z głośnym trzaskiem walnął w futrynę. Po chwili rozległo się skrzypienie schodów.

– Chyba sobie poszedł – stwierdził Szymon. – Ale na wszelki wypadek zamknę drzwi na klucz.

Przekręcił klucz w zamku, a potem wrócił do łóżka. W tym czasie Alicja zdążyła już wyjść spod kołdry.

– Słuchaj... – Szymon ułożył się blisko niej. – Co on mówił o jakimś masażu? Może byś mi taki zrobiła?

– Może bym zrobiła – powiedziała. – Ale musisz mnie bardzo ładnie poprosić.

– To ja cię zaraz bardzo ładnie poproszę.

W tej samej chwili ktoś nacisnął na klamkę i poruszył nią, usiłując dostać się do środka.

– Alutek! – rozległ się zza drzwi głos Pawła. – Jak będę w mieście, to ci coś przywieźć?

– Nie! – warknęła Alicja. – Jest noc i niczego nie potrzebuję.

Po drugiej stronie rozległy się kroki zmierzające ze schodów.

– Albo nie! – krzyknęła nagle. – Jesteś tam jeszcze?

– Jestem! – odkrzyknął były mąż. – Co ci kupić?

– Truskawki – wrzasnęła tak głośno, że Szymonowi zadzwoniło w uszach. – Kup mi truskawki. Ale polskie, nie jakieś tam hiszpańskie. Mam ochotę na polskie truskawki. Kupisz?

– Kupię! – odkrzyknął Paweł.

Słychać było, jak zbiega po schodach.

– Będziesz w nocy jadła te truskawki? – zdziwił się Szymon.

– Oszalałeś, kochanie? – Alicja parsknęła śmiechem. – On o tej porze nigdzie nie dostanie tych parszywych truskawek. Ale przynajmniej będziemy mieli go z głowy na parę godzin. A ja ci zrobię ten masaż.

Następnego dnia rano, gdy Alicja zeszła na dół, na stole czekał na nią koszyczek z truskawkami. Polskimi!

– Gdzie on to kupił? – zastanawiała się na głos.

– Podobno pojechał do gospodarstwa pod miastem, gdzie mają późne odmiany truskawek – odpowiedziała pani Ada, która niepostrzeżenie weszła do kuchni. – I uprosił właściciela, żeby poszedł w środku nocy do szklarni i narwał dla pani. Musi panią bardzo kochać. Teraz śpi. Po takiej nocy to nic dziwnego.

Po tych słowach wyszła z kuchni, a Alicji zrobiło się głupio, że z powodu jej kretyńskiego żartu

jakiś Bogu ducha winny człowiek w środku nocy musiał wyskakiwać z pościeli i zbierać dla niej truskawki. To, czy Paweł darzy ją jakimkolwiek uczuciem, nie obchodziło jej wcale. Dla niej był obcym człowiekiem, mężem innej kobiety, nawet jeśli z powodu głupiej sądowej pomyłki formalnie nadal byli małżeństwem. O tym wszystkim rozmyślała, pogryzając truskawki. Wreszcie został jej tylko plastikowy koszyczek. Podniosła go, żeby wyrzucić do kosza, i wtedy od spodu odkleiła się jakaś karteczka i pofrunęła na podłogę. Podniosła ją i odruchowo zerknęła, co to takiego.

– Delikatesy Maja. Truskawki hiszpańskie, dwieście pięćdziesiąt gram – przeczytała półgłosem. – A to oszust! Pojechał do gospodarstwa pod miastem! Zrywał truskawki w środku nocy! Manipulant! O nie! Dość tego!

Postanowiła, że jeszcze tego samego dnia pojedzie do sądu i zacznie wyjaśnianie sprawy ich rozwodu. Nie chciała być ani chwili dłużej jego żoną, nawet nominalną i wyłącznie na papierze.

– Gdzie się tak spieszysz? – zapytał Szymon, gdy zaraz po śniadaniu zaczęła się zbierać do wyjścia. – Przecież wczoraj mówiłaś, że dzisiaj masz do pracy na późniejszą godzinę.

– Chcę zajrzeć do sądu i załatwić raz na zawsze sprawę rozwodu z Pawłem – wyjaśniła. – Co prawda on mówił, że sam się tym zajmie, ale jakoś nie widzę, żeby cokolwiek robił. Raz już się z nim rozwiodłam, to i drugi raz mogę.

Udała, że nie widzi potępiającego spojrzenia, jakim obrzuciła ją pani Ada, która wróciła do kuchni. Biedny Szymon zupełnie nie rozumiał, dlaczego gosposia zabrała mu sprzed nosa talerz z serem, właśnie w chwili, gdy sięgał po kolejny plasterek. Rzucił Alicji zdumione spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła bezradnie ramionami, posłała mu całusa i wyszła z domu. Sprawdziła po drodze, czy zwierzaki dostały jedzenie. Cała piątka stała nad swoimi miskami i wsuwała aż miło.

– Przynajmniej o was zadbała – mruknęła pod nosem, wsiadając do samochodu. – Mam nadzieję, że biedny Szymon nie da się zagłodzić. Będę musiała pilnować tej Łucjowej gosposi, żeby mu każdego kęsa z gardła nie wrywała. Wszystko wskazuje na to, że uległa czarowi Pawła, a biednego Szymona traktuje jako jego konkurenta, którego należy wyeliminować poprzez zamorzenie głodem. Muszę jak najszybciej pozbyć się Pawła. A zacznę od rozwodu.

– Rozwodów nie będzie – oświadczyła urzędniczka w sądzie i wróciła do przeglądania kolorowej gazety, od której Alicja ją oderwała.

– Jak to nie będzie? – zdziwiła się Alicja.

Kobieta westchnęła głośno, dając jej w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, że niepotrzebnie zawraca jej głowę.

– Nie będzie, bo limity mamy wyczerpane do stycznia przyszłego roku – odpowiedziała blondynka i sięgnęła znowu po gazetę, ale nie dane jej było wrócić do czytania, bo baba stojąca po drugiej stronie szyby nie zamierzała dać za wygraną.

– Jakie limity? – chciała wiedzieć baba. – Nie słyszałam, żeby były jakiegokolwiek limity na rozwody.

– U nas są – odpowiedziała urzędniczka sądowa. – Jesteśmy pierwszym miastem, które je wprowadziło. Ale podobno już się zastanawiają w Warszawie i Krakowie, czy u siebie też nie wprowadzić. Nie czytała pani o tym? Jakies dwa miesiące temu wszystkie gazety o tym pisały.

Dwa miesiące temu! Tak, to by wszystko wyjaśniało. Akurat wtedy, gdy pojechali z Szymonem na wakacje do Chorwacji i ani im w głowie było czytanie jakichkolwiek gazet, tym bardziej polskich.

– Mieliliśmy ciekawsze rzeczy do roboty. – Alicja uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

Urzędniczka już zamierzała wrócić do przerwanej lektury, ale baba po drugiej stronie okienka ciągle nie dawała za wygraną.

– A kiedy będą znowu limity? – zapytała.

– Może w przyszłym roku – otrzymała odpowiedź zza okienka. – Proszę się dowiadywać w styczniu.

– Ale to przecież dopiero za kilka miesięcy! – zaprotestowała. – A ja się chcę rozwieść już teraz. Kobieta westchnęła głęboko i odłożyła gazetę na biurko.

– Przecież tłumaczę pani, że nie ma limitów – odpowiedziała. – Jak nie ma limitów, to żaden sędzia nie weźmie pani sprawy. Poczekaj pani kilka miesięcy, to sprawa trafi na wokandę. Teraz wszyscy sędziowie zajmują się tylko sprawami, które już zaczęli.

Alicji nagle coś przyszło do głowy.

– Zaraz, zaraz! – krzyknęła tak głośno, że aż poniosło się echo po całym biurze podawczym. – Właściwie to ja już dostałam rozwód.

Kobieta zza okienka spojrzała na nią wzrokiem, który – gdyby dało się go położyć na wadze – ważyłby co najmniej tonę.

– To po co pani tu przyszła? – zapytała.

– Bo przysłali państwo pismo, że mój rozwód jest nieważny – wyjaśniła i podała kobiecie kserokopię dokumentu, który dostał z sądu Paweł.

Kobieta przez chwilę studiowała papiery, potem gdzieś poszła, po powrocie dzwoniła i długo dyskutowała z kimś przez telefon szeptem, znowu gdzieś poszła. Alicja poczuła, że zaczynają ją boleć nogi, więc oparła się o blat, który oddzielał ją od urzędniczki, i zaczęła z nudów czytać jakiś artykuł w gazecie, którą kobieta miała rozłożoną na biurku. Był nawet całkiem interesujący – o różnicach w budowie mózgu kobiety i mężczyzny. Niestety, nie dokończyła, bo urzędniczka wróciła i oddała jej papiery.

– Rozprawa w przyszłym miesiącu – powiedziała krótko.

– Dopiero? – zdziwiła się Alicja. – Ale jak to? Ja myślałam, że to będzie jeszcze w tym tygodniu.

Przecież to tylko formalność.

– Proszę pani... – zwróciła się do niej kobieta tonem bardzo oficjalnym. – Tu jest urząd, a nie piekarnia. Nie może się pani rozwieść szybciej, niż wzięła pani ślub. Takie są zasady. Ile czekała pani na ślub?

– Jakiś miesiąc chyba – przypomniała sobie Alicja. – Nie, chyba nawet dwa. Tak, na pewno dwa.

– Sama pani widzi, że rozwód i tak dostanie pani dużo szybciej – skwitowała urzędniczka. –

Przepraszam, ale muszę załatwić pozostałych klientów.

Alicja odwróciła się i zobaczyła, że za nią ustawiona jest już kilkunastoosobowa kolejka. Bardzo wrogo do niej nastawiona kolejka.

– Proszę, tu ma pani potwierdzenie złożenia wniosku – powiedziała urzędniczka i podała jej kartkę. – Do widzenia.

– Jak to wprowadzili limity? Na rozwody wprowadzili? – dziwiła się Baśka, gdy po południu siedziały na przystanku autobusowym.

– Właśnie na rozwody – przytaknęła Alicja i poprawiła czapkę z daszkiem, która opadała jej na oczy.

Czapka była sporo za duża, bo należała do Szymona. Oprócz niej Alicja miała na sobie kurtkę, którą wyciągnęła z szafy Łucji. Miała nadzieję, że przyjaciółka nie będzie miała jej tego za złe. Kurtka była na nią za duża i stanowczo za ciepła na tę porę roku. Ale nie miała innego pomysłu, jak się przebrać, żeby nikt jej nie poznał, jak będzie się włamywać po „Pannę z Monidła”. Chociaż powoli zaczęła tracić nadzieję, że to w ogóle nastąpi. Już chyba dwie godziny siedziały na ławce na przystanku autobusowym naprzeciwko domu, w którym Baśka wypatrzyła kilka dni wcześniej obraz, i czekały, aż jego właścicielka wyjdzie z domu. Ale ona najwidoczniej zamierzała spędzić popołudnie, leżąc na kanapie.

– A mówiłaś, że ona zawsze o tej porze wychodzi – powiedziała z pretensją do Baśki, która siedziała obok niej.

– Specjalnie tu przyjechałam przez ostatnie dni, żeby ją wybać – broniła się przyjaciółka. – Codziennie o tej porze gdzieś jechała. Dopiero dzisiaj jej się odmieniło.

– Może jeszcze wylezie. Poczekajmy trochę. A w ogóle, to skąd ty masz taki odjechany kapelusz?

– Pożyczyłam od siostry, znaczy od Zuzy – odpowiedziała Baśka i poprawiła kapelusz z czarnej słomki z wielkim rondem. – Nie wiem po co, ale ona bez przerwy kupuje kapelusze. A potem upycha je

w szafie, bo nie ma pomysłu, do czego je nosić. Ale ten akurat się przydał do zamaskowania. Chyba nikt mnie w nim nie pozna? Tylko woalka strasznie mnie wkurza. Zastanawiałam się nawet, czy nie oderwać tej firanki, ale Zuza by mi tego nie darowała. Już i tak musiałam prawie na klęczkach obiecywać, że jej nie zniszczę tego precyzyjnego nakrycia głowy.

– Na pewno nie – zapewniła ją Alicja. – Ja sama bym cię nigdy nie poznała. Tylko nie wiem, czy się za bardzo nie rzucamy w oczy. Ja w tej zimowej kurtce, a ty w kapeluszu z czarną woalką. I zastanawiam się, czy jak my to ukradniemy, a gdzieś nas nagrają, to nie będą później ściagać twojej siostry. Wiesz, jak założy ten kapelusz i wylezie na miasto.

– W czarnym kapeluszu z woalką? – Baśka wyduła usta. – Nawet Zuzka nie jest taka szalona. Przecież to się nadaje tylko na pogrzeb. Nie wiem, po co ona to kupiła, ale na miejscu jej męża to bym się chyba zaczęła bać. Jak przymierzyła to szkaradzieństwo przy mnie, to wyglądała jak czarna wdowa.

– Chyba go nie otruje? – poddała w wątpliwość słowa przyjaciółki Alicja.

– Nie, chyba nie. – Baśka fuknęła rozeźlona, bo woalka wlaźła jej do nosa, więc założyła sobie koniec za ucho. – Już tak długo są małżeństwem, że chyba się uodpornił na te świństwa, które ona pichci. Zresztą, ostatnio nawet się wyrobiła i już nie gotuje klusek z gipsu.

– Klusek z gipsu? – powtórzyła z niedowierzaniem Alicja. – Ktoś je zjadł i zmarł w ciężkich męczarniach? Nie, chyba na szczęście nie, bo inaczej twoja siostra siedziałaby za morderstwo z premedytacją.

– Bez premedytacji, bo ta jełopa pomyliła mąkę z gipsem – doprecyzowała Baśka. – Szwagier zjadł, ale skończyło się tylko na obstrukcji. To lekarz, więc oni są odporni.

– Na trucizny? – zdziwiła się przyjaciółka.

– Nie, na kiepskie żarcie – wyjaśniła Baśka. – Chyba gorzej niż w polskich szpitalach to nigdzie nie karmią.

– Też fakt. – Alicja kiwnęła głową, a potem podniosła daszek czapki, który spadł jej na oczy, i rozejrzała się po okolicy.

– A pamiętam, jak kiedyś... – Baśka urwała, bo miejsce obok niej było puste.

Wstała i obesła przystanek.

– Co ty tu robisz? – zapytała ze zdziwieniem na widok Alicji przykucniętej za krzakiem.

– On tam jeszcze jest? – zapytała szeptem przyjaciółka.

– Ale kto? – nie zrozumiała Baśka.

– Przecież ten facet tam – odpowiedziała Alicja.

– Jaki facet? Gdzie ty tu widzisz faceta? A, ten! No jest – potwierdziła Baśka. – Ale dlaczego ty się przed nim chowasz?

– Bo to taki jeden mój znajomy. – Alicja naciągnęła czapkę Szymona na oczy. – I ja nie chcę, żeby on mnie rozpoznał.

– W tym stroju to raczej nie. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Chyba że już cię wcześniej widywał w za dużej zimowej kurtce i męskiej bejsbolówce.

– Nie widywał. Za to ostatnio, jak go spotkałam, to byłam wymalowana jak panienka lekkich obyczajów – rozległ się głos zza krzaka. – Zasłoń mnie, bo on się tu patrzy.

Mężczyzna przeszedł obok przystanku autobusowego i zatrzymał się, aby z zainteresowaniem przyjrzeć się kobiecie w czarnym kapeluszu z woalką, która rozmawiała z krzakiem jałowca. Przez chwilę nawet myślał, że mówi do niego, ale chyba nie. Podeszedł bliżej.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała nieznajoma. – Ja tu sobie tylko siedzę i czekam na autobus.

W tej chwili, jakby przywołany jej słowami, autobus podjechał i otworzył drzwi dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stali. Mężczyzna spojrział wyczekująco na Baśkę, ale ona ani drgnęła.

– Ja czekam na inny – powiedziała.

– Aha. – Kiwnął głową.

Kobieta nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się go szybko pozbyć. Odszedł kilka kroków i odwrócił się. Coś mu nie pasowało. Jasne! Przecież z tego przystanku

odjeżdżał tylko jeden autobus – ten, który zatrzymał się przed chwilą. Na co więc czekała dziwacznie ubrana nieznajoma? Wiedział, że to nie jego sprawa i że nie powinien tego robić, ale ciekawość zawodowa nie pozwoliła mu oddalić się z miejsca. Schował się za krzakami po drugiej stronie przystanku. Po chwili wystawił ostrożnie głowę. Kobieta w kapeluszu z woalką stała nieruchomo, spoglądając tam, gdzie zniknął.

Może czeka tutaj na kochanka? – przyszło mu do głowy. – Na pewno. W takim razie nie mam tu nic do szukania.

Już zamierzał wycofać się z kryjówki, gdy nagle kobieta rozejrzała się uważnie wokoło, a nie widząc nikogo w pobliżu, poruszyła ustami, jakby coś do kogoś mówiła.

– Wariatka, co gada do siebie? – mruknął po nosem.

Ale sprawa szybko się wyjaśniła, bo krzaki za przystankiem poruszyły się i ktoś z nich wyszedł.

– Kochanek? – zdziwił się, przyglądając uważnie postaci zakutanej w zimową kurtkę.

Gdy jednak domniemany kochanek odwrócił się w jego stronę, okazało się, że to kobieta. No cóż...

– Poszedł sobie? – zapytała Alicja i rozejrzała się wokół.

– Poszedł, poszedł – westchnęła Baśka. – A już myślałam, że do zimy się stąd nie ruszy. Może my też pójdziemy? Ta upiorna baba chyba od dzisiaj zmieniła swoje zwyczaje i nosa nawet nie wychyli za drzwi.

Policjant przyglądał się ze zdumieniem całej scenie. Co, u licha, te dwie dziwacznie ubrane kobiety kombinowały? Bo że coś kombinowały, to było więcej niż pewne. Żeby dojść do tej konkluzji, nie potrzebował nawet zawodowej intuicji. Nagle ta, która przed chwilą wylazła z krzaków, w których siedziała nie wiadomo po co, zdjęła bejsbolówkę i potrząsnęła głową. I w tej samej chwili ją poznał. Tak, nie mógł się mylić. To była ona! Dziewczyna, którą poznał kilka lat wcześniej na Mazurach. Spotkali się kilka razy i myślał, że coś z tego będzie. Zaproponował jej nawet wspólny rejs dookoła świata żaglówką, którą wtedy budował (ciągle jej nie skończył), ale kobieta nagle zniknęła. Miała przyjść na kolejne spotkanie, ale nie pojawiła się. Poszedł do hotelu, gdzie mieszkała, ale już jej nie zastał. Koleżanki powiedziały, że musiała wrócić do domu. Nie chciały mu dać jej adresu ani numeru telefonu. Zostawił swój, ale nie zadzwoniła. Nawet chciał przyjechać za nią do Zabrzeźna, bo wiedział, że tam właśnie mieszka, ale w końcu zrezygnował. A teraz stała kilkanaście kroków od niego, nie wiadomo dlaczego w ciepły jesienny dzień ubrana w zimową kurtkę i męską czapkę. Poznał ją po tym ruchu, jakim odrzucała do tyłu włosy. Powinien wyjść z ukrycia i przywitać się, czy raczej posiedzieć i zobaczyć, co będzie dalej? Wybrał to drugie, bo właściwie to nie wiedział, co miałby jej powiedzieć. Może: „Cześć, widziałem, jak wylazisz z krzaków i postanowiłem się przywitać?”. Albo: „Co za niesamowity zbieg okoliczności! Idę sobie ulicą w twoim rodzinnym mieście, zaglądam w krzaki i widzę ciebie! Może wyskoczmy na kawę?”.

Obydwa te pomysły były idiotyczne. Z drugiej strony nie chciał znowu stracić jej z oczu. Zniknie za rogiem, jak wtedy na Mazurach, a następnego dnia okaże się, że pojechała do Australii. Postanowił, że wyjdzie i przywita się jak gdyby nigdy nic.

– Tak, to będzie najlepsze – mruknął pod nosem i już zamierzał opuścić kryjówkę, ale zahaczył nogą o jakiś korzeń i o mało nie wywinął orła.

Gdy się pozbierał, kobiet za przystankiem już nie było.

– No tak – westchnął. – Znowu mi uciekłaś, Alicjo.

Ale gdy rozejrzał się uważniej, zauważył, że jego znajoma i jej towarzyszka w wielkim czarnym kapeluszu chowają się za jednym z samochodów zaparkowanych obok chodnika. Obserwowały jeden z domów. Z ciekawości też zaczął mu się przyglądać. Z domu właśnie wychodziła jakaś kobieta. Zamknęła drzwi, rozejrzała się wokoło, a potem schowała klucz pod jedną z doniczek stojących na podjeździe.

Skrajna nieodpowiedzialność. – Pokiwał głową z politowaniem. – Przecież złodziej może obserwować właśnie dom i teraz bez problemu wejdzie. Nawet zamka nie będzie musiał wyłamywać, żeby się dostać do środka.

Kobieta weszła do garażu, a po chwili wyjechała stamtąd samochodem. Samochód zniknął za zakrętem, a mechanizm powoli zaczął z powrotem zamykać wjazd na posesję. Ale zanim wejście się zatrzasnęło, z chodnika zerwały się dwie figurki, do tej pory przyczajone za czarnym audi, i wbiegły do środka.

– Coś takiego! – Policjant zerwał się na równe nogi. – Co one chcą zrobić? Oszalały?

Wyskoczył z kryjówki i przez sztachety w płocie patrzył zdumiony, jak jego znajoma wyciąga spod doniczki klucz, podaje swojej przyjaciółce, a ta otwiera drzwi. Weszły do środka, a on przeskoczył przez ogrodzenie i popędził za nimi.

Paweł Gawel wracał właśnie z obiadu do swojego gabinetu, gdy obok niego przebiegło dwóch podwładnych, o mało nie przewracając swojego szefa.

– Gdzie tak pędzicie? – zapytał.

– Było włamanie na Kasztanowej! – krzyknął jeden z policjantów.

– Dzwonił sąsiad – dodał drugi. – Włamywacze są podobno jeszcze w środku. Mamy szansę złapać ich na gorącym uczynku.

Pobiegli dalej, a on stał przed drzwiami z ręką na klamce i jakoś nie miał ochoty wejść do środka. Wiedział, że czeka tam na niego góra formularzy do wypełnienia. Ile by dał, żeby pojechać ze swoimi ludźmi na akcję.

– A właściwie dlaczego nie? – mruknął pod nosem, a potem krzyknął głośno do oddalających się podwładnych: – Poczekajcie, jadę z wami!

– To mówiłaś, że gdzie ten obraz miał być? – zapytała szeptem Alicja, rozglądając się po domu, do którego przed chwilą się włamała.

– W pokoju, który widać z ulicy – również szeptem odpowiedziała Baśka. – To chyba powinien być ten na lewo.

Alicja weszła jako pierwsza do wskazanego przez przyjaciółkę pomieszczenia i rozejrzała się uważnie.

– Tu jest! – krzyknęła Baśka i pokazała na ścianę. – Zdejmujemy i wiejemy?

– Zaraz, zaraz! – powstrzymała ją współniczka tego kuriozalnego włamania. – Ten mój nie był w ramach.

– To co z tego? Ukradli i sobie oprawili. Przecież nie mogli powiesić na ścianie bez ramy.

– Nie wiem... – Alicja ciągle miała wątpliwości. – Na tym moim baba jakaś taka inna była. Twarz miała bardziej pyzată i nos jakiś inny... Taki bardziej jak kartofel.

– Może od tego wiszenia na ścianie schudła? – zniecierpliwiona Baśka machnęła ręką. – Ty byś nie schudła, jakbyś tak powisała parę tygodni?

Z taką argumentacją trudno było się nie zgodzić.

– Ty się lepiej zastanów, jak my go stąd wyniesiemy i do ciebie do domu dotargamy. – Baśka lekko odchyliła ramę od ściany. – To musi być pioruńsko ciężkie. Rama wygląda na jakąś solidną, dębową.

– Później będziemy się zastanawiać – zdecydowała Alicja. – Może uda nam się to jakoś zawinąć w moją kurtkę. Teraz zdejmujemy. Chwyć z drugiej strony. Trzymasz?

– Trzymam – potwierdziła przyjaciółka. – Au! Przytrzasnął mi palec.

– Sorry! To chyba nie jest dębowa rama, tylko cały dąb – sapnęła Alicja. – Taki najstarszy w Polsce. Jak on się nazywa?

– Bartek chyba. A może Mieszko albo Jagiełło? Nie wiem. Już, mamy go!

Postawiły obraz na podłodze i oparły go o ścianę.

– I co dalej? – zapytała Baśka. – Może powinniśmy zadzwonić po taksówkę?

Mocując się z obrazem, zupełnie nie zwróciły uwagi na to, że przez okno przygląda im się jakiś mężczyzna. Widząc, co robią, wszedł przez drzwi, które włamywaczki otworzyły, i stanął w drzwiach pokoju.

– To pan jest taksówkarzem? Ale kiedy zdążyłaś zadzwonić po taksówkę? – zdziwiła się Baśka, nie patrząc na mężczyznę. – Pomoże nam pan to wytaszczyć na zewnątrz?

– Raczej nie – odpowiedział mężczyzna. – I paniom też nie radzę. Proszę ten obraz odwieść i opuścić dom. Ze względu na naszą znajomość nie chcę wzywać policji.

– Znajomość? Jaką znajomość? – zdziwiła się Baśka. – Ja pana wcale nie znam.

– Ale ja tak – jęknęła jej przyjaciółka. – To ten policjant z Mazur.

– Faktycznie! A to niezły pasztet! Aresztuje nas pan?

– Nie, ale proszę szybko powiesić to z powrotem, wyjść i odłożyć klucz pod doniczkę – mężczyzna odpowiedział na pytanie Baśki, ale patrzył przy tym na Alicję, która z kolei robiła wszystko, żeby uniknąć jego wzroku.

Baśka spróbowała podnieść obraz.

– Obawiam się, że nie damy rady! – krzyknęła. – W dół jakoś łatwiej szło. Pomoże pan?

– Pomogę. Oczywiście, że pomogę. – Mężczyzna podszedł bliżej.

Wspólnymi siłami wtargali malowidło z powrotem na hak.

– Gotowe! Teraz, moje panie, szybko wychodzimy – zarządził policjant i otworzył drzwi wejściowe, a potem przytrzymał je, czekając, aż włamywaczki opuszczą miejsce przestępstwa.

Zamknął drzwi i schował klucz pod doniczkę, a potem ruszył na przełaj przez trawnik w stronę płotu. Zatrzymał się przy ogrodzeniu i spojrzał na Baśkę i Alicję.

– Przechodźcie pierwsze – zarządził.

Baśka odrzuciła do tyłu czarną woalkę i spojrzała krytycznie na parkan.

– Mowy nie ma! Ja tędy nie przejdę – oświadczyła.

– Ale innej drogi nie ma – przekonywał policjant.

– To może zrobimy podkop? – zaproponowała Alicja, której słabo się zrobiło na samą myśl, że miałyby się wspiąć tak wysoko. Ona miała lęk wysokości, nawet jak musiała wejść na krzesło.

– Podkop? – Baśka spojrzała na nią z przerażeniem – Ja tam do żadnego tunelu nie wleżę. Mam klaustrofobię.

Sytuacja była patowa.

– Zaraz! – krzyknęła Alicja. – Przecież w domu musi być przycisk do otwierania bramy. U Łucji jest coś takiego tuż obok drzwi wejściowych.

Pobiegła z powrotem w stronę domu, wyciągnęła kluczyk spod doniczki i pokazała triumfalnie.

– Super! – ucieszyła się Baśka. – Otwieraj tę bramę.

Nagle gdzieś na sąsiedniej ulicy rozległa się syrena i po chwili pod bramą pojawił się policyjny radiowóz.

– Świetnie! – pomyślała Alicja, ale zamiast rzucić klucz w diabły, zastygła z ręką uniesioną w kierunku zamka.

– Proszę natychmiast odsunąć się od drzwi i otworzyć bramę – zażądał policjant, który wysiadł z radiowozu.

Posłusznie odstąpiła kilka kroków do tyłu.

– Dlaczego pani nie otwiera? – zapytał zniecierpliwiony policjant.

– Bo przycisk jest w środku – odpowiedziała.

– To proszę tam wejść i nam otworzyć. – Z radiowozu wysiadł komendant Gaweł.

– Ale tamten pan kazał mi się odsunąć. – Chciała wskazać winowajcę, machnęła ręką i klucz upadł jej w trawę.

Rzuciła się na kolana i zaczęła szukać.

– Co pani robi? – krzyknął ze zdziwieniem komendant.

– Szukam klucza, bo mi gdzieś tu upadł! – odkrzyknęła.

– Szefie, ja wiem, jak się otwiera taką bramę – powiedział jeden z policjantów. – Tam po drugiej stronie na murze jest taki przycisk, żeby nie trzeba było za każdym razem latać do domu, jak się chce otworzyć.

– No tak! A my się potem zastanawiamy, jak złodzieje te bramy otwierają – mruknął pod nosem,

a potem krzyknął do Alicji. – Niech pani poszuka przycisku i otworzy nam bramę.

Po chwili policyjny radiowóz wjechał na posesję. Tuż za nim wszedł energicznym krokiem Paweł Gawęł.

– Karol? – spojrzał ze zdziwieniem na policjanta, który jakiś czas temu został oddelegowany do jego zabrzeziańskiej komendy z małej miejscowości na Mazurach. – A ty co tu robisz? Pomagałeś tym dwóm paniom we włamaniu?

– Ten pan nam wcale nie pomagał – powiedziała Baśka, wyłaniając się z cienia. – On nam przeszkodził we włamaniu.

– A więc pani się przyznaje? – zapytał Paweł Gawęł i przyjrzał się uważnie pierwszej w jego karierze włamywaczce złapanej na gorącym uczynku.

Co prawda kiedyś, jeszcze jako szeregowy policjant, został wezwany do włamania, ale wtedy okazało się, że sąsiedzi wszczęli fałszywy alarm, bo właścicielka mieszkania buszowała w nim po ciemku. Zaraz, zaraz... Jak ona się nazywała? Zuzanna Roszkowska! Jakiś czas temu dzwonił do niego kuzyn, który też był policjantem, we wsi o dziwacznej nazwie Bangladesz. Podobno przeprowadziła się tam i rozpętała od razu jakąś aferę, że niby kogoś porwano. To akurat było do niej podobne.

A może ona wróciła do Zabrzeźna? – przyszło mu nagle do głowy.

Przyjrzał się uważnie obydwu kobietom i odetchnął z ulgą. Nie, żadna z nich nie była Zuzanną Roszkowską. Co prawda nie widział jej od dosyć dawna, ale aż tak nie mogła się zmienić. Ale nagle przez głowę przebiegła mu myśl, że ona, to znaczy ta Roszkowska, miała siostrę albo kuzynkę. Musiał to sprawdzić, inaczej nie zaśnie spokojnie.

– Czy któraś z pań nie nazywa się przypadkiem Roszkowska? – zapytał.

Obydwie panie pokręciły przecząco głowami. Ulżyło mu, ale okazało się, że o kilka sekund za wcześnie, bo nagle jedna z zagadniętych powiedziała:

– Moja siostra nazywa się Roszkowska. Zuzanna Roszkowska.

Czyli jednak przecucie, że ta cała Roszkowska tkwi gdzieś w tej całej sprawie, nie myliło go. Ale co właściwie nasunęło mu skojarzenie z tą całą Roszkowską? Chyba absurdalność całej tej sytuacji. Dwie dziwnie ubrane kobiety – jedna w gigantycznym kapeluszu z czarną woalką, druga w zimowej kurtce, chociaż było kilkanaście stopni na plusie. I jeszcze do tego jego podwładny zamieszany w sprawę włamania.

– Pan zna moją siostrę? – kontynuowała kobieta w kapeluszu z woalką. – Tak! Już poznaję! Spotkaliśmy się, jak Zuza włamała się do swojego mieszkania. Pan posterunkowy Paweł Gawęł!

– Komendant – sprostował w jego imieniu jeden z towarzyszących mu policjantów.

– Gratuluję awansu. Powiem Zuzie, to się ucieszy i na pewno do pana zadzwoni – odpowiedziała Baśka.

– Ona nie mieszka chyba teraz w Zabrzeźnie? – zapytał Paweł Gawęł z obawą w głosie.

– Ależ mieszka, mieszka – odpowiedziała Baśka. – Jej mężowi skończył się kontrakt w tym parszywym Bangladeszu i wrócili. Nawet ostatnio mówiła, że chętnie by pana odwiedziła i pogadała o starych sprawach, w rozwiązaniu których pomagała, jak pan był jeszcze posterunkowym. Śmiała się, że chętnie by znowu jakąś rozwiązała.

Policjant poczuł, jak po krzyżu przelatują mu lodowate ciarki. Każda sprawa, w którą mieszała się siostra tej kobiety, wspinała się na wyżyny absurdu. Miał nadzieję, że jej siostra aż takiego pola rażenia nie ma. A jeśli to u nich genetyczne? Nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo nagle ktoś zaczął krzyczeć mu nad uchem. Ocknął się z zamyślenia i rozejrzał wokoło. Dwa kroki od niego stała jakaś kobieta i wymachiwała gaśnicą samochodową.

Dlaczego gaśnicą i dlaczego krzyczy? – przyszło mu do głowy. – Aha, to właścicielka domu.

– Co to ma znaczyć? – wykrzykiwała kobieta, każdy wyraz podkreślając ekspresyjnymi ruchami gaśnicy. – Proszę natychmiast stąd wyjść, bo wezwę policję.

– My właśnie jesteśmy z policji – próbował ją uspokoić jeden z policjantów. – Dostaliśmy zawiadomienie, że ktoś się do pani włamuje, i przyjechaliśmy. Proszę się nie denerwować.

– Najlepiej wejdźmy wszyscy do środka – zaproponował Paweł Gawęł. – Tam wszystko

wyjaśnimy i zdecydujemy, co dalej. I przede wszystkim sprawdzi pani, czy z domu nic nie zginęło.

Kobieta sięgnęła pod doniczkę. Przez chwilę macała zawzięcie.

– Nie ma – powiedziała, prostując się. – Klucza nie ma.

– Przepraszam, ja go miałam, ale znowu mi gdzieś zginął. – Speszona Alicja najpierw rozejrzała się wokoło, a potem zaczęła grzebać w kieszeniach zimowej kurtki. Wyciągała z nich kolejne przedmioty: małe karteczki samoprzylepne, dwa klucze, tzw. „rowerowe trzynastki”, zieloną rękawiczkę, wyschnięte na kamień skórki z mandarynki, garść psich chrupek, kocie ciasteczko i bandaż. Ten bandaż rozwinął jej się w kieszeni, więc teraz przez dłuższą chwilę go wyciągała po kawałku, a wszyscy obecni patrzyli, jakby spodziewali się, że na jego końcu zobaczą coś niezwykłego. I mieli rację, bo do bandaża przyczepił się... klucz. Nawet nie pamiętała, w którym momencie schowała go do tej kieszeni. Często pakowała do torebki czy kieszeni to, co akurat trzymała w dłoniach. W ten właśnie sposób wylądowały tam te klucze rowerowe, które Szymon kazał jej potrzymać, gdy ostatnio regulował sobie siodełko, oraz bandaż, z którym ściagała przed spacerem Paszteta, żeby obwiązać mu skaleczoną łapę. A teraz ten klucz.

Jeszcze chwila i wszyscy zaczną mnie uważać za kleptomankę – pomyślała i podała klucz właścicielce domu.

Kobieta otworzyła drzwi i wszyscy wpakowali się do środka. Zrobiło się trochę tłoczno, więc komendant odesłał swoich ludzi do radiowozu.

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać – powiedział. – Pozwoli pani, że usiądziemy?

– Proszę bardzo – odpowiedziała kobieta, choć na zachwyconą niespodziewanymi gośćmi nie wyglądała.

Komendant usadowił się w fotelu pod obrazem, który przez chwilę Baśka z Alicją usiłowały ukraść, to znaczy odkraść. Pozostali usiedli naprzeciwko niego na krzesłach i kanapie.

– Może pani sprawdzić, czy coś nie zginęło? – Paweł Gawęł przypomniał gospodyni.

– Ale my nic nie zabrałyśmy – oburzyła się Baśka.

– Bardzo mi przykro, ale takie są procedury – wyjaśnił komendant.

Kobieta podniosła się i podeszła do komody, na której stała kasetka. Taka, w jakiej wiele osób przechowuje biżuterię. Otworzyła ją i zaczęła przeglądać zawartość. Trwało to tak długo, że Paweł Gawęł zaczął się wreszcie niecierpliwić.

– Już pani sprawdziła? – zapytał wreszcie. – Wszystko jest na swoim miejscu?

– Nie jestem pewna – odpowiedziała powoli kobieta. – Chyba tak. Chociaż... Tu powinien być jeszcze jeden pierścionek. Bardzo cenny, pamiątka rodzinna. Nie widzę go nigdzie.

Komendant spojrzał pytającym wzrokiem na obydwie kobiety i swojego podwładnego.

– Ja nie podchodziłem nawet do komody – powiedział Karol.

– Ja też nie – przyłączyła się Baśka.

Alicja chciała powtórzyć słowa przyjaciółki, ale nagle głos uwiązł jej w gardle. Przecież ona stała przez dłuższą chwilę obok tej komody! Może bezwiednie zajrzała do środka i tak jak z tym kluczem – schowała pierścionek do kieszeni. Jak go u niej znajdą, to razem z próbą kradzieży obrazu uzbiera się na dożywocie. Już widziała siebie w więziennym pasiaku i z wielką żelazną kulą na łańcuchu przykutym do nogi.

– A nie! Już wiem! Schowałam go tutaj! – krzyknęła kobieta, po czym otworzyła szufladę i wyciągnęła pierścionek takiej wielkości, że jego noszenie na placu groziłoby złamaniem tegoż.

Alicja odetchnęła z ulgą. Wizja kuli u nogi i więziennego pasiaka nieco przybladła, choć nie zniknęła zupełnie, bo przecież ciągle miała na sumieniu włamanie do cudzego domu.

Ale może przynajmniej ta kula będzie lżejsza – pocieszyła się w myślach.

– To mamy załatwione – powiedział komendant Gawęł. – Może w takim razie przejdźmy do sprawy zasadniczej.

Tu zawiesił głos i spojrzał ciężkim wzrokiem na obydwie kobiety siedzące naprzeciwko niego, a potem na swojego współpracownika. Na koniec westchnął tak głęboko, że Alicja miała wrażenia, jakby od tego westchnienia poruszył się obraz wiszący nad głową komendanta.

– Dlaczego pani się tu włamały? – zapytał Paweł Gawel.

– Bo chciałyśmy odzyskać obraz – odpowiedziała Baśka.

– Jaki obraz? – zdziwiła się właścicielka mieszkania.

– Ten ukradziony z muzeum. – Alicja postanowiła wesprzeć przyjaciółkę. W końcu, było nie było, to ona wpakowała je w kłopoty, które mogły się skończyć tym, że zaraz obydwie wylądują w areszcie. – Ten, kto go ukradł, przysłał mi go przez pomyłkę. Tylko że ja jeszcze wtedy nie wiedziałam, że było włamanie.

– To dlaczego pani nie oddała tego obrazu? – zdziwiła się pani domu i dyskretnie (tak jej się przynajmniej wydawało) przeliczyła sztucce, które w ozdobnej kasetce stały na komodzie obok szkatułki z biżuterią.

– Bo go gdzieś schowałam i nie pamiętam gdzie – przyznała Alicja.

– I szukała go pani u mnie? – zdziwiła się kobieta. – Dlaczego akurat u mnie?

– Bo on tu jest! – krzyknęły chórem Alicja i Baśka.

Nie wiadomo, czy od ich krzyku, czy z powodu obluźwanego haka, nagle obraz runął ze ściany. Pewnie spadłby na głowę komendanta i zważywszy na grubość oraz wagę dębowej ramy, najprawdopodobniej zakończyłby jego dopiero co rozpoczętą błyskotliwą karierę komendanta posterunku policji w Zabrzeżnie, gdyby nie Karol. Widząc chwiejący się obraz, rzucił się w stronę szefa i w ostatniej chwili zepchnął go z fotela. Sekundę później dokładnie w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą tkwiła głowa komendanta, uderzyła potężna rama.

– O matka jedyna – jęknął Paweł Gawel i odruchowo pogłodził się po głowie, jakby sprawdzając, czy na pewno jest cała. – Dzięki. A pani powinna lepiej zabezpieczyć obraz. Przecież mógł kogoś zabić. Fotel stoi akurat pod nim.

Pokręcił głową, jakby chcąc się nią nacieszyć.

Obraz podniesiono i postawiono „twarzą” do ściany. Komendant usiadł w fotelu. Po chwili jednak wstał i przesunął go bardziej na środek pokoju. Tak na wszelki wypadek, choć na ścianie nie wisiał już żaden obraz.

– O czym to mówiliśmy, zanim ten obraz zleciał ze ściany? – usiłował sobie przypomnieć.

– O obrazie – przypomniała mu Alicja.

– Tak, faktycznie – przytaknął komendant, który ciągle jeszcze nie wyszedł z szoku po tym, jak cudem uniknął dekapitacji. – Pani mówiły, że włamały się tutaj, bo...

– ...bo chciałyśmy odzyskać obraz, który został skradziony z muzeum – dokończyła Alicja. – Ten, co mi zginął.

– A mówiła pani, że ktoś go pani przysłał – powiedziała podejrzliwym tonem właścicielka domu.

– Najpierw ktoś mi go przysłał, a potem ja go gdzieś schowałam albo ktoś mi go ukradł. I dopiero koleżanka wypatrzyła go w tym domu.

– Ja wypatrzyłam – potwierdziła Baśka. – Właśnie w domu tej pani wypatrzyłam.

– W moim domu? – krzyknęła oburzona gospodyni. – Po co pani zaglądała do mojego domu?

– Przypadkiem zobaczyłam, jak czekałam na autobus na przystanku naprzeciwko – broniła się Baśka. – Jakby pani nie trzymała tu obrazu skradzionego z muzeum, to bym nic nie wypatrzyła.

– Jakiego obrazu skradzionego z muzeum? – oburzyła się kobieta. – Ja nie mam w swoim domu żadnego kradzionego obrazu. Mogę panią oskarżyć o zniesławienie.

Oburzona współniczka Alicji nabrała powietrza, chcąc odpowiedzieć, ale nie zdążyła.

– Drogie panie! – krzyknął Paweł Gawel. – Proszę o spokój. Zaraz całą sprawę postaramy się wyjaśnić. Jeśli jest tu przedmiot skradziony z muzeum, to zaraz go znajdziemy i sprawa się wyjaśni. To gdzie jest ten obraz?

– Tutaj! – powiedziały chórem Baśka i Alicja, wskazując na dębową ramę opartą o ścianę.

– Ten? – upewnił się komendant.

– Tak. – Alicja kiwnęła głową.

– Ależ to jakaś bzdura! – krzyknęła właścicielka obrazu oburzonym głosem. – To jest obraz, który zamówiliśmy z mężem zaraz po naszym ślubie.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł jakiś mężczyzna, który wydawał się Alicji dziwnie znajomy. Ale dopiero, gdy się odezwał, skojarzyła, gdzie się już spotkali.

– Wtedy w szpitalu mówiła pani, że nie zna Zenka. – Uśmiechnął się do niej. – A ja od początku wiedziałem, że musieliście się spotkać.

– Jak to? – nie zrozumiała. – Ja nie znam pańskiego znajomego.

– To co pani robi w jego domu? – zdziwił się, a potem zwrócił się do gospodyni. – Jest Zenek? Bo sprawę mam do niego.

– Nie ma – krótko odpowiedziała zagadnięta. – Wróci późno. Interesy załatwia gdzieś za miastem.

– Jaka szkoda – mruknął mężczyzna, a potem rozejrzał się po pokoju i spostrzegł obraz oparty o ścianę. – Teraz sobie przypomniałem, że nie opowiedziałem pani do końca, co się przytrafiło temu mojemu znajomemu. Temu Zenkowi, co tu mieszka. Bo wtedy w szpitalu nie zdążyłem. Ten Zenek siedział w barze Zacisze i nagle, jak nie pierdyknie obraz, co tam wisiał na ścianie. Chciał uskoczyć, ale spodnie mu się zaklinowały w oparciu. Jak wtedy pani. I go walnęło w głowę. Jola, ile on miał szwów wtedy?

– Czternaście – odpowiedziała pani domu, a potem nie wiadomo dlaczego zachichotała. Ale widząc zdziwione spojrzenia obecnych, szybko się uspokoiła. – A ty, Heniek, to lepiej jutro przyjdź.

– Nie. – Mężczyzna machnął ręką. – Jutro to mi się nie będzie chciało. Ja lepiej poczekam na niego.

I nie czekając na zaproszenie, usiadł na wolnym krześle. Komendant Gawel westchnął głęboko.

– To o czym my tutaj... – zastanowił się. – A! Już wiem! Panie utrzymują, że ten obraz został skradziony z naszego muzeum regionalnego.

– Bzdura! – huknęła gromko pani domu. – Heniek, powiedz im!

– Ale co? – nie zrozumiał mężczyzna, który intensywnie przyglądał się Baśce.

– Powiedz im, że na tym obrazie to jesteśmy my, to znaczy Zenek i ja. No, przecież byłeś na naszym ślubie. Co prawda uchlałeś się do nieprzytomności, ale dopiero godzinę po rozpoczęciu przyjęcia, no to coś musisz pamiętać.

– No właśnie, że nie bardzo – westchnął Heniek, ale Jola spojrzała na niego w taki sposób, że natychmiast się poprawił: – To znaczy coś tam pamiętam. Tak bardziej ogólnie, mniej więcej do rosolu z makaronem.

– Odwróćcie ten obraz – polecił Paweł Gawel, a sam sięgnął po teczkę, którą po wejściu zostawił na stole, i wyciągnął wydruk malowidła, które zginęło z muzeum.

Wszyscy zebrani pochyliли się nad stołem. Nawet ciągle trochę naburmuszona Jola zerknęła z zaciekawieniem.

– Takie same! – krzyknęła Baśka.

– Nie. – Alicja pokręciła głową. – Wcale nie takie same.

– Racja! – Karol spojrział na wydruk, a potem na stojący pod ścianą obraz. – Ubrania takie same, ale twarze zupełnie inne. To chyba coś takiego jak na wiejskich festynach mają czasami. Deska z wycięciem, do którego wsadza się głowę. Pewnie obydwie zostały zamówione u tego samego malarza, a ten ułatwił sobie zadanie.

– To teraz już wiem, dlaczego zawsze jak trochę wypiliśmy z Zenkiem, to wydawało mi się, że jestem u siebie w domu, a to moje monidło – to znaczy moje i Renatki, żony mojej! – krzyknął Heniek.

– To ja teraz też już wiem, dlaczego się od ciebie opędzić nie mogliśmy – fuknęła Jola. – Jakżeś przylazł raz w środę, to w następny wtorek jeszcze mi wyżerałeś resztki z lodówki. Zaraz, zaraz... Co ty tam trzymasz? Kiełbasa podsuszana!

– Bo tak jakoś zgłodniałem.

– Wynocha mi stąd zaraz. Wszyscy wynocha! – krzyknęła rozeźlona gospodyni.

– Ale musimy jeszcze zakończyć sprawę włamania – stwierdził Paweł Gawel. – Musimy spisać pani zeznania, a technicy pewnie będą chcieli obejrzeć dom.

– Nie! – wrzasnęła Jola. – Żadnych zeznań, żadnych techników, żadnego domu! Jeszcze mi do

reszty lodówkę opróżnicie.

– Czy to znaczy, że nie złoży pani zawiadomienia o włamaniu? – upewnił się Karol.

– Nie złożę. – Przy tych słowach Jola nabrała powietrza, a potem wypuściła je ze świstem świadczącym o wysokim stopniu irytacji. – Mogę nawet zeznać, że te panie były ze mną umówione na herbatkę i kiełbasę, to znaczy ciasteczka, jeśli tylko dzięki temu będę miała nareszcie święty spokój we własnym domu.

Tak, bardziej dosadnie już nie dało się wyrazić pragnienia, żeby wreszcie całe towarzystwo poszło won.

– W tej sytuacji, jak nie ma zgłoszenia o włamaniu, to już chyba zakończymy tutaj – powiedział komendant.

Gdy wszyscy wyszli na zewnątrz, kobieta z wyraźną satysfakcją zatrzasnęła drzwi. W pierwszym odruchu chciała schować klucz pod doniczką, ale potem spojrzała na Alicję i Baškę i ostantacyjnym ruchem wrzuciła go do torebki.

– Może panowie wyjadą tym radiowozem, żeby bramę mogła zamknąć – powiedziała.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedział Paweł Gaweł. – Chłopaki, wyjeżdżamy!

Baška i Alicja ruszyły śladem radiowozu.

– Panie niech poczekają! – krzyknął za nimi komendant. – Musimy jeszcze spisać zeznanie.

– Ale ta pani przecież powiedziała, że się nie włamałyśmy – odpowiedziała Baška. – To po co zeznanie?

– Pani jest wolna, ale musimy z pani przyjaciółką porozmawiać na temat obrazu, który ktoś jej przysłał. Może pani przyjedzie do nas jutro? – zaproponował Paweł Gaweł. – I dobrze byłoby, żeby sobie pani jednak przypomniała, co się stało z tym obrazem.

Te ostatnie słowa zabrzmiały tak złowieszczo, że Alicji lodowate ciarki przeszły po plecach.

– Czy ja będę oskarżona o kradzież obrazu? – zapytała.

– Tego nie powiedziałem – uspokoił ją policjant. – Ale może pani pomóc w jego odzyskaniu. I proszę podać nazwisko tego sąsiada, który pani wtedy dał przesyłkę.

– Karasek – odpowiedziała Alicja. – Nazywa się Karasek. Mieszka...

Już miała podać adres, gdy nagle na przystanku, obok którego wszyscy stali, zatrzymał się autobus i wyskoczył z niego Bartek. Na widok koleżanek z pracy w otoczeniu policjantów najpierw zatrzymał się, jakby nieco zaskoczony, a potem chyba podjął jakąś decyzję, bo ruszył stanowczym krokiem w ich kierunku.

– Czy one są aresztowane? – zapytał, spoglądając z nadzieją na policyjny radiowóz.

– Nie, skąd – odpowiedział mu Paweł Gaweł. – Skąd to panu przyszło do głowy?

– No tak... – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Pewnie nie ma przeciwko nim żadnych dowodów? Ja na szczęście wszystko tu mam spisane.

Po tych słowach z triumfem wyciągnął z kieszeni kurtki czarny notesik i pomachał nim przed nosem Pawła Gawła.

– Ale co ma pan spisane? – zdziwił się komendant, równocześnie robiąc krok do tyłu. Jakoś nie wiadomo dlaczego ten świst plastikowej okładki skojarzył mu się z hurkotem dębowej ramy sunącej po ścianie w stronę jego głowy.

– Kiedy i o czym rozmawiały oskarżone – wyjaśnił Bartek. – Oczywiście tyle, ile udało mi się podsłuchać i samemu wydedukować.

– Odczep się! – fuknęła Baška. – My nie jesteśmy o nic oskarżone.

Jeden z policjantów wziął od Bartka czarny notes i zaczął go wertować.

– Interesujące, prawda? – zapytał po chwili Bartek.

– Nie wiem, czy nazwałbym to interesującym – odpowiedział policjant. – Ale na pewno brzmią bardzo apetycznie. O, tu na przykład jest przepis na moje ulubione gołąbki z kaszą gryczaną.

– O! Przepraszam – zreflektował się Bartek. – To mój notes z przepisami. Zaraz, zaraz... Tu gdzieś powinienem mieć ten drugi. Może w plecaku?

W czasie gdy on przeszukiwał plecak, Baška podeszła do policjanta, który wciąż przerzucał kartki

notatnika. Stała za jego plecami, spoglądała na przepisy i z sekundy na sekundę jej oczy robiły się coraz większe, a policzki coraz bardziej czerwone. Wreszcie nie wytrzymała.

– To są moje przepisy! – krzyknęła oficerowi prosto do ucha tak głośno, że aż podskoczył. – Wszystko moje przepisy. Ukradłeś je! I kto tu jest kradziejem? Chciałam powiedzieć: złodziejem.

– Ja ich wcale nie ukradłem – bronił się Bartek. – Tak spisywałem, jakbyś gdzieś je zgubiła.

– Jak miałabym je zgubić, jak ja je wszystkie na pamięć znam? – zapytała ironicznie Baśka i ze złości przekrzywiła sobie kapelusz z woalką, żeby lepiej widzieć niegodziwca, który wykradł jej własność intelektualną.

– Właśnie dlatego! – powiedział mężczyzna. – Jakbyś uderzyła się w głowę, to wszystko byś zapomniała. To się czasem zdarza. Oglądałem ostatnio film kryminalny i tam właśnie była taka sytuacja. Jeden detektyw już był na tropie zabójcy i wpadł pod samochód, i doznał urazu głowy. – Zwrot „uraz głowy” wypowiedział z prawdziwym namaszczeniem. – A jak się obudził w szpitalu, to nic nie pamiętał. Na szczęście opowiedział najlepszemu przyjacielowi o swoich podejrzeniach. Inaczej przestępca pozostałby bezkarny.

– Nie jestem detektywem, to po pierwsze – wycedziła złowieszczym tonem Baśka. – Nikogo nie tropię. Za to mogę palnąć cię za to, że szpiegowalesz mnie i Alicję.

Zrobiła krok w jego stronę, a Bartek na wszelki wypadek ukrył się za plecami Pawła Gawła.

– To jest groźba karalna! – krzyknął. – Proszę ją aresztować.

– Przepraszam, ale czy mógłby pan sprecyzować, za co mam tę panią zakuć w kajdanki? – zapytał poważnym tonem komendant, ale kąciki ust drgały mu od tłumionego śmiechu. – Najpierw chciał pan, żebym ją aresztował za kradzież obrazu, a teraz za groźby karalne.

– Nie pokazuj się w mojej kuchni, bo cię tasakiem posiekam! – wrzasnęła Baśka.

– Sam pan słyszy! – krzyknął mężczyzna i chwycił policjanta za rękaw. – Domagam się ochrony. Całodobowej! Ona jest niepoczytalna.

– Proszę zajrzeć na komendę, to zobaczymy, co da się zrobić. – Paweł Gaweł pogładził się po głowie ruchem, który powoli zaczynał wchodzić mu w nawyk. – Ale na razie możemy pana odwiedzić do domu. Czy znalazł pan ten notatnik ze swoimi zapiskami na temat spotkań tych dwóch pań, które miałyby świadczyć o tym, że są zamieszane w kradzież?

– Nie – odpowiedział Bartek. – Może zostawiłem w domu albo w pracy...

– To niech pan się do nas zgłosi, jak pan znajdzie – poradził mu policjant. – Zdecydujemy, co z tym zrobić. Proszę tu poczekać, przyślemy po pana radiowóz. Panie już są wolne. Tylko panią – tu zwrócił się do Alicji – proszę o zgłoszenie się jutro do nas do komendy. Musimy spisać zeznania w sprawie tego zaginionego obrazu.

Bartek spojrzał na Baśkę, która nie spuszczała z niego morderczego wzroku.

– To ja chyba nie będę czekał na ten radiowóz – powiedział i wskoczył do autobusu, który akurat podjechał na przystanek.

– Gdzie ten bałwan pojechał? – zapytała ze zdziwieniem Alicja, gdy pojazd komunikacji miejskiej oddalił się. – Przecież do domu to on musi w drugą stronę.

– Najwyżej sobie wysiadzie na następnym przystanku. – Baśka machnęła ręką.

Nagle autobus pojawił się znowu.

– Objazd jest, bo rura pękła – wyjaśnił policjant. – Widzieliśmy, jak tu jechaliśmy. Wszystkie autobusy zawracają dwie ulice dalej.

Pojazd zatrzymał się znowu na przystanku, akurat naprzeciwko grupki złożonej z dwóch kobiet i policjantów. Drzwi otworzyły i Bartek zobaczył naprzeciwko siebie Baśkę. Tak się przeraził, że wyskoczył z pojazdu, przesadził w dwóch susach ulicę tuż przed przejeżdżającym samochodem i zniknął za rogiem.

– I dobrze mu tak – powiedziała mściwie Baśka.

Policjanci odjechali, a przyjaciółki ruszyły śladem radiowozu. Po chwili doszły do skrzyżowania, gdzie ich drogi się rozchodziły.

– Dobra – powiedziała Baśka. – To trzymaj się. I nie daj się jutro wpakować do pudła. W razie

czego będę zbierać pieniądze na kaucję dla ciebie. Postawimy puszkę w recepcji. Zresztą sławna jesteś, w telewizji cię pokazywali, to ludzie będą nam wrzucali pieniądze przez okno. Łopatą nie zdążymy wygarniać.

– Przystań sobie jaja robić! – fuknęła Alicja. – Mam nadzieję, że nikt tego idiotycznego wywiadu nie widział.

– A ja myślę, że oglądało całe miasto – roześmiała się przyjaciółka. – I na przykład zaraz ktoś cię poprosi o autograf. O, na przykład ta pani w zielonym swetrze. Zobaczysz, że zaraz do nas podejdziesz.

Ale kobieta przeszła obok, nie poświęcając im zupełnie uwagi. Alicja odetchnęła z ulgą.

– Weź się przestań wygłupiać – warknęła. – Zawału przez ciebie dostanę.

– Przepraszam... – rozległo się nagle za ich plecami.

Odwróciły się i zobaczyły kobietę w zielonym swetrze. Alicja wciągnęła ze świstem powietrze, a Baśka dostała ataku śmiechu.

– Przepraszam. – Kobieta spojrzała na nie ze zdziwieniem. – Czy panie wiedzą może, gdzie jest ulica Smyczkowa?

Alicja wypuściła powietrze, a Baśka przestała się śmiać, za to na odmianę dostała czkawki.

– To będzie druga w lewo – odpowiedziała. – Tam, gdzie ten dom z zielonym dachem.

– Dziękuję bardzo – odpowiedziała kobieta, ale nie ruszyła się z miejsca. Stała i przypatrywała się Alicji, jakby coś rozważając. Wreszcie powiedziała: – Ja chyba panią znam.

– Nie, na pewno nie – zaprzeczyła zagadnięta.

– Ależ na pewno tak – wycedziła jadowitym szeptem do jej ucha Baśka.

– Widziałam panią w telewizji – powiedziała kobieta. – Czy dałaby mi pani autograf?

Alicja miała ochotę odwrócić się i zwiać ile sił w nogach. Ale jakoś tak głupio jej było uciekać przed obcą kobietą. No i w końcu z własnej woli wystąpiła w tej durnej telewizji, więc teraz powinna z godnością nieść brzemię popularności.

– Bardzo chętnie – uśmiechnęła się. – Ma pani może jakąś kartkę?

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedziała bardzo uradowana kobieta i zaczęła grzebać w torbie.

– Mam tylko to.

Alicja wzięła od niej rachunek za zakupy, wyciągnęła z torebki długopis, napisała dedykację i podpisała się. Podała kartkę kobiecie. Ta spojrzała i na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie.

– To pani nie jest aktorką z tego serialu? – zapytała.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą Alicja.

– A ja myślałam, że tak – powiedziała kobieta tonem pretensji, a potem wcisnęła Alicji rachunek w rękę i oddaliła się szybko. Zanim skręciła w ulicę Smyczkową, zatrzymała się, odwróciła, spojrzała na tę, która nie była serialową gwiazdą, i wyraźnie oburzona wruszyła kilka razy ramionami. A potem oddaliła się.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała Alicja.

– Bo to zabawne było – odpowiedziała przyjaciółka. Parsknęła jeszcze raz śmiechem, a potem spoważniała. – Przepraszam. To nie z ciebie się śmiałam, tylko z tej całej sytuacji. Co zrobisz z tym swoim autografem?

– A co mam niby zrobić? – Przyjaciółka wruszyła ramionami. – Chyba podrę i wyrzucę do kosza.

– Nie, coś ty! Daj mi. – Baśka wyciągnęła rękę.

– Po co ci? – zdziwiła się Alicja. – To rachunek na pięć kilo ziemniaków, trzy kilo cebuli i dwadzieścia kilo żółtego sera.

– Dwadzieścia kilo żółtego sera? Po co komuś tyle żółtego sera? I jak ona to wszystko upchnęła w torbie?

– A nie! Wróć! To było dwadzieścia deko żółtego sera – sprostowała przyjaciółka. – Zresztą nieważne. Niechby i tona twarogu...

– Żółtego sera – wpadła jej w słowa Baśka.

– Niechby i wagon żółtego sera. Na kij ci ten rachunek?

– Nie rachunek, ale twój autograf. Sprzedam go kiedyś za ciężkie pieniądze i będę mogła rzucić tę parszywą robotę w hotelu – rozmarzyła się przyjaciółka.

– Masz. – Alicja podała jej świstek.

Baśka złożyła go starannie i już zamierzała schować do kieszeni, gdy nagle rozległ się hurkot wózka zakupowego i zza zakrętu wyłoniła się znajoma kobieta w zielonym swetrze. Jednym susem pokonała odległość dzielącą ją od dwóch przyjaciółek.

– Pani ma mój rachunek ze sklepu – powiedziała i wycelowała oskarżycielsko palec w Alicję.

– To ja mam pani rachunek – odpowiedziała w imieniu Alicji Baśka i podała kobiecie świstek.

Ta rozwinęła go i uważnie obejrzała.

– Zgadza się – powiedziała, po czym oddaliła się z powrotem w stronę ulicy Smyczkowej.

– Dobrze, że nie podarłaś tego kwitka. – Baśka pokiwała głową. – Obawiam się, że wtedy ta kobieta mogłaby nas pobić. Nie dość, że bezczelnie podszywałaś się pod jakąś serialową gwiazdę, to jeszcze zniszczyłaś unikatowy rachunek za twaróg.

– Ser żółty – sprostowała odruchowo przyjaciółka. – Wiesz co? Ja już idę, bo ona może zaraz wrócić i naprawdę mnie pobije.

Pożegnały się i Alicja ruszyła w stronę domu. Miała już dosyć tego dnia i marzyła o tym, żeby wczolgać się do łóżka, przykryć kołdrą i udawać, że jej nie ma. Czasami tak robiła w dzieciństwie, gdy ktoś jej dokuczył albo coś bardzo ją rozczarowało.

– Dzisiaj też tak zrobię – postanowiła, otwierając bramę domu. – Może tylko Szymonowi pozwolę, żeby razem ze mną wszedł pod tę kołdrę.

Ten pomysł wyraźnie poprawił jej humor.

– Tak właśnie zrobię – postanowiła i dziarskim krokiem weszła do salonu.

Ledwo jednak przekroczyła próg, a stanęła jak wryta. Wszędzie były rozwieszzone baloniki i girlandy z papieru. A przez środek pokoju, od ściany do drzwi, biegł transparent, na którym Paweł (pознаła jego kulfony) napisał: „Wszystkiego najlepszego, kochanie!”. Miała ochotę zapytać, co się dzieje w domu jej zacnej przyjaciółki Łucji, ale nie miała kogo, bo wszystkich gdzieś wymiotło. Usiadła na kanapie i przymknęła oczy. Nagle...

– Sto lat! – rozległy się tuż za jej plecami okrzyki tak głośne, że przerażona zerwała się z kanapy.

Drzwi na taras były otwarte i stali w nich Szymon, Paweł i pani Ada. Panowie z kwiatami, gosposia z tortem.

– Co tu się dzieje? – zapytała i pokazała na dekoracje i transparent.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – powiedział Szymon i wręczył jej bukiet.

Przyjęła go odruchowo i dała się wyściskać i wycalować mężczyźnie swojego życia. Gdy jednak to samo chciał zrobić Paweł, cofnęła się i na wszelki wypadek stanęła za fotelem.

– Czyj to pomysł? – zapytała.

– Mój! – powiedział z dumą były mąż. – Zawsze lubiłaś takie imprezy.

– Nie znosiłam ich – odparła. – Zawsze ci to powtarzałam, jak proponowałeś, żebyśmy zrobili jakąś. Dałam się namówić tylko na parapetówkę.

– Naprawdę? – zdziwił się Paweł. – Mnie się wydawało, że lubiłaś.

– Widocznie z kimś mnie pomyliłeś – odpowiedziała.

Starła się wtłoczyć w to krótkie zdanie tyle jadu, ile tylko zdołała. Paweł jednak w ogóle tego nie dostrzegł. Cały on!

– Może, może... – powiedział. – Ale jak już tak wszystko przygotowaliśmy, to może wyjątkowo...

To też było bardzo w jego stylu. Ile razy tak było, że ona nie miała ochoty na wyjazd czy wyjście, a on rezerwował, zamawiał, kupował i stawiał ją przed faktem dokonanym.

Stawiał, ale już nie postawi! – pomyślała.

Otwierała usta, żeby powiedzieć byłemu mężowi, co o tym wszystkim myśli, gdy nagle do drzwi wyjściowych ktoś załomotał.

– Kto to może być? – zapytała pani Ada, odkładając tort na stół. – I jak wszedł przez furtkę?

– Chyba zapomniałam zamknąć – powiedział Alicja.

Tajemniczy gość huknął jeszcze dwa razy pięścią w drzwi, a potem, nie przejmując się brakiem zaproszenia, wparował do środka.

– Tina? – wykrztusił zdumiony Paweł. – Co ty tu robisz, kochanie?

– Przyjechałam po ciebie – oświadczyła kobieta i usiadła na kanapie. – Musisz natychmiast wrócić ze mną do domu. Byłam wczoraj u fryzjera...

– Świetna fryzura – wtrąciła się Alicja, która niespodziewanie poczuła sympatię do kochanki swojego męża. Całe morze sympatii. Nie, to mało powiedziane. Cały ocean sympatii. – Bardzo twarzowa.

– Dziękuję. – Tania spojrzała na nią podejrzliwie, a potem przeniosła wzrok z powrotem na męża.

– Co to ja mówiłam? Aha! Byłam u fryzjera i masz wracać do domu.

– Fryzjer ci tak powiedział? – zapytał Paweł.

– Fryzjerka – doprecyzowała Tania. – To bardzo doświadczona kobieta i ona mi powiedziała, że takie rozstania często kończą się rozwodem. A ja nie chcę się z tobą rozwodzić, Pimejku!

Po tych słowach zarzuciła mu ramiona na szyję i zawisła bezwładnie.

– Pimejku? – Alicja zakrztusiła się.

– Kochanie! – wyrzucił Paweł, próbując uwolnić się od uścisku Tani. – Ale co na to powie ksiądz proboszcz?

– Jaki ksiądz, Pimejku? – Tania mocniej zacisnęła ręce na jego szyi.

– Ten, co ci powiedział, że nie możemy mieszkać razem, dopóki nie mam rozwodu z Alicją. –

Paweł jakoś w końcu oswoił się z jej objęciem. – Poszłaś do niego, bo nie było prądu u fryzjera. Pamiętasz?

– A, tak! Ale awarię już usunęli – wyjaśniła. – Cieszysz się, prawda?

– Że usunęli awarię? – zapytał.

– Nie, głuptasku! – Parsknęła śmiechem. – Że znowu możemy być razem.

– Ależ oczywiście, że się cieszysz – zapewniła ją Alicja. – Prawda, Pimejku, że się cieszysz?

Paweł spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy sobie z niego kpi, ale udało jej się zachować kamienną twarz.

– Ale może powinienem zostać jeszcze trochę? – zapytał. – Mógłbym się przydać... Może trzeba ogródek skopać? Albo drewno ułożyć w drewnitni.

Pani Ada już otwierała usta, żeby powiedzieć, że właściwie pomoc by się przydała, ale Alicja nie pozwoliła jej dojść do słowa.

– Nie, nie! – krzyknęła i zamachała rękami. – Poradzimy sobie jakoś bez ciebie. Naprawdę. Żona na pewno się za tobą stęskniła, a ty za nią, i marzycie, żeby spędzić trochę czasu razem.

Były mąż spojrzał na nią wzrokiem zranionego łabędzia, który błaga o ratunek, ale udała, że tego nie widzi.

Niech teraz ma za swoje! – pomyślała z satysfakcją.

– To może chociaż do jutra zostanę? – spróbował jeszcze. – Bo wiesz... Muszę się spakować i w ogóle.

– Ja ci zaraz pomogę, Pimejku! – powiedziała Alicja.

– Nie trzeba – mruknął Paweł i z miną skazańca powłókł się do pokoju, który zajmował podczas swojego pobytu w domu Łucji.

W oczekiwaniu na niego Tania rozsiadła się wygodnie na kanapie i rozejrzała wokoło.

– Piękny dom – powiedziała. – Naprawdę piękny! To pański?

Pytanie było skierowane do Szymona, a towarzyszył mu czarujący w zamyśle uśmiech i uwodzicielskie machanie rękami.

– Niestety. – Szymon bezradnie rozłożył ręce.

Tania westchnęła dyskretnie, uśmiech zgasł, rzęsy znieruchomiały.

– To w takim razie musi być pani dom – skonstatowała niegdysiejsza rywalka.

Przez chwilę w milczeniu coś rozważała, aż wreszcie na twarz wypłynął jej triumfalny uśmiech.

– Ale ponieważ nie ma pani rozwodu z Pawłem, to chyba połowa należy do niego – stwierdziła.
– Niestety – odpowiedziała z udawanym żalem Alicja. – To dom moich przyjaciół, którzy wyjechali za granicę.

– Trudno... – Tania skrzywiła się i jeszcze raz rozejrzała po pokoju, tym razem z wyraźnym żalem.

Jej wzrok zatrzymał się na talerzu z ciasteczkami stojącym na komodzie.

– Czy mogę się poczęstować? – zapytała. – Wyglądają bardzo apetycznie.

– Oczywiście! – Alicja podsunęła jej bliżej smakołyki. – Ja niestety nie mogę.

Niegdysiejsza rywalka o serce Pawła zmierzyła ją krytycznym wzrokiem.

– Jaka szkoda – powiedziała, nie starając się ukryć satysfakcji. – Ja na szczęście jestem szczupła.

Ledwo wsadziła ciasteczko do ust, gdy niespodziewanie spod kominka zerwał się Pasztet, podbiegł do niej i zaczął szczekać jak oszalały. Natychmiast z ogrodu przybiegły Hula i Hop i przyłączyły się do niego.

– Co im się stało? – zapytała przerażona Tania.

– Bo pani wzięła jego ciasteczka – odpowiedziała pani Ada, wyglądając z kuchni. – Postawiłam na komodzie, żeby za szybko się do nich nie dobrał, bo zżarłby od razu wszystkie.

– Pasztet! – krzyknęła Alicja. – Przestań! Pani poczęstowała się tylko jednym ciasteczkiem. Nie ma o co robić afery. Masz w szafce w kuchni całą pakę.

Widać było, że Tania walczy z chęcią wyplucia psiej przekąski na dywan. Jednak opanowała się i tylko wykrztusiła:

– Czy mogę skorzystać z łazienki?

– Tak, drugie drzwi w korytarzu – powiedziała uprzejmie Alicja.

Po chwili Tania wróciła, blada, a nawet jakby lekko zielonkawa.

– To mi nie zaszkodzi? – zapytała, siadając na kanapie.

Alicja już zamierzała powiedzieć mściwie, że pewności nie ma, ale uprzedził ją Szymon.

– W żadnym wypadku – zapewnił gościa. – Znam doskonale skład, bo jestem weterynarzem.

Tania poprawiła się na kanapie. Policzki jej poróżowiały i wyraźnie odzyskała wigor i dobry humor.

– Naprawdę jest pan weterynarzem? – zaszczębiotała radośnie. – Ma pan pewnie prywatną klinikę weterynaryjną. To teraz podobno bardzo dochodowy biznes.

Alicja przez ułamek sekundy rozważała rozbicie ukochanego wazonu Łucji na głowie tej podstępnej żmii (przyjaciółka na pewno by jej to wybaczyła), ale poczuła, jak Szymon obejmuje ją w pasie i cała złość natychmiast wyparowała.

– Nie wiem, czy dochodowy – odpowiedział mężczyzna jej życia. – Nie mam prywatnej kliniki.

– Ale mógłby pan założyć. Widziałam w centrum doskonale miejsce na taką klinikę. Można by to świetnie urządzać – snuła swoje wizje Tania. – Zielony marmur na ścianie i koniecznie drewniana podłoga.

Wazon Łucji znowu zaczął kusić, ale na szczęście dla niego i dla jego właścicielki w salonie zjawił się Paweł z rzeczami spakowanymi w... walizkę Grzegorza.

– Pożyczyłem sobie, bo nie miałem do czego się zabrać – wyjaśnił, widząc zdumiony wzrok Alicji. – Wpadnę za kilka dni, to oddam.

– Tak, tak, Pigmekju! – zaszczębiotała radośnie Tania. – Razem wpadniemy. Pan... Przepraszam, ale chyba nas sobie nie przedstawiono...

– Szymon – przedstawił się odruchowo mężczyzna.

– Właśnie! Pan Szymon otwiera prywatną klinikę weterynaryjną i poprosił mnie o radę, jak zaprojektować wnętrze. Przywiozę katalogi, jak przyjedziemy z tą walizką.

– Ja chyba jednak zrezygnuję z walizki – stwierdził Paweł i ruszył do pokoju.

Po chwili wyszedł z rzeczami spakowanymi do niebieskiego śmieciowego worka.

– Możemy jechać – powiedział, objął Tanię i pchnął lekko w stronę drzwi.

– To może ja chociaż zostawię panu Szymonowi swój numer telefonu?

– Jak pan Szymon będzie chciał się z tobą skontaktować, to Alicja zna nasz domowy numer – stwierdził stanowczo Paweł. – Idziemy. Hula i Hop! Wracamy do domu.

Psy ze zwieszonymi ogonami podreptały za swoim panem, co chwilę odwracając łby i patrząc z zalem na Paszteta. Tania zatrzymała się w drzwiach.

– A może pan Szymon zająłby się naszymi psami? – powiedziała i posłała weterynarzowi uwodzicielski uśmiech, który Paweł doskonale znał. – Mógłby pan do nas zajrzeć w przyszłym tygodniu?

– Pan Szymon na pewno ma mnóstwo własnych pacjentów i nie będzie miał czasu przyjechać do Malinówki – powiedział eksmąż Alicji i stanowczo wypchnął Tanię za drzwi.

– Poszli. – Alicja odetchnęła z ulgą, a potem rzuciła się na kanapę. – Co tu jest?

Podniosła się i wyciągnęła zza poduszki damski zegarek. Na kopercie miał wygrawerowany napis: „Z okazji naszej rocznicy od kochającego Pawła”.

– O nie! – Chwyliła zegarek i wybiegła z domu.

Rozejrzała się. Tania i Paweł zmierzali w stronę parkingu. Puściła się kłusem w ich kierunku, a za nią pobiegł Pasztet.

– Zapomniała pani – wydyszała, gdy dogoniła ich w połowie drogi.

– Najwidoczniej zsunął mi się z ręki – powiedziała kwaśno Tania i założyła zegarek.

– A gdzie masz pierścionek zaręczynowy? – zapytał Paweł.

– Chyba też mi się zsunął, Pigmejku. – Tania zrobiła bezradną minę. – Pewnie schudłam okropnie ostatnio, bo tak za tobą tęskniłam. Może wrócę i poszukam? Ten przemiły pan Szymon mi pomoże, a ty tu poczekaj z panią Alicją i psami.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała z uśmiechem Alicja i wyciągnęła z kieszeni dzinsów pierścionek. – Na szczęście też znalazłam. Do widzenia.

– Do widzenia – powiedział Paweł i pociągnął Tanię za rękę.

Odeszli kilka kroków i zaczęli się kłócić. Alicja nie miała ochoty tego słuchać, więc szybkim krokiem oddaliła się w stronę domu. Zastała Szymona przy zdejmowaniu transparentu.

– Zostaw to – powiedziała z uśmiechem. – Zmieniłam zdanie i mam ochotę dzisiaj poświętować. Czuję, że jednak polubię swoje urodziny!

Alicja zaparkowała przed komendą i weszła do środka. Jeden z policjantów, na szczęście nie Karol Szastarek, poprowadził ją do gabinetu komendanta. Musiała jeszcze raz opowiedzieć całą historię z zaginionym obrazem, która została zaprotokołowana. Podpisała we wskazanym miejscu i już miała wyjść, gdy do gabinetu wszedł jej znajomy.

– Co jest, Karol? – zapytał Paweł Gawel. – Dobra, opowiesz mi za chwilę, a teraz może odprowadź panią do wyjścia.

– Tylko że ja właśnie w tej sprawie – odpowiedział podwładny i tak jakoś dziwnie spojrzął na Alicję.

– W jakiej sprawie, mów jaśniej – zażądał szef.

– Bo przyszedł jeden pan i twierdzi, że ta pani ukradła mu obraz – powiedział Karol, unikając wzroku dawnej znajomej.

Jeszcze jeden? – pomyślał Paweł Gawel. Spojrzął ciężkim wzrokiem na siedzącą naprzeciwko kobietę, a potem polecił:

– No to wprowadź go.

Ku zdumieniu Alicji do gabinetu wszedł jej sąsiad z czasów, gdy jeszcze mieszkała w kawalerce Łucji. To znaczy, tak jej się w pierwszej chwili zdawało. Bo gdy przyjrzała mu się uważniej, dostrzegła, że nie był tak łysy jak pan Karasek z jedenastego piętra – w przeciwieństwie do jej sąsiada zostało mu trochę włosów na czubku głowy.

– Zaginął obraz – oświadczył, omiatając obojętnym wzorkiem kobietę siedzącą przy biurku. – Wysłałem go kilka tygodni temu do kuzyna. Zadzwoiłem do niego, żeby schował dobrze, bo to cenne dzieło sztuki, ale go nie zastałem. Wnuczce kazałem przekazać wiadomość. A smarkata najpierw zapomniała, a potem wyjechała do rodziców. Teraz wróciłem z sanatorium, pojechałem do kuzyna, a ten

powiedział, że dał obraz jakiejś kobiecie, która mieszkała w sąsiednim mieszkaniu. A ona zabrała obraz i zniknęła.

– Jak nazywa się ten kuzyn? – zapytała Alicja.

– Jak się nazywa? – Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem. – Karasek się nazywa, jak ja. Tylko że ja Bronisław, a on Stanisław.

– To pan jest tym malarzem, który podarował obraz muzeum w Zabrzeźnie. – Paweł Gawęł nareszcie skojarzył przybyłego z natrętem, który w ostatnich tygodniach wydzwaniał na komendę i żądał odnalezienia bezcennego dzieła sztuki.

– No właśnie podarowałem, a teraz jakaś baba go ukradła – warknął Karasek Drugi.

Paweł Gawęł zamrugął zaskoczony. Jeszcze kilka dni wcześniej marzył, żeby w Zabrzeźnie coś się zaczęło dziać, bo inaczej zlikwidują mu posterunek. Ale teraz działo się stanowczo aż za dużo.

– A skąd pan miał obraz, który wisiał w muzeum? – zapytał Karol Szastarek.

Pan Karasek milczał przez chwilę, a potem westchnął.

– To ja już wszystko powiem – oświadczył. – Jestem malarzem i żyję z malowania portretów ślubnych. Monidło się taki portret nazywa. Ale ostatnio nie miałem już prawie zamówień. Przeczytałem w gazecie, że jakiś malarz włamał się do muzeum i ukradł własny obraz, żeby być bardziej sławnym. No to ja też ukradłem.

– I zrobił się pan sławny? – zapytał Karol.

– A jakże – odpowiedział z dumą pan Karasek. – Mam pełno zamówień.

– Niewykluczone, że za tę kradzież trafi pan do więzienia – uświadomił mu komendant.

– A, to nic nie szkodzi. – Mężczyzna machnął ręką. – Będę sobie w celi malował. Spokoju przynajmniej trochę będzie. Zona mi nie będzie bez przerwy brzęczeć nad uchem, żebym się wziął do jakiejś porządnej roboty i mieszkania zaczął malować.

Paweł Gawęł przez chwilę zastanawiał się, czy też czegoś nie ukraść, żeby odpocząć w celi. Mieli bardzo komfortowe pomieszczenia dla aresztantów na komendzie w Zabrzeźnie.

– Ale jak udało się panu wynieść ten obraz z muzeum? – zapytał. – Nie było żadnych śladów włamania.

– No, bo ja się nie włamywałem. – Malarz Karasek wzruszył ramionami. – Wszedłem, zdjąłem obraz ze ściany i wyniosłem pod kurtką. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wyczytałem w tej samej gazecie, że tak jeden facet ukradł „Mona Lisę”.

Alicja wyszła z budynku policji. Czowała się, jakby po raz drugi walnięto ją w łeb. Nigdy nie wpadłaby na to, że to gang łysych Karasków zrobił napad na muzeum. I że ona zostanie ich współniczką, bo jako ostatnia miała obraz i na dodatek zgubiła go.

Począpiała do samochodu. Musiała jechać do domu, żeby przygotować się do wieczornej imprezy rozwodowej. Na szczęście przynajmniej tam obyło się bez jakichś spektakularnych katastrof. Bo do takich trudno było zaliczyć to, że ktoś pomylił drzwi i wszedł do magazynu z trumnami. Albo że w połowie imprezy elektrownia wyłączyła prąd i trzeba było oświetlić pomieszczenie świecami, a jedyne, jakie znaleziono, to były gromnice. Obydwa te incydenty wstawione i rozbawione towarzystwo uznało za doskonałą okazję, żeby urządzić seans wywoływania duchów. Wybór ducha, który miał zostać ściągnięty z zaświatów, pozostawiono głównej bohaterce wieczoru. Pani Jadwiga, która świętowała swój rozwód, zdecydowała, że będzie to jej wujek Józek, który zmarł dwadzieścia lat wcześniej.

– A udało się go odesłać z powrotem? – zapytała Karolina, która wraz z Ewą odwiedziła Alicję następnego dnia.

– Jak to odesłać? – nie zrozumiała Alicja.

– Jeśli przyszedł z zaświatów, to musi przecież tam wrócić. Dlatego potrzebne są specjalne formułki, które mają mu to ułatwić. Inaczej może się przez wiele lat błąkać po świecie. Moja prababcia mi opowiadała, że raz uczestniczyła w seansie spirytystycznym. To było jeszcze przed wojną. Wtedy były bardzo modne takie rzeczy. No i wywołano jakiegoś ducha, ale nie odesłano z powrotem w zaświaty. I on przychodził po kolei do wszystkich, którzy w tym seansie brali udział, i błagał ich, żeby

pomogli mu wrócić.

– I co? – zainteresowała się Ewa i napełniła szklanki przyjaciółek.

– A nie wiem, bo zaczęło się lato, babcia wyjechała z Zabrzeżna, a potem zaczęła się wojna. – Karolina wzruszyła ramionami. – Może ciągle się tu płacze ten duch? Może to ten sam, który był u ciebie na imprezie, Ala?

– Nie, ten mój to zmarł ponoć dwadzieścia lat temu. A przed śmiercią kwit do pralni gdzieś schował i od tamtej pory cała rodzina szuka i nie może znaleźć. Przyjemnie pachnie ten nowy drink.

– Ale po co im kwit do pralni? – nie rozumiała Karolina. – I to sprzed dwudziestu lat. Faktycznie, przyjemny zapach. Coś ty tam namieszała?

– Bo to był kwit na marynarke, a w marynarce następny kwit, znaczy kupon totolotka – tłumaczyła Alicja.

– Chyba zaczynam się gubić w tych kwitach. Mów jaśniej! – zażądała Ewa.

– Jaśniej się już chyba nie da. Była marynarka z kuponem totolotka. Wujek oddał marynarkę do pralni, umarł i nie powiedział, gdzie skitrał ten kwit – wyjaśniła przyjaciółka.

– Na totolotka? – upewniła się Ewa.

– Nie, z pralni. – Alicja poczuła, że od tych wyjaśnień zaschło jej w ustach, więc pociągnęła łyk ze swojej szklanki i poczuła, że nie może złapać tchu.

– Co jej się stało? – krzyknęła Karolina i profilaktycznie walnęła przyjaciółkę w plecy. – Otrułaś ją!

– Zaraz tam otrułam! – Ewa wzruszyła ramionami. – Może zobaczyła ducha? Ala, widzisz ducha? Zapytaj go, gdzie schował ten kwit z pralni. Podobno totolotek wypłaca nawet po pięćdziesięciu latach.

– Przestań bredzić i przynieś szybko szklankę wody. Ala, chcesz wodę?

Zapytana próbowała coś powiedzieć, ale tylko poruszyła ustami jak karp wyciągnięty z wody. Wypiła duszkiem całą szklankę wody i odetchnęła z ulgą.

– Co to było? – wychrypiała.

– Nic takiego – odpowiedziała Ewa. – Testuję nowe drinki z tequilą.

– Na nas testujesz? – oburzyła się Karolina. – Mogłaś nas zabić.

– ...ducha – wychrypiała Alicja.

– Widziałaś ducha? – zainteresowała się Karolina. – Jak wyglądał?

– Nie, o mało nie wyzionęłam ducha – wyrzeziła przyjaciółka. – Rany! Jak piecze.

– Zaraz przestanie – zapewniła ją Ewa. – Może faktycznie trochę za dużo tej tequili dałam...

– Nazwij tego drinka „Wyzionąć ducha” – poradziła z ironią Karolina.

– Fajna nazwa. – Ewa nie wyczuła sarkazmu. – Ale ja już mam nazwę. Powiedzcie tylko, czy dobra.

– Co tam wymyśliłaś? – zapytała Alicja i sięgnęła odruchowo po szklankę z resztką drinka, ale cofnęła rękę.

– Koszula Dejaniry – odpowiedziała ambitna barmanka.

Alicja odchrząknęła.

– Super nazwa! – powiedziała. – Naprawdę. Wyjątkowo trafna.

– A kto to był ten cały Dejanir? – zapytała Karolina. – Jakiś specjalista od polykania ognia albo szkła?

– To była taka jedna kobita z mitologii – wyjaśniła Alicja. – Nie Dejanir, tylko Dejanira. Żona Heraklesa. Utknęła mu koszulę nasączoną zatrutą krwią. Centaur Nessos, który miał na pieńku z Heraklesem, jej to doradził. Powiedział jej, że dzięki temu zapewni sobie jego wierność.

– Dobrze mu tak. – Ewa wzruszyła ramionami. – Co z tymi facetami jest nie tak, że nie potrafią być wierni?

Ale ty na pewno nie jesteś taki jak inni, prawda? – pomyślała Alicja, patrząc na śpiącego obok Szymona. – Jak Paweł na przykład? Nie zdradzisz mnie jak on? Na pewno nie. Jeden palant w moim życiu to już chyba wystarczy. Normę wyrobiłam.

Przytuliła się do ramienia ukochanego mężczyzny i zamknęła oczy. Już zasypiała, gdy nagle do jej uszu dobiegł jakiś hałas. Jakby ktoś wpadł na któryś z mebli w salonie. A sekundę później rozległo się szczekanie Paszteta i czyjś krzyk.

– Szymon! – Alicja szarpnęła ramię, do którego chwilę wcześniej się przytulała. – Obudź się! Ktoś jest w domu.

– Jeszcze chwileczkę – mruknął Szymon i przewrócił się na drugi bok. – Dosłownie dwie minutki.

– Szymon! – ryknęła mu prosto do ucha. – W domu są włamywacze! Wstawaj natychmiast!

Mężczyzna usiadł na łóżku i spojrzał na nią zupełnie przytomnym wzrokiem.

– Zostań tutaj! – polecił jej i ruszył w stronę drzwi. – Ja tam zejdę, a ty wezwij policję.

Alicja posłusznie sięgnęła po telefon do szafki nocnej i w tej samej chwili przypomniała sobie, że zostawiła go w salonie.

I teraz przez moje gapiostwo jakiś bandzior zakatrupi Szymona – pomyślała w panice i nie zastanawiając się ani chwili dłużej, rzuciła się w pogoń za ukochanym mężczyzną, żeby go zatrzymać. Ale Szymon już zniknął na dole, skąd po chwili dobiegły odgłosy jakiejś szamotaniny. Alicja wróciła do pokoju i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś zbrojnego oręża, z którym mogłaby ruszyć na pomoc ukochanemu. W pierwszym odruchu chwyciła wazon, ale tak trzęsły jej się ręce, że go upuściła. Nie wiadomo po co zaczęła zbierać skorupy i skaleczyła się w palec. Wpadła do łazienki i zawięła rękę w papier toaletowy. Już miała wybiec i popędzić na dół, gdy nagle jej wzrok padł na szczotkę do mycia muszli klozetowej. Łucja i Grzegorz dostali ją w prezencie od jakichś dowcipnych znajomych po przeprowadzce do domu. Była piekielnie ciężka. Chwyciła ją zdrową ręką i popędziła na dół. Wpadła do salonu w chwili, gdy Szymon siłował się z jakąś postacią w różowej kurtce. Chciała mu pomóc i przyłożyć napastnikowi bojową szczotkę do kibla, ale miotali się potwornie i bała się, że uszkodzi ukochaną kobietę. Nagle drzwi tarasowe otworzyły się z hukiem, jakby ktoś wyłamał zamek, i do salonu Łucji wbiegli policjanci. Alicja z szeroko otwartymi ustami i uniesioną ręką, w której ciągle trzymała szczotkę, patrzyła, jak rozdzielają walczących. Z głowy włamywacza spadł kaptur różowej kurtki i...

– Mirek? – krzyknęła ze zdziwieniem na widok kuzyna Grzegorza. – Co ty tu robisz? Włamałeś się do nas w środku nocy! I dlaczego masz na sobie moją starą kurtkę?

– Pani twierdzi, że ten pan jest włamywaczem? – zapytał jeden z policjantów.

– Tak! – Alicja kiwnęła głową, a ze zdrętwiałych palców wypadła jej szczotka i z potwornym łoskotem walnęła o podłogę.

– Nic podobnego! – zaprzeczył stanowczo Mirek. – Ja przyszedłem odwiedzić kuzyna.

Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Rozumiemy, że pokłócił się pan z kuzynem i doszło do bójki – powiedział jeden z nich.

– Ja nie jestem kuzynem tego pana – zaprzeczył Szymon.

– Tak, ten pan nie jest kuzynem tego pana – potwierdziła Alicja. – On jest kuzynem innego pana. A ten drugi pan wcale nie jest kuzynem. To znaczy może on ma kuzyna, ale ja go nie znam. To znaczy znam tego pana, ale nie znam jego kuzyna. Przepraszam, chyba trochę poplątałam.

Mina policjanta, który zadał pytanie, wskazywała, że raczej nie trochę.

– Proszę o dokumenty – zażądał w akcie desperacji, żeby zyskać na czasie.

Studiował ich dowody osobiste tak długo, aż doszedł trochę do siebie.

– W porządku – powiedział wreszcie, a jego słowom towarzyszyło głębokie westchnienie. – Rozumiem, że państwo są właścicielami domu?

To pytanie było skierowane do Alicji i Szymona, a zadający je policjant miał nadzieję, że odpowiedź będzie prosta. Niestety...

– Nie – odpowiedziała kobieta, która jeszcze przed chwilą dzierżyła w dłoni szczotkę do czyszczenia sedesu. – To dom moich przyjaciół, którzy wyjechali na kilka miesięcy.

– Dom mojego kuzyna – dodał mężczyzna w różowej kurtce.

Właśnie! Dlaczego ten facet ma na sobie różową damską kurtkę i żółte trampki?

– A dlaczego ty masz na sobie moją kurtkę i moje trampki? – zapytała Alicja. – I co tu w ogóle robisz w środku nocy? Tylko nie mów, że chciałeś odwiedzić Łucję i Grzegorza.

– A nie chciałem? – zapytał bezradnie Mirek.

– Nie chciałeś! – krzyknęła Alicja. – Bo ich nie ma i ty dobrze o tym wiedziałeś. A! I już sobie przypomniałam! Już raz się do nas włamałeś. Tylko nagranie z monitoringu było czarno-białe i nie poznałam swojej kurtki. Chciałeś okraść Łucję i Grzegorza? Jak mogłeś?

Pasztet zaszczekał z oburzeniem, a Rudy Sto Dwa przyłączył się do niego i miauknął potępiająco. Maryśka swoim zwyczajem ograniczyła się do rzucenia włamywaczowi spojrzenia pełnego najwyższej pogardy.

– Wcale nie chciałem ich okraść! – bronił się Mirek. – Ja tu czegoś szukałem.

Alicja chciała coś powiedzieć, ale policjant ją uprzedził.

– Szukał pan czegoś w tym domu? – upewnił się. – Ale dlaczego tutaj? Był pan tutaj i zgubił to? Nie lepiej było przyjść za dnia i poprosić o zwrot zguby?

Mirek spojrział na niego zaskoczony.

– Nie przyszło mi to do głowy – wyznał po chwili.

– A właściwie to co ty tu zgubiłeś i kiedy? – zainteresowała się Alicja. – Łucja mówiła, że jeszcze ich nie odwiedziłeś w nowym domu.

– Bo ja to zgubiłem w tej kawalerce, gdzie teraz mieszkam – powiedział mężczyzna.

– Zgubił pan w kawalerce, a szukał tutaj? – zdziwił się Szymon.

– Bo mi wpadło! – Poirytowany Grzegorz zaczął zdejmować kurtkę Alicji i zaplątał się w rękawach. – Do głowy mi wpadło, to przyszedłem.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Co panu wpadło do głowy? – zapytał z westchnieniem policjant.

– Jak rany! Zegarek mi wpadł do głowy. – Mirek usiadł na kanapie i natychmiast zerwał się z krzykiem, a z kanapy zeskoczyła Maryśka i oddaliła się do kuchni, na znak oburzenia zadzierając ogon i posykując z irytacją. Za nią w ramach kociej solidarności popędził Rudy Sto Dwa. Pasztet postanowił zostać i pilnować intruza, który napadł w środku nocy na jego ukochanego pana.

– Zegarek panu wpadł do głowy? – powtórzył policjant, jakby miał wątpliwości, czy się przypadkiem nie przesłyszał.

– No tak! Do głowy krasnala mi wpadł. To był zegarek od żony na rocznicę ślubu. Strasznie by się zdenerwowała, gdyby zobaczyła, że go zgubiłem. Ula taka trochę nerwowa jest.

– To ty masz żonę? – zdziwiła się Alicja i natychmiast przez głowę przeleciały jej historie opowiadane przez Łucję o podbojach miłosnych kuzyna. No, ale może od niedawna jest żonaty. – A która to rocznica ślubu była?

– No, dziesiąta chyba – odpowiedział.

– Koszula Dejaniry – mruknęła pod nosem.

– Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć? – poprosił ją policjant.

– Nie, nic takiego. – Alicja zamachała rękami. – Coś mi się przypomniało.

Policjant westchnął i spojrział ciężkim wzrokiem na kuzyna Grzegorza. Zawsze bał się wariatów, a ten tu jest wariatem na sto procent. Lata po mieście w różowej damskiej kurtce i bredzi... Zaraz, co on takiego bredził?

– Mówi pan, że zegarek wpadł panu do głowy krasnala? – powiedział z nadzieją, że się przesłyszał, i teraz usłyszy wreszcie jakieś sensowne wyjaśnienie. Niestety, ta noc wyraźnie nie należała do jego najlepszych.

– Tak, gipsowego krasnala – odpowiedział Mirek. – Tego krasnala. On ma odkręcaną głowę. Nie znaleźliście w środku tego mojego zegarka?

– Mówisz o Wieśku? – zapytała Alicja. – Kurza stopa! Ja go zapomniałam wybebeszyć po przeprowadzce.

Spojrzała na kąt w salonie, gdzie powinien stać Wiesiek, i oniemiała.

– Gdzie on jest?

– Gdzie jest mój zegarek? – krzyknął Mirek. – Bez niego nie mam po co wracać do domu. Żona mnie zabije.

– Wcześniej ja ciebie zabiję! – wyszczała Alicja. – Gadaj, gdzie jest Wiesiek! Co mu zrobiłeś?

Rozejrzała się po podłodze w poszukiwaniu szczotki do mycia sedesów, żeby ubić nią Mirka. Podniosła ją i ruszyła w stronę mężczyzny z miną niepozostawiającą wątpliwości co do jej zamiarów.

– Nic mu nie zrobiłem! – krzyknął kuzyn Grzegorza i schował się za plecami policjanta. – Niech pan ją zabierze. I tego psa też!

Nie wiadomo, czy policji udało się uratować go przed zębami Paszteta i atakiem wściekłej furii, w jaką wpadła Alicja, gdyby nagle pod domem nie rozległo się wycie policyjnej syreny. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszli policjanci prowadzący ze sobą...

– Pani Ada? – zdziwił się Szymon. – Myślałem, że pani śpi u siebie.

Ani jemu, ani Alicji nie przyszło nawet do głowy zajrzeć do pokoju gospośi. A przecież powinno ich było zdziwić, że mimo tego całego harmidru nie przybiegła do salonu. A ponoć wszystko słyszała nawet przez sen.

No to teraz wszystko było jasne. Choć może jeszcze nie do końca.

– Co się stało, pani Ado? – krzyknęła Alicja.

– Czy państwo znają tę panią? – zapytał policjant, który przyprowadził gospozię.

– Oczywiście – odpowiedział Szymon. – Pracuje u nas, to znaczy u właścicieli tego domu. To przecież pani Ada. Nic z tego nie rozumiem.

– Nasz patrol, który przejeżdżał obok domu, zauważył tę panią, jak najpierw wystawiła walizkę, później sama wyskoczyła, coś do tej walizy zapakowała i ruszyła w stronę bramy. Pomyśleliśmy, że to włamywaczka, i chcieliśmy ją aresztować. Ale zaczęła uciekać. Na szczęście ją dogoniliśmy. Strasznie ciężka ta waliza. Pewnie sporo z domu wyniosła.

– Pani Ado! – krzyknęła Alicja. – Jak pani mogła okraść Łucję i Grzegorza?

– Może sprawdzą państwo, czy coś nie zginęło? – zaproponował policjant.

– A nie prościej otworzyć walizkę i zajrzeć, co jest w środku? – wpadła na pomysł przyjaciółka właścicielki domu.

Policjant spojrział na nią ze zdziwieniem, przez chwilę zastanawiał się nad czymś intensywnie, aż wreszcie szarpnął zamek i...

– Wiesiek? – krzyknęli równocześnie Szymon i Alicja.

– Mój zegarek! – Mirek rzucił się w stronę gipsowego krasnala.

– Chwileczkę! – zatrzymał go policjant. – Proszę nie dotykać! To dowód w sprawie.

– Ale ja tylko wyciągnę mój zegarek – usiłował negocjować Grzegorz.

Policjant nie wyglądał, jakby miał zamiar dać się przekonać.

– Ale... – zaczął, lecz w tej samej chwili jakiś cień wystrzelił spod drzwi i rzucił się w stronę gipsowego krasnala.

– Pasztet! Nie! – krzyknęła Alicja. – Zostaw.

Ale było już za późno. Pies rzucił się z radosnym szczekaniem w stronę przyjaciela. A potem było już jak w amerykańskim filmie. Wiesiek przechylił się, policjant zdążył złapać korpus, ale źle dokręcona głowa odpadła i poszybowała przez salon Łucji wprost w kierunku jednego z policjantów, który z przerażenia wpadł w stupor i z szeroko otwartymi ustami zastygł w miejscu. Na szczęście Szymon rzucił się w jego stronę i złapał gipsowy pocisk.

– Podczas studiów grałem w piłkę nożną i stałem na bramce – powiedział i podał głowę Alicji, która przytuliła ją mocno do piersi. Ciągle nie mogła uwierzyć, że biedny Wiesiek nie leży teraz z potrąconym czerepem na podłodze. Nawet nie przypuszczała, że tak polubiła tego ogrodowego krasnala. A do tej pory traktowała go jak gipsowy kurzołap.

– On jest pusty w środku – krzyknął jeden z policjantów, oglądając bezgłowy korpus krasnala.

– Jak „pusty”? – zapytał drugi, patrząc mu przez ramię. – Przecież tu jest pełno jakichś śmieci.

– Zabieramy go na komendę?

– Ale mój zegarek! – krzyknął Mirek. – Oddajcie mi najpierw zegarek.

Pasztet usiadł obok przyjaciela i zaczął przeraźliwie wyc.

– Ja go nie oddam! – krzyknęła Alicja.

– Ale to dowód przestępstwa – powiedział Paweł Gaweł.

– Jakiego przestępstwa? – zapytała. – Ja zeznam, że pani Ada niczego nie ukradła.

– A krasnal? – zapytał policjant, który zaglądał do wnętrza gipsowego korpusu. – Przecież gospościa usiłowała go ukraść.

– Wcale nie! – odpowiedziała. – Ona go... wyprowadziła na spacer.

– Na spacer? – Komendant otworzył usta ze zdumienia.

– Tak! – Szymon poparł Alicję. – Poprosiliśmy, żeby pani Ada go wyprowadziła. Potrzebuje powietrza.

– Gipsowy krasnal potrzebuje powietrza? – Paweł Gaweł uniósł wysoko brwi ze zdumienia. – No, to wszystko wyjaśnia.

Alicja, Szymon i pani Ada odetchnęli z ulgą, ale znowu za wcześnie.

– Ale jak on miał oddychać tym świeżym powietrzem, jak pani go zamknęła w walizce? – Paweł Gaweł zadał to pytanie i dumny z siebie pomyślał: Tu ich mam!

Ale on też ucieszył się za wcześnie.

– Zostawiłam mu szparę, żeby miał dostęp świeżego powietrza – oznajmiła pewnym siebie tonem pani Ada. – Nie mogłam go wyciągnąć, bo ludzie by się dziwnie patrzyli. Czy wyprowadzanie na spacer gipsowego krasnala jest zabronione?

Na taki argument komendant nie znalazł żadnej odpowiedzi. Nie było żadnego paragrafu (a przynajmniej on nic o tym nie wiedział) za chodzenie po ulicy nawet z najbrzydszą ogrodową figurą. Odwrócił wzrok, bo bezgłowy krasnal jakoś tak go przerażał.

– To my już pójdziemy – powiedział. – Pana poprosimy z nami. A państwo niech przyjdą złożyć zeznania.

Mirek spojrzał błagalnie na Alicję, a ta z kolei na Szymona.

– Ale może to nie będzie konieczne – powiedział mężczyzna. – Kuzyn gospodarzy przyszedł o trochę nietypowej porze, ale wszystko już się wyjaśniło.

Komendant głęboko westchnął. Jeśli wszystkie wezwania będą się w ten sposób kończyć, to mu w końcu zamkną komisariat. Żeby chociaż udało się odnaleźć ten obraz skradziony z muzeum, to może przekonałoby tych z wojewódzkiej. Myślał o tym tak często, że zaczął widzieć ten obraz dosłownie wszędzie. Na wystawach sklepów, gdy robił zakupy, w tobołach z praniem, które jego sąsiad ostatnio niósł do samochodu, a nawet w urodzinowej roladzie, którą ostatnio upiekła jego teściowa. Niewiele brakowało, a aresztowałby własną teściową. Albo teraz. Ten facet od zegarka dorwał się wreszcie do gipsowego krasnala i zaczął po kolei wyciągać ze środka różne rzeczy w poszukiwaniu tego swojego zegarka. I nagle w jego rękach pojawił się zwinięty rulon. Paweł Gaweł jak zahipnotyzowany przeszedł przez salon, wziął go do ręki i rozwinął. Jego oczom ukazała się hoża dziewczyna w firance na głowie.

– Jest! – krzyknął komendant.

– Jest! – wysapał Mirek i triumfalnie wyciągnął z brzucha Wieśka zegarek na srebrnej bransoletce.

– Nie zegarek! Obraz skradziony z muzeum jest! – krzyknął Paweł Gaweł i odwrócił się, demonstrując wszystkim dzieło.

– To ja go schowałam do Wieśka? – Alicja złapała go za głowę. – I on tu był cały czas, a ja się ludziom do domów włamywałam, żeby go znaleźć.

– Właściwie to ten obraz mnie tam wpadł – przyznał Mirek z zakłopotaną miną.

– A mówił pan, że zegarek – powiedział podejrzliwym tonem jeden z policjantów.

– Bo najpierw zegarek, a potem, jak chciałem go wyciągnąć tym rulonem, to on też mi wpadł do środka – wyjaśnił. – Głupio mi było powiedzieć. Przepraszam.

– Najważniejsze, że go odzyskaliśmy – stwierdził komendant. – I to bez pomocy tych z wojewódzkiej.

– Ale przecież okazało się, że to nie jest obraz słynnego malarza. Ludzie już raczej nie będą

przyjeżdżać z daleka, żeby go oglądać u nas w Zabrzeźnie – powiedziała z żalem Alicja.

– Nie wiem, nie wiem – roześmiał się Paweł Gawęł. – Myślę, że teraz będą walić prawdziwe tłumy. Jak znam ludzi, to każdy chciałby zobaczyć obraz, który został skradziony z muzeum. Malarz zrobi się na pewno sławny.

– Zaraz, zaraz... – zreflektowała się Alicja. – Gdzie się podziała pani Ada?

Alicja wyszła z sądu i ruszyła do samochodu, który zaparkowała kilka ulic dalej. Po drodze musiała minąć budynek regionalnego muzeum. Zatrzymała się i ze zdumieniem spojrzała na tłoczący się przed wejściem tłum. Nawet przez chwilę rozważała, czy nie wejść do środka, ale w końcu odpuściła. Aż za dobrze знаła ten obraz. Wsiadła do Czarownicy i odłożyła torebkę na siedzenie obok. Już miała uruchomić silnik, ale cofnęła rękę z kluczyka. Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej kartkę papieru złożoną na pół. Rozwinęła ją i przez chwilę studiowała. Ciągle nie mogła uwierzyć, że to prawda. A jednak! Znowu była rozwódką. Sąd łaskawie uwolnił ją po raz kolejny od bycia żoną Pawła.

– Mam nadzieję, że raz na zawsze – mruknęła pod nosem i ruszyła z parkingu, z trudem mijając się z autokarem, który przywiózł pewnie kolejną wycieczkę do muzeum.

Do sądu Paweł przyjechał razem z Tanią. Alicja z wiadomych względów nie pałała sympatią do kochanki byłego męża, ale tym razem była jej wdzięczna, że najwidoczniej uparła się na swoją obecność podczas rozprawy. Bez niej spędziliby tam pewnie ze dwa dni, jak nie dłużej. Paweł niemrawo i cicho odpowiadał na pytania sędziego, który dociekał, czy chce rozwodu. Dopiero energiczne szturchańce w bok przywróciły mu głos.

Właściwie to teraz mogę wyjść za Szymona – pomyślała.

Ją samą zaskoczyła ta myśl. Zaskoczyła, ale równocześnie bardzo jej się spodobała, i musiała koniecznie z kimś się podzielić tym swoim szczęściem. Najchętniej pogadałaby z Łucją, ale to nie była rozmowa przez ocean. Postanowiła zadzwonić do Karoliny i Ewy. Miała szczęście, bo akurat obydwie były na zakupach w supermarkecie. Zaczęły tak piszczeć, gdy im powiedziała, że pewnie wyjdzie za mąż, że najprawdopodobniej zaraz zarządzono by ewakuację sklepu albo przynajmniej gruntowną deratyzację.

Bardzo zadowolona z siebie podjechała pod dom i już miała wysiąść z samochodu, gdy obok niej przemknęła taksówka i z piskiem opon zaparkowała kawałek dalej. Po chwili ze środka wyskoczyła Łucja. Rozejrzała się i na widok przyjaciółki wysiadającej z Czarownicy rzuciła się w jej stronę.

– A ty co tu robisz? – zapytała zaskoczona Alicja, gdy już się wyściskały. – Nie powinnaś być w Ameryce?

– Stęskniłam się za tobą – powiedziała Łucja. – A że firma wezwała mnie w trybie pilnym, bo im się coś w papierach nie zgadzało, i podróż mi nawet opłacili, to przyleciałam zobaczyć, co u ciebie. Już byłam w robocie, wszystko wyprostowałam i teraz mam kilka dni wolnego. Grzegorz kazał sobie przywieźć kilka bochenków chleba z tej piekarni na skwerku na naszym osiedlu.

Weszły do domu. Szymona ani pani Ady nie było.

– A wiesz, że ja tam poznałam jedną Polkę z Zabrzeźna? – krzyknęła Łucja, z przyjemnością wyciągając się na swojej kanapie. – No, ale najpierw ty opowiadaj, co tu się działo. Nuda jak zawsze?

– Nie nazwałabym tego nudą – powiedziała Alicja. – Mam nadzieję, że masz dużo czasu, bo to długa historia.

– I mnie tu nie było! – krzyknęła z żalem Łucja. – Zawsze mnie omijają najciekawsze historie.

– Nie przesadzaj. – Alicja machnęła ręką. – Ty chyba akurat nie mogłaś narzekać na nudę w tej Ameryce.

– Niby masz rację – przyznała przyjaciółka. – Ale ja wolę nasze Zabrzeźno. W tej Ameryce wszystko jest dla mnie za duże i wszędzie za daleko. Nie to, co tutaj.

W tej samej chwili do domu weszła jakaś obca kobieta.

– Dzień dobry, pani Ado – powiedziała z uśmiechem Łucja.

Alicja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Pani Ado? Przecież to nie jest pani Ada.

– Nie – potwierdził gość. – Mam na imię Aleksandra, ale wszyscy klienci mówią do mnie „pani Alu”.

– Zawsze myślą mi się te dwa imiona. Pewnie dlatego, że ty też jesteś Ala – westchnęła Łucja. – W każdym razie pani Ada, to znaczy pani Ala sprząta u nas. Ale zaraz, zaraz... Dlaczego ty jesteś zdziwiona? Przecież mówiłaś przez telefon, że pani Ala wprowadziła się tu po naszym wyjeździe.

– Ale to nie ta. Tamta przedstawiła się jako pani Ada. I zniknęła po tym, jak policja złapała ją na próbie wyniesienia stąd Wieśka.

– Chciała ukraść Wieśka? – Przyjaciółka pokiwała głową. – To ja już wszystko wiem. To był ktoś ze stowarzyszenia. Mówiłam ci, że oni tu kontrolują wszystko. Pewnie widzieli, jak wnosiliście Wieśka, i nasłali tę kobietę, żeby się go pozbyła.

– Ale co im przeszkadzał biedny gipsowy krasnal? – zdziwiła się Alicja i spojrzała na stojącego w kącie Wieśka, obok którego ułożyli się Pasztet i Rudy Sto Dwa. Maryśka nie opuszczała kolan cudownie odzyskanej pani.

– Podobno nie pasuje do naszego ekskluzywnego osiedla. – Łucja rozłożyła bezradnie ręce.

– To może ja zrobię herbatę, a potem zabiorę się za sprzątanie? – zaproponowała pani Ala. – I może jakieś ciasteczka szybko upiekę?

Gospośia zniknęła w kuchni, a po chwili zaczęły stamtąd dochodzić okrzyki pełne grozy. Nietrudno się było domyślić, że dotyczą porządków, jakie w kuchni zaprowadziła pani Ada. Łucja zamknęła za nią drzwi, a potem wróciła na kanapę, usiadła i przez kilka chwil bez słowa wpatrywała się w przyjaciółkę.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała Alicja. – Wiem, że zepsułam ci opinię i teraz to całe stowarzyszenie będzie się ciebie czepiało. Zwal wszystko na mnie. Możesz powiedzieć nawet, że jestem niezrównoważoną wariatką i zmusiłam cię, żebyś mi pozwoliła tu zamieszkać. Żeby to uwiarygodnić, mogę zrobić coś szalonego. Na przykład skoczyć z dachu w pelerynie Batmana albo w koszuli nocnej. Nie, ja nie mam koszuli nocnej. Ale dla ciebie mogę sobie nawet kupić, chociaż nie znoszę koszul. Zawsze mi się zwijają i gniją.

– Cudnie byś wyglądała, skacząc w różowej koszuli nocnej z dachu – rozmarzyła się Łucja. – Chociaż nie! Dachówki mamy czerwone, to różowa koszula by się z nimi okropnie gryzła. W żółtej byś nie mogła skoczyć? Ja nawet mam tu gdzieś żółtą koszulę. Nie nosiłam, bo nie lubię tego koloru. Dostałam od teściowej. Gdzie ja ją upchnęłam?

Alicja patrzyła z niedowierzaniem na najlepszą przyjaciółkę, która ryła zawzięcie w komodzie.

– Masz! – Łucja wyprostowała się z triumfem i podała jej żółtą koronkową koszulkę.

Wzięła ją i rozwinęła, a potem spojrzała niepewnie na tiul i koronki.

– Naprawdę chcesz, żebym to założyła i skoczyła z dachu? – zapytała.

– Pewnie! – przytaknęła Łucja. – Przecież powiedziałas, że to dla mnie zrobisz.

– Zrobię – odpowiedziała Alicja i przełknęła ślinę, a potem narzuciła żółtą koszulę na ubranie. – Gdzie macie wejście na dach?

– Na piętrze, za sypialnią.

– Idę! – powiedziała i ruszyła w stronę schodów. – Powiedz Szymonowi... Albo lepiej nic mu nie mów.

– Stój, stara wariatko! – Łucja chwyciła ją za rękę. – Ty naprawdę myślałaś, że ja ci każę skakać z dachu? Siadaj. Muszę ci powiedzieć coś ważnego. Tylko mi nie przerywaj.

Mówiła przez kilka minut, milknąc tylko na chwilę, gdy pani Ala wniosła dzbanek z herbatą i kanapki.

– Gdzie jest ten właz na dach? – zapytała Alicja, gdy przyjaciółka skończyła i wstała z fotela.

– Przestań się wygłupiać – ofuknęła ją przyjaciółka. – Przez jakiegoś bałwana będziesz skakać?

– Nie. Ja tego bałwana chcę zrzucić.

– Popieram, ale upozoruj samobójstwo. Nie warto dla kogoś takiego gnić w kryminale. Dobra, ja teraz lecę, bo stęskniłam się za rodzicami. Nie narób głupstw.

– Odebrałam dzisiaj papier z sądu – powiedziała Alicja do Szymona. – Znowu jestem wolną kobietą. Pomyślałam, że moglibyśmy... Wiesz, tyle razy mi proponowałeś małżeństwo, a ja ciągle nie byłam pewna. Ale teraz jestem. Pobierzmy się!

Szymon najpierw zamrugął zaskoczony tymi oświadczeniami, ale szybko doszedł do siebie i przyciągnął ją.

– Nareszcie! – powiedział. – Jutro jedziemy do urzędu stanu cywilnego, żeby ustalić datę. Zabierzemy ze sobą Paszteta i poszczujemy nim urzędnika, jeśli nie będzie chciał nas wpisać na przyszłą sobotę.

– Urocze! – Alicja uśmiechnęła się. – Ale czy ty o czymś nie zapomniałeś?

– Ależ oczywiście! Jaki ze mnie bałwan! Pierścionek kupię jutro. Mogę też poprosić o twoją rękę rodziców.. To znaczy twoich rodziców.

Alicja pomyślała o włązie na dach, a myśl ta była coraz bardziej kusząca.

– Nie o tym myślałam – powiedziała. – Chodziło mi o twoją narzeczoną. Nie, nie przerywaj! Łucja spotkała tę kobietę w Stanach. Poznała cię na zdjęciach, które Łucja miała w telefonie, i opowiedziała jej, że planujecie ślub. Właściwie to już bylibyście małżeństwem, gdyby nie musiała wyjechać na ten staż. Ona już tam, w tych Stanach, kupiła sobie sukienkę i welon. I to byłoby chyba wszystko.

Nie oglądając się za siebie, wyszła z domu. Padał deszcz. Ruszyła przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Nagle obok niej zatrzymał się samochód. Kierowca otworzył drzwi, a wtedy zobaczyła policjanta z Mazur, który kiedyś chciał zabrać ją w podróż dookoła świata.

– Podwieźć panią gdzieś? – zapytał z uśmiechem.

– Do Paryża – odpowiedziała. – Muszę kupić sobie nową parasolkę w sklepie przy ulicy Le Passage de l’Ancre. Czy pan wie, gdzie to jest?

– Oczywiście! Proszę wsiadać!

Jeśli chcesz wiedzieć, co jeszcze przytrafi się Alicji – a przytrafi się wiele – już dziś przeczytaj pierwszy rozdział kolejnej powieści Iwony Czarkowskiej:

BOSONOGA BOGINI

ROZDZIAŁ I

PODLI FACECI OKŁAMUJĄ, NOWE BUTY OBCIERAJĄ I NA DODATEK OD TYGODNIA PADA DESZCZ

Alicja stała przy oknie i patrzyła na ociekający deszczem krajobraz za oknem. Nagle złapała się na tym, że odruchowo liczy krople spadające na balustradę balkonu. Doliczyła już do 349.

– Zwariowałam – powiedziała półgłosem i ostentacyjnie zasunęła rolety.

Odwróciła się i spojrzała na psa, który usiłował coś wyciągnąć spod szafki.

– Co ty tam znalazłeś? – zainteresowała się. – But? Zostaw natychmiast. Jeszcze tylko tego brakowało, żebyś zaczął zżerać moje pantofle. Przecież wiesz, że nie znoszę kupować sobie nowych. Zawsze mnie obetrą. Takie mam życie skopane. Faceci mnie okłamują, buty obcierają i na dodatek od tygodnia leje jak z cebra. Oddawaj to natychmiast! Już!

Podeszła bliżej i usiłowała wydrzeć zwierzakowi łup z pyska. Ale kundel, z powodu swojego wielkiego zamiłowania do pewnego gatunku konserw mięsnych zwany Pasztetem, nie zamierzał oddawać nowej zabawki. Zacisnął zęby i Alicja doszła do wniosku, że musi dojść z nim do porozumienia, bo inaczej zamiast dwóch butów będzie miała trzy, a właściwie to jeden oraz dwie mocno pogryzione i zaślinione połówki.

– Nie rób takiej miny. – Poklepała kundla po wielorasowej głowie (oczy jamnika, nos wilczura, uszy nie wiadomo po kim). – Za tego jednego trepa dostaniesz ode mnie pół puszki pysznego pasztetu.

Pies szczeknął wymownie, na chwilę wypuszczając z pyska but, ale zanim Alicja go złapała, znowu ucapił zdobycz zębami.

– No dobra. Całą puszkę dostaniesz, ty mistrzu negocjacji. A teraz oddawaj buta, ale już! – powiedziała i zrobiła groźną minę.

Pasztet oczywiście nie dał się nabrać na ten udawany surowy ton. Za dobrze znał swoją panią, żeby się jej przestraszyć. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie iść za ciosem i nie spróbować powalczyć o drugą puszkę pasztetu, ale kocur imieniem Rudy Sto Dwa, który wylegiwał się w kącie pokoju, miauknął ostrzegawczo i pies posłusznie oddał łup. Przyjaciel miał rację. W negocjacjach z ukochaną panią nie należało przeciągać struny. Jedna puszka wystarczy dla nich dwóch (w przysmaku gustował również Rudy). Na szczęście trzeci z ich paczki, stojący w kącie pokoju gipsowy krasnal Wiesiek aka Gipsowy, nie chciał spróbować, choć wielokrotnie mu proponowali. Nie wiedział, co traci.

Alicja wzięła do ręki but i przyjrzała mu się uważnie.

– To nie mój – powiedziała na głos. – Nie noszę męskich martensów. To chyba... Jasne!

Zamachnęła się i ze złością cisnęła trepem o ścianę. Pocisk minął dosłownie o milimetry głowę Wieśka.

– Przepraszam – powiedziała Alicja. – Nie chciałam ci zrobić krzywdy. Tak mi się jakoś rzuciło butem tego gada.

Gadem, do którego należało latające po pokoju obuwie, był weterynarz Szymon. Tak naprawdę to Tomasz Szymon, ale używał drugiego imienia, bo pierwsze w zestawieniu z nazwiskiem Paluszkiewicz brzmiało idiotycznie i natychmiast nasuwało wszystkim nowo poznanym ludziom skojarzenie z bajką o Tomciu Paluchu – chłopczyku maleńkim jak paluszek. A on miał prawie dwa metry wzrostu!

Jeszcze kilka miesięcy temu Szymon Tomasz mieszkał w kawalerce naprzeciwko tej, którą Alicja wynajmowała od swojej przyjaciółki Łucji. Na samo wspomnienie tych kilku miesięcy tak się zdenerwowała, że wyciągnęła drugiego buta spod szafki i cisnęła nim w ścianę, tym razem celując jednak w inny kąt pokoju niż ten, w którym stał Wiesiek. Na ścianie został ślad, ale jej jakoś wcale nie ulżyło.

I pomyśleć, że już prawie zgodziłam się na ślub z tym oszustem – pomyślała z goryczą.

Oszustem, bo okazało się, że podczas gdy na jedenastym piętrze bloku z wielkiej płyty w najlepsze kwitł ich gorący romans, w dalekiej Ameryce narzeczona Szymona kupowała sobie ślubną sukienkę. Cała sprawa wydała się, gdy Łucja pojechała na kilka miesięcy do Stanów i tam poznała tę kobietę.

Alicja poszła do kuchni, otworzyła szufladę i wyciągnęła ogromne nożyczki. Wróciła do pokoju, usiadła na łóżku i zabrała się za wycinanie dziur w cholewkach martensów. Niestety, to też ani trochę nie poprawiło jej samopoczucia, a nawet jakby jeszcze bardziej zdołowało. Widocznie nie można tej metody stosować dwa razy, a ona już jeden raz ją wykorzystwała. Po tym, gdy wyprowadziła się z domu w Malinówce, bo okazało się, że jej ukochany mąż Paweł od dawna zdradza ją z koleżanką z pracy. Rzuciła nożyczki na kanapę i spojrzała na Paszteta. Ten chyba już wiedział, co się święci, bo wczółgał się za Wieśka i udawał, że go tam wcale nie ma.

– Idziemy na spacer – oznajmiła stanowczo. – Wiem, że byliśmy dwie godziny temu, ale ja się muszę przejść. Bądź przyjacielem i chodź ze mną. Sama nie będę przecież łazić w taką pogodę.

Pasztet z ociąganiem wylazł z kryjówki i zrezygnowany poczłapał do przedpokoju. Kochał swoją panią i był gotów zrobić dla niej wszystko. Nawet iść na spacer, chociaż na zewnątrz lało jak z cebra. Nieraz słyszał, jak ludzie nie wiadomo dlaczego mówili, że to „pogoda pod psem”. Absurdalne! Przecież żaden pies nie wyszedłby z własnej woli na taką pluchę.

Alicja założyła mu smycz i otworzyła drzwi. Nacisnęła guzik przy windzie i czekała, aż leniwy dźwig, rżąc i stękając, przyjedzie z odległego parteru. Gdy wreszcie nadjechał i drzwi otworzyły się, ze środka wyszła starsza kobieta w kapeluszu tak ogromnym, że ledwo mieścił się w drzwiach. W cieniu tego kapelusza człapał sąsiad Alicji, który zajmował środkowe mieszkanie na piętrze, oddzielające jej kawalerkę od tej zajmowanej kiedyś przez niewiernego Szymona. Ledwo go poznała, bo taki był elegancki. Para zniknęła za drzwiami wśród umizgów i chichotów.

Nawet łysy Karasek kogoś sobie znalazł, tylko ja nie mam szczęścia w miłości – przyszło jej do głowy, gdy winda wśród zgrzytów, stuków i szarpania sunęła na parter, i humor zwarzył jej się jeszcze

bardziej. – Mnie to chyba jakaś złośliwa wróżka przeklęła w kołysce i już zawsze będę mieć pod górę. Nie miała pojęcia, że kilkanaście kilometrów dalej jej trzy najlepsze przyjaciółki: Lucja, Karolina i Ewa, właśnie postanowiły zmienić radykalnie jej życie.

Lucja postawiła na stole talerzyk z ciastkami.

– Dobra – powiedziała i usiadła na kanapie. – Jeszcze Grześ przyniesie herbatę i możemy zacząć naradę.

– Ali nie będzie? – zdziwiła się Ewa.

– Przyjdzie później. Powiedziałam jej, że spotykamy się za dwie godziny, bo to o niej chciałam z wami najpierw porozmawiać – zdradziła gospodyni.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Karolina. – Może powinniśmy do niej jechać? Rozchorowała się?

– Nie, nic jej nie jest. Przecież mówiłam, że niedługo tu będzie – uspokoiła ją Lucja. – Dzwoniła dzisiaj przed południem, bo jakiś dziwny rachunek za prąd przyszedł. Korzystając, że jeszcze jej nie ma, muszę z wami porozmawiać, bo się martwię.

– O Ali rachunku za prąd mamy gadać? – zdziwiła się Karolina.

– Nie, skąd! – Zniecierpliwiona Lucja zamachała rękami. – Ja się martwię, bo Ala wydawała mi się przygnębiona. Chyba ciągle przeżywa to rozstanie z Szymonem.

– Myślisz, że powinniśmy zrobić coś, żeby się pogodzili? – Ewa klasnęła w dłonie z zachwytem.

– Zorganizujemy jakieś spotkanie, takie niby przypadkowe. Czytałam o tym w jednej książce. A może widziałam w jakimś filmie...?

– Zwariowałaś z tym spotkaniem – fuknęła Karolina. – Przecież to podły oszukista był...

– Oszukista? – zdziwiła się Lucja. – W życiu nie słyszałam takiego słowa.

– Oszukał ją, to jest chyba oszukistą? – Karolina wzruszyła ramionami i wsadziła sobie do ust całe ciasteczko.

– Oszustem był – sprostowała Lucja i walnęła koleżankę w plecy, bo ciasteczko utknęło jej w przetyku. – Nie, nie mam zamiaru godzić Ali z Szymonem. Zresztą słyszałam ostatnio od jednej znajomej, że on podobno wyjechał z tą swoją narzeczoną do Stanów. Trzeba jej znaleźć jakiegoś nowego faceta.

– Tej narzeczonej znajdziemy nowego faceta? – zainteresowała się Ewa. – A wtedy Szymon wróci do Alicji?

– Idź, głupia! – Karolina sięgnęła po kolejne ciasteczko, ale tym razem odgryzła mały kawałek.

– Ali znajdziemy faceta.

– Samaś głupia – obraziła się Ewa. – A ten policjant, z którym się spotykała po Szymonie? To oni już nie są razem?

– Z tego też nic nie wyszło. Ala nie chce powiedzieć dlaczego. – Lucja wzruszyła ramionami. – Same widzicie, że musimy znaleźć jej jakiegoś fajnego faceta. Nowego faceta.

Jej ostatnie słowa usłyszał Grzegorz, który właśnie wszedł do pokoju z tacą, na której stał dzbanek z herbatą i filiżanki. Pokiwał głową z niezadowoleniem.

– Mówiłem, że nie powinnaś się do tego mieszać – powiedział. – Twoja przyjaciółka na pewno nie będzie zachwycona, że próbujesz układać jej życie.

– A ja ci mówiłam, że się z tobą nie zgadzam – odparowała żona. – Może w pierwszej chwili się na mnie okropnie wścieknie i nabluzga, ale potem będzie mi wdzięczna, jak trafi na sensownego gościa. W końcu ja znalazłam sobie męża idealnego. Może nie?

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – roześmiał się Grzegorz. – Rób jak chcesz, ale mam nadzieję, że Ala cię nie udusi w słusznym napadzie szału. Byłoby mi trochę przykro. Drugi raz mogę nie mieć tyle szczęścia, żeby znalazła mnie taka wspaniała żona. Teraz muszę już pędzić do roboty. Jakby Alicja chciała cię zamordować, to skorzystaj z prawa skazańca do ostatniego telefonu i przekreśl do mnie.

– Żeby się pożegnać? – zapytała Ewa i westchnęła romantycznie.

– Nie, żeby powiedzieć, gdzie kupuje dla mnie skarpetki – odpowiedział mąż Lucji. – Są

naprawdę super.

– Idź już sobie – fuknęła żona, udając oburzenie.

Gdy Grzegorz zamknął za sobą drzwi, Łucja rozlała herbatę do filiżanek, a potem usiadła z powrotem na kanapie. Nie zauważyła, że gdy ona była zajęta poczęstunkiem dla koleżanek, na kanapie rozłożyła się stara kocica Zofia, i o mało na niej nie usiadła. Zofia prychnęła z oburzeniem, zeskoczyła z kanapy i popędziła do kuchni.

– Teraz zaszyje się za kuchenką i Grzegorz będzie ją musiał na kolanach błagać, żeby wyszła. O czym to ja mówiłam? – podrapała się w zamyśleniu w czubek nosa. – A! O Ali przecież. Mam pomysł, skąd weźmiemy dla niej faceta. Z telewizji.

Przyjaciółki spojrzały na nią ze zdumieniem.

– Ala się zaszyje za kuchenką, a Grzegorz będzie ją błagał na kolanach...? – Ewa zakrztusiła się herbatą. – Ja nic nie rozumiem.

– Zofia się zaszyje – wyjaśniła zniecierpliwiona Łucja. – A faceta z telewizji chciałam dla Ali.

– Znasz kogoś z telewizji? – zainteresowała się Karolina. – Nigdy nie mówiłaś.

– Oczywiście, że nie znam – odpowiedziała przyjaciółka. – Ale za to znalazłam to.

Sięgnęła pod jedną z poduszek leżących na kanapie i wyciągnęła kolorowe czasopismo. Przerzuciła kilka stron i położyła na stole. Zaintrygowane przyjaciółki pochyliły się nad gazetą.

– Wyście chyba do reszty powariowały, bo tak całkiem normalne to nigdy nie byłyście. Ja zresztą też nie – stwierdziła Alicja, gdy po dwóch godzinach dotarła na spotkanie i dano jej do przeczytania tę samą stronę w gazecie. – Ale nie opętało mnie do tego stopnia, żebym miała zrobić coś takiego! Mam wystąpić w jakimś reality show w lokalnej telewizji „Głos Zabrzeżna”? Tak, na pewno zwariowałyście. I chyba domyślałam się, kto wpadł na ten pomysł.

W tym miejscu zamilkła i spojrzała wymownie na Łucję.

– Ale dlaczego nie? – broniła się przyjaciółka.

– Na przykład dlatego, że tytuł tej imprezy brzmi idiotycznie – powiedziała Alicja i postukała palcem w gazetową stronę. – „Dwie połówki pomarańczy”! Ja nie czuję się wcale, jakby mnie było pół. I dlaczego pomarańczy? Powinno być chyba jabłka? Mowy nie ma. Sama możesz wziąć w tym udział. O, właśnie! Doskonały pomysł.

– Przecież ja mam już męża – przypomniała jej Łucja.

– Ja też miałam i nie żałuję. To znaczy nie żałuję, że już nie mam – stwierdziła stanowczo Alicja, po czym zamknęła gazetę i ostentacyjnie odsunęła ją od siebie.

Coś jej jednak przyszło do głowy, bo sięgnęła po czasopismo, odszukała ogłoszenie i przeczytała, a potem odetchnęła z ulgą.

– Na szczęście termin już minął i mamy problem z głowy – roześmiała się i odchyliła z wyraźną ulgą w fotelu.

Ale zaraz okazało się, że ta radość była przedwczesna. Łucja spojrzała na nią niepewnie, a potem wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Tylko że ja cię już zgłosiłam, no bo właśnie ten termin się kończył. A teraz możesz mnie udusić, ale idź na te eliminacje. Proszę cię!

– To tam są jakieś eliminacje? – zainteresowała się Alicja i sięgnęła po raz kolejny po gazetę. – Faktycznie! To nie ma problemu. Na eliminacje mogę ostatecznie pójść, i tak odpadnę. Zawsze odpadam we wszystkich eliminacjach.

– Brałaś udział w jakichś eliminacjach? – zdziwiła się Łucja.

– Przecież do chóru szkolnego – przypomniała jej przyjaciółka. – Chciałam się zapisać, bo tam śpiewał ten Łukasz z trzeciej be. Nie pamiętacie?

– Ja pamiętam. Widziałam go ostatnio i strasznie się roztył. Ale przecież tu nie każą ci śpiewać – pocieszyła ją Ewa. – Na pewno ci się uda.

– Na pewno nie – obstawała przy swoim Alicja.

Karolina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A dlaczego myślisz, że odpadniesz? – zapytała.

– Właśnie! Dlaczego? – przyłączyła się Ewa.

– To proste. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Zrobię wszystko, żeby nie przejść dalej. To może być nawet niezła zabawa. Kiedy te eliminacje? Bo nagle nabrałam na nie ochoty!

– Za trzy dni – odpowiedziała Łucja i uśmiechnęła się pod nosem. – Dobrze się składa. Mówiłaś, że macie teraz przymusowy urlop w hotelu, a Baśka może się spokojnie zająć waszą firmą. Planów wyjazdowych chyba nie macie?

Alicja wspólnie ze swoją przyjaciółką i równocześnie szefową Barbarą Nowik (pracowały razem w kuchni w jedynym hotelu w Zabrzeźnie) prowadziły firmę, która zajmowała się organizowaniem imprez rozwodowych. Interes szedł coraz lepiej, bo coraz więcej mężatek, które uwolniły się od męzowskiego balastu, chciało to wydarzenie uczcić hucznie w towarzystwie przyjaciółek. Panowie na tych imprezach bywali rzadko.

– Faktycznie nie zaplanowałam wyjazdu – odpowiedziała zgodnie z prawdą przyjaciółka. – Co bym zrobiła z tą moją menażerią? Właśnie! Nie mogę wziąć udziału w programie, bo kto będzie wprowadzał Paszeta?

– My z Grześkiem chętnie weźmiemy go do nas. Rudego Sto Dwa i Wieśka oczywiście też. Zośka się ucieszy. Nie martw się o nich i jedź spokojnie sobie do tego zamku – roześmiała się Łucja.

– Do jakiego zamku? – zapytała podejrzliwie Alicja.

– Nie doczytałaś? Przecież cały ten program będą kręcić w zamku sto kilometrów od Zabrzeźna – powiedziała Karolina.

– Super! – krzyknęła Ewa.

– Jak super, to może jedź za mnie – rzuciła sarkastycznie przyjaciółka.

– Nie mogę, bo właśnie poznałam jednego bardzo przystojnego barmana – powiedziała Ewa, której pasją było komponowanie nowych drinków. Na co dzień pracowała jako chemik w laboratorium, a w czasie wolnym usiłowała stworzyć napitek, który zdobędzie główną nagrodę w jakimś prestiżowym konkursie dla barmanów amatorów. Swoje wynalazki testowała na przyjaciółkach. Z bardzo różnym skutkiem. Karolina po jednym drinku dostała zielonych plam na twarzy, a po innym libido Łucji skoczyło tak, że Grzegorz własnej żony nie poznawał.

– To niech Karolina weźmie udział – rzuciła Alicja w stronę trzeciej z przyjaciółek.

– Chciałam nawet, ale karty mówią, że nie powinnam. Postawiłam sobie kabałę – stwierdziła poważnym tonem Karolina. Jako główna księgowa całymi dniami miała do czynienia z długimi szeregami nudnych cyfr i przewidywalnych wyników. Może dlatego po pracy z lubością zanurzała się w nieracjonalnym i nieprzewidywalnym świecie wróżb i magii. – Tobie też postawiłam i karty mówią, że już wkrótce nastąpi wielka zmiana w twoim życiu.

Alicja pokiwała głową i spojrzała z politowaniem na siedzące naprzeciwko niej trzy kobiety.

– Nastąpi, nastąpi – powiedziała. – A jakże! Pewnie, że nastąpi. Zamorduję was wszystkie po kolei i spędzę resztę życia w kryminale. Chyba że zanim przyjedzie policja, Grzesiek zamorduje mnie i dołączy do was. Zrobią nam piękny zbiorowy pogrzeb, a Baśka zorganizuje stypę, jakiej Zabrzeźno jeszcze nie widziało. Może nawet przemianuje naszą, to znaczy już tylko swoją firmę na „Wesoły pogrzeb”. Mogłaby nawet wejść w spółkę z Kowalami.

– Co ma kowal do pogrzebu? – nie zrozumiała Karolina.

– Kiedyś konie ciągnęły karawan z trumną – przypomniała sobie Ewa. – Może to o to chodzi?

– Nie kowal tylko Kowalowie. Bracia Kowalowie – wyjaśniła Alicja. – Trzech naprawdę uroczych starszych panów, którzy prowadzą zakład pogrzebowy w Zabrzeźnie. Wynajmujemy od nich salę na przyjęcia rozwodowe. O rany! Dobrze, że mi przypomniałyście! Muszę już lecieć. Imprezę dzisiaj mamy. Trzymajcie się.

– Ale pójdziesz na te eliminacje? – zapytała prosiącym tonem Łucja.

Alicja zatrzymała się w drzwiach i głęboko westchnęła.

– Pójdę, pójdę – odpowiedziała po dłuższej chwili, podczas której przyjaciółki wpatrywały się w nią z napięciem. – Jak już mnie zapisałyście, to co mam zrobić? Na razie, naprawdę muszę lecieć.

Wyszła i ruszyła w stronę bramy. Była już prawie na ulicy, gdy zorientowała się, że nie wzięła torebki. Wróciła, otworzyła drzwi, weszła do salonu i zobaczyła, jak Karolina na jej widok szybko przykryła coś gazetą z ogłoszeniem o reality show, a Ewa postawiła dodatkowo na niej talerz z ciasteczkami.

– Mam do was prośbę – powiedziała, udając, że nie widzi spanikowanych spojrzeń wymienianych przez przyjaciółki. – Nie zgłaszajcie mnie już więcej do żadnych programów telewizyjnych. No, chyba że ogłoszą plebiscyt na najbardziej naiwną kobietę Zabrzeźna, co to ją każdy kolejny facet wystawia do wiatru. Albo na taką, co mieszka z gipsowym krasnałem zamiast z facetem.

– Jeszcze z Pasztetem mieszkasz i Rudym Sto Dwa – przypomniała jej Karolina i w ostatniej chwili złapała talerz z ciastkami, który zsuwał się z gazety. – To w końcu faceci.

– I tym się będę pocieszać – odpowiedziała sarkastycznie Alicja, a potem spojrzała na gazetę i dodała: – I nie stawiajcie mi kabały. Za każdym razem, jak to robicie, mrowi mnie, jakby ktoś wbijał mi szpilki. Coś jak rytuał voodoo. Właśnie coś czuję.

– Ale przecież ja żadnej kabały ci teraz nie stawiałam! – krzyknęła Karolina.

W tym samym momencie zrobił się przeciąg, bo Alicja nie zamknęła drzwi wejściowych, ze stołu zwało gazetę i oczom wszystkich ukazała się dobrze im znana talia kart.

– Ja was kiedyś naprawdę zamorduję, stare wariatki – powiedziała i wyszła.

Przyjaciółki przez chwilę siedziały nieruchomo, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła. Pierwsza ocknęła się Łucja.

– Układaj te karty – popędziła Karolinę. – Zawsze mówiłaś, że najlepsza kabała wychodzi, jak jeszcze jest świeża obecność jakiejś osoby w pomieszczeniu. Dawaj, zanim nam Ala zupełnie wywietrzeje.

– Dobra, ale niech któraś z was zerknie przez okno, czy ona na pewno odjechała – zażądała Karolina.

Ewa wstała i podeszła ostrożnie do okna, a potem zza zasłony wyjrzała na zewnątrz.

– Nigdzie jej nie widzę. Pewnie już odjechała – stwierdziła.

– Kogo nie widzisz? – rozległo się tuż za jej plecami.

Ewa wrzasnęła ze strachu i odwróciła się.

– Sorki, zapomniałam jeszcze szalika – powiedziała Alicja, zabrała zgubę i wybiegła z domu.

– Teraz już pojechała na pewno – powiedziała po chwili Ewa.

– Ja nie układam. – Karolina złożyła karty i schowała do pudełka. – Ja się boję Ali.

Łucja i Ewa spojrzały na nią, a potem na siebie i ryknęły śmiechem.

– Chyba zwariowałaś? – Łucja otarła oczy, z których pociekły jej łzy. – Ali się boisz? Wariatka! Rozkładaj te karty, bo musimy przecież wiedzieć, czy wszystko u niej w porządku.

Karolina z ociąganiem jeszcze raz rozłożyła talię.

– I co? I co? – padło zniecierpliwione pytanie równocześnie z dwóch stron, bo przyjaciółki ulokowały się jedna po prawej, a druga po jej lewej stronie.

– To dziwne – szepnęła Karolina. – To bardzo dziwne.

– Coś się stanie Ali? – zaniepokoiła się Łucja.

– Nie, nie Ali. – Kabalarka pokręciła głową. – Ten brunet, co tu był obok niej, nagle zniknął.

Łucja rozejrzała się.

– Mam bruneta! Ze stołu spadł. – Podała przyjaciółce kartę. – Nóżka mu się złamała. To znaczy, chciałam powiedzieć, że róg mu się zagiął...